

SIECI

JANECKI
KTO NA PREZYDENTA
PO ANDRZEJU
DUDZIE?
OTO WSTĘPNA
LISTA

★ **ROKITA**
CZY UNIA CHCE
NAS OSZUKAĆ?

★ **BUDZISZ**
UKRAINA WALCZY.
5 LEKCJI DLA POLSKI

RYBIŃSKA
CO UJAWNIE GŁOSNY
PROCES JOHNNY DEPP
KONTRA AMBER HEARD



SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 24 (498) 2022
13-19 czerwca 2022
CENA: 7,90 zł (w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

TAJEMNICA ODEJŚCIA LISA

OD INNYCH BEZWGLĘDNIE
ŻĄDAJĄ JAWNOŚCI,
ALE SVOJE SKANDALE
PRÓBUJĄ ZAMIEŚĆ
POD DYWAN



INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



9 772544 269205

24

Superhit

Ponad 50 kanałów TV

już od
10 zł
miesięcznie
z rabatem smartDOM



polsat box 

Wybierz swoje wszystko

Oferta smartDOM dla Abonentów Plusa
oraz internetu od Cyfrowego Polsatu.

Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej przy umowach od pakietu S, z zobowiązaniem od 20 zł/mies. (10 zł/mies. po rabacie smartDOM) i z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl. Liczba kanałów uwzględnia kanały niegwarantowane, w tym promocyjne. Dotyczy wybranych wariantów ofert. Warunkiem skorzystania z programu smartDOM i otrzymania Rabatu smartDOM jest zachowanie warunków programu i wyrażenie zgody na przekazywanie danych pomiędzy Cyfrowym Polsatem S.A. a Polkomtel Sp. z o.o. Szczegóły w Regulaminie programu „smartDOM 5 – Telewizja, Internet, Telefon” dostępnym na: polsatbox.pl oraz plus.pl. Oferta ważna na dzień 13.06.2022 r.

Paserzy ukraińskiego nieszczęścia

Na XVIII-wiecznej karykaturze przedstawiającej rozbiory Polski mocarstwa europejskie, uosabiane przez monarchów, rozdzielają mapę Rzeczypospolitej. Tak wyglądała w praktyce filozofia absolutyzmu oświeconego, a mianowicie w imię niby wyższych celów skazywało się całe narody na nieszczęścia. Z tego wolteriańsko-fryderycjańskiego myślenia nie wyłeczyły się salony Europy do dziś.

Gdyby nie Polska, to pewnie moglibyśmy oglądać podobne karykatury, na których Putin z Macronem i Scholzem dzielą się Ukrainą. Moskwa bierze ziemie i rząd w Kijowie, Berlin i Paryż dzielą się biznesem zbrojeniowym i energetycznym, handlując wolnością i życiem ludzkim jak w najgorszej tradycji kolonializmu.

Taki plan się nie powiódł i dziś podczas dzielnej obrony Ukrainy liderzy Francji i Niemiec kompromitują się telefonami do ludobójcy lub wyssanymi z palca bajkami o rzekomej pomocy dla ofiar inwazji.

Tymczasem wsparcie idzie z Polski i przez Polskę: broń, pomoc humanitarna w jedną stronę i uchodźcy w drugą. Ukraina może łapać oddech, mając zabezpieczone tyły, a bohaterowie z Donbasu, Kijowa czy Charkowa drwią z gróźb Putina i Łukaszenki wobec Polski, twierdząc – zapewne z przesadą – że Polska rozgromiłaby wschodniego najeźdźcę.

Ukraina nawiązała do najwyrazistszych tradycji I Rzeczypospolitej: silniejszej większości powiedziała „weto”, na „potop” rosyjski wezwała pospolite ruszenie, na decyzje mocarstw zakrzyknęła: „Nic o nas, bez nas!”.

Naszego dzielnego wschodniego sąsiada nie da się już tak rozerwać jak dawnego państwa szlacheckiego, ale paserzy europejskich wartości nie próżnują. Nie udało im się przehandlować niepodległości Ukrainy, to próbują geszefciarsko opchnąć a to Donbas, a to Krym, a to demilitaryzację albo inną część suwerenności napadniętego kraju. Komentatorzy i eksperci, którzy pomylili się we wszystkich aspektach tej wojny, już licytują: „Ukraina przegrywa”, „Potrzebny pokój za każdą

cenę”, „Zaspokójmy Rosję!”. Wylewa się z czynowników euroazjatyckich mocarstw pęd do załatwienia interesów kosztem życia i wolności innych. Przywykli do posłuszeństwa są przerażeni bojowym okrzykiem Ukraińców, nadzieją na suwerenność i godność. Tych samych ludzi, którzy dziś pod przykrywką wzywania do pokoju chcą przegranej Ukrainy, słyszymy, gdy wołają na polskim podwórku, że nie mamy prawa mieć takich rozwiązań ustrojowych jak inne kraje, że o pieniądze z KPO to trzeba żebrać, że marzenia o Trójmorzu czy polityce jagiellońskiej to naiwność.

Ludzie o umysłach sformotowanych do słuchania silniejszych życzą Ukrainie pomniejszenia swojego państwa, a za argument podają cofanie się frontu np. w Donbasie.

Gdyby może spytali samych obrońców, tych, którzy wytrzymują rosyjskie bombardowania na froncie, usłyszeliby historię Napoleona Bonapartego, który wlaź głęboko w Rosję, zdobył nawet stolicę, a potem tysiące kilometrów cofał się aż do totalnej przegranej. To ten przykład – 1812 i 1813 r. – przytaczają mundurowi w głębokich rowach wschodniej Ukrainy, którzy zatrzymują rosyjską ofensywę.

Wojska Putina, „druga armia świata”, przez ponad 100 dni szalonych bojów posunęła się o 8–9 km przy Popasnej czy Łymanie, a czynownicy podległości rozrywają szaty, że to już klęska. A taki szeregowy Ołeksandr, sierżant Sławik, kapitan Dmitrij mówią w tym czasie: „Śmiało, kacapy, ziemi nam starczy, by was wszystkich tu pogrzebać”.

Wojna o Ukrainę odbywa się przecież także w głowach ludzi wolności i niewolników imperiów.

Jakub Augustyn Maciejewski



32 Gry wojenne Konrad Kołodziejski



48 Jak wójt pojechał na front Jakub Augustyn Maciejewski



58 Narodowa patriotka czy też wieszczka poganizmu Teresa Kaczorowska

NA POCZĄTEK

- 6 ZROBIŁEM WSZYSTKO, BY ODBUDOWAĆ SIŁĘ I PRESTIŻ TVP**
Relacja z gali portalu wPolityce.pl
- 10 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 12 BARON DE DUPIASCH**
Krzysztof Feusette
- 13 WIZYTA NAMIESZNIKA**
Bronisław Wildstein
- 14 SOJUSZNICY CZY CYNICY?**
Jan Pietrzak
- 14 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 15 „DUPIARZ” NA PREZYDENTA?**
Dorota Łosiewicz
- 16 WALIZKA JAROSŁAWA SELLINA**
Michał Korsun
- 18 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 19 STRACONA SZANSA**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 20 HISTORIA, GŁUPCZE!**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

- 22 NIE POWIEDZĄ NIKOMU?**
Marek Pyza

KRAJ

- 28 CZY BRUKSELA CHCE NAS OSZUKAĆ?**
Jan Rokita
- 32 GRY WOJENNE**
Konrad Kołodziejski
- 36 PREZYDENCKIE MANEWRY**
Stanisław Janecki
- 40 Z MICHAŁEM A. MICHAŁSKIM**
rozmawia Dorota Łosiewicz

WOJNA ROSJI Z UKRAINĄ

- 44 WOJNA NA UKRAINIE. PIERWSZE WNIOSKI DLA POLSKI**
Marek Budzisz
- 48 JAK WÓJT POJECHAŁ NA FRONT**
Jakub Augustyn Maciejewski
- 50 Z ZSOLTEM NÉMETHEM**
rozmawia Grzegorz Góry

ŚWIAT

- 54 DAWID PRZECIW GOLIATOWI**
Aleksandra Rybińska

HISTORIA

- 58 NARODOWA PATRIOTKA CZY TEŻ WIESZCZKA POGANIZMU**
Teresa Kaczorowska
- 62 ZBIERANIE OKRUCHÓW**
Marcin Wikło

OPINIE

- 64 TRUDNA DECYZJA DLA WSPÓLNEJ PRZYSZŁOŚCI**
Maciej Walaszczyk

SIECI KULTURY

- 67 ŻYCIE JEST NIE DO WYMYŚLENIA**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 70 TRON WE KRWI**
Maciej Walaszczyk
- 72 MUZEUM OFIAR KOMUNIZMU W WASZYNGTONIE**
Michał Korsun
- 74 W SIECI TRWAJĄ ŁOWY**
Robert Tekieli
- 76 POLECA**
Łukasz Adamski

GOSPODARKA

- 78 Z MARKIEM DIETLEM**
rozmawiają Maciej Wośko i Stanisław Koczot

KUCHNIA

- 82 MOJE SMAKI: KATARZYNA BAREJA**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 83 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 84 NA ZACHÓD PO ŁUPY**
Wojciech Reszczyński
- 85 SKOK ROSZKOWSKIEGO**
Aleksander Nalaskowski
- 86 TYKAJĄCA BOMBA TRANS**
Jan Pospieszalski
- 87 PREMIERKI W KROPCE**
Jerzy Jachowicz
- 88 ARCYMISTRZ ORGANOWYCH BRZMIEN**
Adam Ciesielski
- 88 CZAS HEROSÓW**
Ryszard Makowski
- 89 TRENINGI PAMIĘCI**
Leszek Długosz
- 90 NARRATOR CZUŁY, BAROMETR KIEPSKI**
Katarzyna Zybortowicz

Fotowoltaika od Energa Obrót

Oszczędność mamy w naturze



Wybierz instalację fotowoltaiczną od Energa Obrót

- ☒ Produkuj własny prąd z odnawialnych źródeł i **obniżaj rachunki za energię elektryczną.**
- ☒ Umowę podpisujesz bezpośrednio z Energa Obrót Grupa ORLEN, która jest gwarantem bezpieczeństwa inwestycji.

**> Zadzwoń na 555 555 505*
lub wypełnij formularz
na energa.pl**

 **Energa** | GRUPA **ORLEN**
Obrót

*koszt połączenia wg stawek Twojego operatora. Materiał nie jest ofertą w rozumieniu art. 66 Kodeksu cywilnego.
eprasa.pl 4df7ec2093



Zrobiłem wszystko, by odbudować siłę i prestiż TVP

Portal wPolityce.pl ma już 12 lat. Podczas ubiegłotygodniowej gali urodzinowej została wręczona nagroda portalu – Białe-Czerwone Róże. W tym roku to wyróżnienie otrzymał Jacek Kurski, prezes TVP

Jubileuszowe spotkanie otworzyła Marzena Nykiel, redaktor naczelna portalu wPolityce.pl. „Gdy przez dwa lata z powodu pandemii nie mogliśmy spotkać się na urodzinach portalu wPolityce.pl, za każdym razem wyrażaliśmy nadzieję, że następny rok będzie już lepszy, łaskawszy, łatwiejszy. A one są coraz trudniejsze: politycznie, gospodarczo, społecznie, medialnie” – rozpoczęła swoje wystąpienie. Nawiązała do ataku Rosji na Ukrainę i kwestii relacjonowania tego

konfliktu przez portal wPolityce.pl. „Od 104 dni opisujemy na naszym portalu brutalną napaść Rosji na Ukrainę. Spełniły się te wyśmiewane słowa śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego z Gruzji. Spełniły się przewidywania tych, którym po katastrofie smoleńskiej odbierano głos. To właśnie z tej niezgody na uciszanie prawdy zrodził się nasz portal” – mówiła. „Dziś, po 12 latach, widzimy, że pytania i obawy, które wtedy stawialiśmy, były jak najbardziej zasadne. Cały świat wie już, do czego

zdolna jest Rosja. Widzimy też, jak ważny był nasz bój o tożsamość i patriotyzm. Bo to właśnie dzięki tym wartościom Ukraina broni się heroicznie już 104 dni. Nie mamy więc wątpliwości, że to, czym gardzi liberalno-lewicowy świat, a to, o co upominamy się w naszym portalu od ponad dekady, to sprawy, z których rezygnować nie wolno” – zaznaczyła.

Zwracała uwagę na wagę idei, realizowanych przez środowiska konserwatywne. „Jako dziennikarze mamy nieco inne zadania wobec Polski, niż politycy. Wierzę jednak, że wszystkich nas – konserwatystów – łączy ten sam cel, choć patrzymy na niego z różnych perspektyw i mamy inne narzędzia do jego realizacji. Jako konserwatyści – niezależnie od tego, czy jesteśmy ludźmi świata mediów, polityki, biznesu, czy jakiegokolwiek innej grupy – realizujemy tę samą ideę: prawdy, dobra i piękna. I w tej obietnicy służby Polsce i prawdzie trawimy wiernie przez cały ten trudny czas, aż do naszego kolejnego urodzinowego spotkania” – podkreśliła Marzena Nykiel.

Urodzinowe życzenia twórcom i pracownikom portalu wPolityce.pl przekazała marszałek Sejmu Elżbieta Witek. W przesłanym liście, który podczas gali odczytała wicemarszałek Sejmu Małgorzata Gosiewska, napisała: „Z okazji 12. rocznicy powstania portalu wPolityce.pl wszystkim

jego twórcom, pracownikom i współpracownikom składam najserdeczniejsze gratulacje oraz życzenia dalszych sukcesów i szerokiego grona oddanych czytelników. [...] Nieszablone oceny i komentarze, odważne debaty i dociekliwość autorów to wyznaczniki popularności portalu wPolityce.pl, a zarazem rosnącego prestiżu. Dziękuję całemu zespołowi za pracę”.

Laudację na cześć laureata Białoczerwonych Róż wygłosił Michał Karnowski, członek zarządu Grupy Medialnej Fratria.

„8 stycznia 2016 r. Jacek Kurski został prezesem zarządu Telewizji Polskiej. Formalnie dokonano się tylko prosta zmiana w kierownictwie spółki. Dziś już jednak widać, że ta data zostanie zapamiętana jako znacznie poważniejsze wydarzenie. Rozpoczął się wtedy czas pracy nad realizacją wielkiego marzenia obozu propolskiego – budowy silnych, mądrych, odpowiedzialnych i atrakcyjnych mediów publicznych, narodowych, polskich. Mediów zdolnych obronić pol-



ską rację stanu, przeciwstawić się kłamstwu, demoralizacji, złu, mediów walczący o to, by – jak mówił w 2009 r. śp. prezydent Lech Kaczyński – zwyciężała uczciwość, a nie cynizm i draństwo. Nie wielu wierzyło w realizację ambitnych zadań, które kreślił po wyborze nowy prezes Telewizji Polskiej. Ten sceptycyzm miał

trzy przyczyny” – przypomniał Michał Karnowski. „Po pierwsze, powszechne dość przekonanie, iż w czasie rządów koalicji PO-PSL instytucja ta została sprowadzona na takie dno, że podniesienie jej jest niemożliwe. [...] Po drugie, powielany przez media lewicowo-liberalne mit – niestety, w przeszłości bywało, że prawdziwy – iż prawica nie jest zdolna do długotrwałej, konsekwentnej pracy nad budową silnych instytucji, że bardziej ceni jednorazową akcję i osobistą

Fot. Andrzej Wiktor (2x), Mirosław Słomach

PARTNER
ZŁOTY:



PARTNERZY
STRATEGICZNI:



PARTNERZY
GŁÓWNI:



PARTNERZY:



PARTNERZY
WSPIERAJĄCY:





karierę. [...] Po trzecie, przekonanie obozu III RP iż kilkoma blokadami i bojkotami będzie w stanie zamknąć TVP w getcie, uniemożliwi realizację dużych przedsięwzięć, widowisk, festiwali, współpracę międzynarodową. Liczono tu także na blokadę abonamentową, brak możliwości pozyskania należytego finansowania” – dodał.

„Świadomość, że trzeba pilnować Polski, że zorganizowana presja ludzi kochających Polskę może przeważać szalę, przynieść zwycięstwo nad złem, legła u podstaw decyzji naszego środowiska o uruchomieniu portalu wPolityce.pl. Rozpoczęliśmy tę pracę w początkach 2010 r., zaczęliśmy nadawanie 10 czerwca tamtego roku. Marzyliśmy o szczelinie wolności w coraz bardziej domykającym się wtedy systemie kłamstwa. To się udało. I jesteśmy szczęśliwi, widząc, jak nasza wizja mediów pro polskich, przejętych troską o dobro wspólne, uczciwych i odważnych, jest dziś realizowana także przez nadawcę publicznego. Ale trzeba iść dalej. Jeżeli znowu cofniemy się do epoki szczelin, następne pokolenia nam nie wybaczą” – przestrzegął.

Michał Karnowski wyjaśnił, że Jacek Kurski otrzymał wyróżnienie nie tylko ze względu na pozytywną ocenę dorobku Telewizji Publicznej za jego prezesury. „Ta nagroda, Biało-Czerwone Różę portalu wPolityce.pl – niektórzy mówią w odniesieniu do tej uroczystości o Człowieku Roku portalu wPolityce.pl i też mają rację – jest z jednej strony wynikiem spojrzenia w przeszłość, docenieniem dorobku Telewizji Polskiej za prezesury Jacka Kurskiego, ale z drugiej jest próbą wskazania,

gdzie leżą ogromne rezerwy obozu pro-polskiego, ile można osiągnąć nie tylko w obszarze mediów, gdy ma się pomysł, determinację, wolę złamania blokad, gdy się konsekwentnie pracuje” – zaznaczył.

Nagrodę prezesowi TVP wręczyli Romuald Orzeł, prezes zarządu Grupy Medialnej Fratria, i Michał Karnowski.

„Szczególne dziękuję portalowi wPolityce.pl, który kupia dziennikarzy niepokornych, którzy wyznaczali wzór zachowania w bardzo trudnych czasach dla ludzi polskiej prawicy, w czasach przemysłu pogardy” – dziękował za wyróżnienie laureat Biało-Czerwonych Róż.

Na początku swojego wystąpienia Jacek Kurski nawiązał do sprawy upadku rządu premiera Jana Olszewskiego. „Wtedy rozstrzygało się, które podejście do okrągłego stołu zwycięży. [...] Zwyciężyło niestety podejście kontraktowe. [...] Ten kontrakt miał swoje bezpieczniki, z jednej strony to były teczki, ale były rzeczy gorsze z punktu widzenia zdrowego państwa – sądy i media. Jeśli się patrzy na poprzed-

nie próby rządów w pełni popolskich – w 1992 r. i rządów w latach 2005–2007 – to widać, że nie tylko brak większości był powodem upadku tych rządów, ale również swoista opresja sądowa, ale przede wszystkim medialna. Ona niszczyła te próby”.

Jacek Kurski wspominał początek swojej drogi na stanowisku prezesa TVP. „Wiedziałem, że jeżeli telewizja nie będzie oglądana, to moja misja nie ma sensu. Zrobiłem wszystko, żeby odbudować siłę i prestiż TVP. Myślę, że dzisiaj, kiedy już na ten temat są badania, to nawet te nierzetelne wykazują, że grupa TVP jest zdecydowanym liderem rynku medialnego. [...] TVP jest jedynym medium, oprócz oczywiście portali i dziennikarzy niepokornych, ale jedynym masowym medium rzetelnie relacjonującym działania dobrej zmiany. Gdyby nie była oglądana na poziomie 40 proc., to myślę, że rzeczywistość polityczna również byłaby nieco inna. TVP jest ważnym aktywnym narzędem polskiego, ważnym składnikiem budowania wspólnoty narodowej. [...] Mogą państwo liczyć na TVP. [...] Jeżeli przegramy, to następne pokolenia Polaków nam tego nie wybaczą. Zapewniam państwa, że TVP pod moim kierownictwem będzie odpowiedzialna za prawdę” – zaznaczył prezes Telewizji Polskiej.

Urodzinową galę prowadzili Dorota Łosiewicz, dziennikarka portalu wPolityce.pl, tygodnika „Sieci” i telewizji wPolsce.pl, i aktor Marcin Kwaśny. Uroczystość uświetnił recital Justyny Steczkowskiej.

Adam Stankiewicz



DYWERSYFIKUJEMY DOSTAWY GAZU

Dzięki dużemu doświadczeniu w tej gałęzi przemysłu oraz dywersyfikacji źródeł pozyskiwania surowca zapewniamy **stabilne** oraz **bezpieczne dostawy** gazu ziemnego dla naszych klientów.

Wydobywamy gaz u wybrzeży Norwegii, stale **zwiększając liczbę koncesji**. Importujemy LNG z Kataru i USA. Mamy kontrakty na Litwie oraz koncesje w Pakistanie, Emiratach Arabskich i na Ukrainie.

Już w 2022 roku planujemy **zwiększenie wydobycia gazu** z Norweskiego Szelfu Kontynentalnego do ok. 3 mld m³ rocznie.

Sygnalista nadaje

Prezydent Warszawy **Rafał Trzaskowski**, który słynie z tego, że nigdy nie zapomina zwracać się do „Polek i Polaków”, „warszawianek i warszawiaków”, w ostatnim czasie także „Ukrainek i Ukraińców”, wystąpił u pana Wojewódzkiego, który zwrócił się do niego takimi oto słowami: „Powiedz mi, dlaczego mówisz wszystkim naokoło, że słowo »bawidamek« znasz tylko z języka i frazeologii babci? Przecież masz świadomość, że byłeś przystojny i jesteś, no dzisiaj zajęty...”. Trzaskowski odpowiedział: „Bo chodziło o to, że »dupiarz« to tak, ale nie bawidamek. Kto mówi »bawidamek«, na Boga?!”. Wojewódzki dopytywał: „Czyli ty byłeś dupiarzem?”, na co prezydent stolicy odpowiedział: „Oczywiście, że tak, a nie żadnym bawidamkiem”, co z kolei „król TVN” podsumował rechem: „O, Jezus Maria!”. Przepraszamy, za cytowanie wulgaryzmu, ale warto wiedzieć, jaki poziom reprezentuje człowiek, który otarł się o najwyższy urząd w państwie.

Gdy rozpętała się burza, Trzaskowski zabrał głos. „Niestety, nieformalna konwencja rozmowy z duetem Kędzierski & Wojewódzki sprawiła, że opisując historie sprzed 30 lat, słownictwem przeniosłem się do czasów liceum. Dla takich słów nie ma ani nie powinno być miejsca w przestrzeni publicznej. Wszystkich, którzy poczuli się urażeni, przepraszam”. On się nie przeniósł do liceum, on z liceum, i to chyba kiepskiego, nigdy nie wyszedł. Bo to jest historia nie tylko o chamstwie, ale i o niebawym infantylnym stołecznym Piotrusia Pana.

W tle jest pytanie, dlaczego Trzaskowski regularnie sprawia wrażenie, że po prostu się nie kontroluje? W Polsce tłumaczyl się w taki oto sposób: „Ja jestem osobą dosyć nietuzinkową i czasem język kompletnie nie przystoi. Taka jest też cena pójścia do programu, w którym próbuje się pokazać trochę inną twarz”. Inną? Ta twarz, którą pokazał, mało kogo zaskoczyła. I wydaje się bardzo prawdziwa. Maskę zakłada wtedy, gdy gra poważnego polityka.

Donald Tusk także ma wielkie ego. Ostatnio przybrał pozę zbawcy Ukrainy: „Dla mnie największą satysfakcją jest to, że kiedy jestem na Ukrainie, to na ulicy ludzie mnie zaczepiają. Ale dzisiaj nie trzeba jechać na Ukrainę, by spotkać Ukraińców. Jestem tam dobrze rozpoznawany i muszę wam powiedzieć, że nigdzie na świecie poza Polską nie spotykam się z tyloma ludźmi, którzy mi dziękują i ze łzami w oczach mówią: »Także dzięki panu Ukrainą jest jeszcze wciąż niepodległa«”. Jakież ziarno prawdy w tym jest: wyjeżdżając z Polski w 2014 r., Tusk ułatwił zwycięstwo PiS i tym samym pozwolił państwu polskiemu na prowadzenie polityki powstrzymującej Rosję. To jego jedyna zasługa.

Dziś także raczej podpała. Podczas wizyty na jednej z dolnośląskich wsi Tusk zagrał na okół wojennym strachu rolników: „Jest też niepokój związany z niespodziewaną przecież konkurencją, mówiliście państwo o kukurydzy, a ogólnie też zboża z Ukrainy. Jest wojna, blokada

Posłanka Platformy Obywatelskiej Izabela Leszczyna o 500+: „Nie poprawiło jakości życia tak naprawdę, bo jakość życia dziecka to jest dobra szkoła, ochrona zdrowia, nic takiego się nie stało. [...] Rzucenie 500 i zostawienie tego na pastwę losu przy takiej polityce fiskalnej, monetarnej, gospodarczej, powoduje, że ludzie budzą się z ręką w nocniku, bo okazuje się, że to 500 to jest jakieś 370 zł”. Wzruszająca jest ta troska Platformy o los polskich rodzin. Jak miliony wyjeżdżały za chlebem, to udawali, że nie widzą problemu. Ale dobrze, że Leszczyna – „główna twarz ekonomiczna PO” – często zabiera głos. Każda jej wypowiedź zwiększa szanse dobrej zmiany na reelekcję.

portów i coraz więcej transportów idzie z Ukrainy przez Polskę do innych krajów, ale z punktu widzenia polskich rolników oznacza to, że część tych zbóż i kukurydzy będzie sprzedawana tutaj, w Polsce, po wyraźnie niższych cenach”. Wątek – raczej fałszywy – podjęła natychmiast rosyjska propaganda. Na Kremlu biją brawo.

W czasie jednego ze spotkań Tuska zapytano o powody „bezkrytycznego przyglądania się i współpracy z Angelą Merkel”. Odpowiedział, że „ta teza nie jest prawdziwa”. Sala wybuchnęła śmiechem. „Dlaczego się śmiejecie?” – pytał Tusk i ciągnął: „Jeśli chodzi o Nord Stream 2 i to jest cała historia, ona jest udokumentowana. Byłem zaangażowany, być może najbardziej z Unii Europejskiej, w zablokowanie Nord Stream 2. Tylko że Niemcy i Merkel nie byli tym zainteresowani”. W podstawówce, gdy uczeń stał przy tablicy i nie mówił nic, pewien nauczyciel zawsze powtarzał: „Dobrze mówisz, dobrze, tylko za cicho”. Tej historii Tusk nie zdoła opowiedzieć na nowo.

Lech Wałęsa znów podzielił się z Polakami swoim strumieniem świadomości: „Jeśli Komisja Europejska zgodzi się na KPO, to będzie jej porażka. Unia, zamiast chodzić na kompromis z Polską, powinna się rozwiązać i chwilę później stworzyć nową wspólnotę na podstawie Niemiec i Francji, ale bez Polski i Węgier. Ale znów mnie nie posłuchano, a to prosty pomysł: jeśli my chcielibyśmy wstąpić do nowej Unii, na wejściu poza prawami musielibyśmy zaakceptować również obowiązki. I ustawić je tak, by wygłupy, które mają dzisiaj miejsce, już nie powtórzyły”. W istocie to postulat rezygnacji z suwerenności. Nigdy nie zapominajmy: Wałęsa jest nie tylko śmieszny, jest także groźny i szkodliwy.

Ciekawa wypowiedź Włodzimierza Czarzastego, lidera Lewicy, o blokowaniu pieniędzy dla Polski: „Unia pod tym względem robi skandaliczną politykę. Skandaliczną politykę robi też partia SPD z kanclerzem Scholzem na czele. Oni mówią, że na wszystko przyjdzie czas, a ja uważam, że ten czas już mija. Chodzi o 12 mld euro, 500 euro na pomoc uchodźcy w ciągu miesiąca (które powinniśmy dostać szybko). Jeżeli chodzi o Unię i Komisję Europejską to prowadzą [one] idiotyczną politykę, powiedziałem o tym Timmermansowi”. Cenny głos, ale znów: trzeba głośniej o tym mówić.

Najlepiej w Parlamencie Europejskim, który znów debatował o Polsce. Dyskusję



podsumował prof. Ryszard Legutko, europoseł PiS: „Obecna debata jest nie tylko absurdalna, ale powiedziałbym, że jest niegodziwa. Zwracam się do posłów spoza Polski, którzy tę debatę popierają: proszę państwa, przecież wy o Polsce nic nie wiecie. [...] Słyszałem też takie określenie, że Polska ma rząd autorytarny. [...] W Polsce jest tysiąc razy więcej wolności niż w takim kraju jak Hiszpania, która jest rządzona przez niezwykle represywny i nieprzyjemny rząd. Zero wiedzy, kompletna ignorancja i tylko napędzanie się ideologiczną nienawiścią i nabzdyczeniem”. Celne, ale tłumacz nie miał łatwo. Bo jak przełożyć na angielski choćby „nabzdyczenie”? Może któryś z naszych czytelników zna odpowiedź?

Każda kolejna debata przynosi kolejne wykryty głupoty i ignorancji, ale podczas ostatniej padł prawdziwy rekord, który trudno będzie pobić. „To plama na honorze Unii Europejskiej! Przemykamy oko na plany polskiego rządu, jesteśmy świadkami narodzin mini-Rosji – mówiła eurodeputowana szwedzkich Zielonych Alice Bah Kuhnke, odwołując się do porozumienia Komisji Europejskiej z polskim rządem. To urojony świat chorych ludzi, być może podlany kremlowską inspiracją.

Ale i u nas nie brakuje egzotyki. **Robert Biedroń**, europoseł i współprzewodniczący Nowej Lewicy, napisał list do prezydenta Zelenskigo „w obronie osób transpłciowych”. „Wszystkie osoby transpłciowe w wieku poboru wojkowego (18–60 lat), których płeć jest określona w dokumentach jako męska, nie mogą legalnie opuścić Ukrainy. Staję w obronie osób transpłciowych chcących opuścić Ukrainę” – pochwalił się Biedroń. To w sumie cenny głos: pośrednio Biedroń przyznaje, że to mężczyźni – z ducha i ciała – są powołani do obrony ojczyzny. Czy to nie jest aby rodzaj fobii albo uprzedzenia?

Posłanka Lewicy Katarzyna Kotula zabrała głos w debacie nad sprawozdaniem komisji o rządowym projekcie ustawy o wspieraniu i resocjalizacji nieletnich. W pewnym momencie zwróciła się do posła Solidarnej Polski Tadeusza Cymańskiego, który zapewne rzucił jakąś uwagę z sejmowej ławy: „Panie pośle, chciałabym powiedzieć, że to nie sztuka iść w ilość, ale sztuka iść w jakość”. Kotula nawiązała w ten sposób do znane publicznego faktu wielodzietności Cymańskiego, ojca pięciorga dzieci. Jeśli posłanka Kotula ma być dowodem na jakość, to jest to dowód nie najlepszej jakości.

Baron de Dupiasch



KRZYSZTOF FEUSETTE

Niech to będzie coś na kształt coming outu młodego, świetnie zapowiadającego się 50-latką. Jestem dupiarzem. To znaczy byłem. I co? I wyrosłem na kulturalnego, skromnego, wybitnego człowieka. Bo dorosłem. Do roli, którą nowoczesna i walcząca o godność kobiet Europa ma przygotowaną dla kogoś, kto, owszem, może i był dupiarzem, ale dziś wcale się tego nie wstydzi. Ba, chwali się tym nawet, żeby już nikt co do jego wstydu nie miał wątpliwości. Czasy mamy takie, że ludzie przyznają się publicznie do różnych zainteresowań. Wiem jednak, że moje „wyjście z szafy” może być szokiem dla wielu z was, zwłaszcza tych, którzy opacznie rozumieli moje marzenie, by udzielić ślubu gejom, a potem przekazać im klucze do nowiutkiego tęczowego hostelu. Teraz już wiecie – to tylko polityka. Może więc i lepiej, że maski opadły. Chociaż szkoda, że na nich się nie skończyło.

Przyznaję się bez bicia niepotrzebnej piany: rwałem dziewczyny jak gruszki na wierzbie. Don Juan de Marco, Kalibabka i Casanova nie zaliczyli takich podbojów razem wzięci co ja skromny (już wtedy!) malinowy król warszawskich domówek, fan funk i niemieckich obozów dla młodzieży. Zresztą może to w każdej chwili potwierdzić mój bliski kolega, Michał Żebrowski, znany aktor, zresztą każdy, kogo znam, jest znany. Michał to także żywy dowód na to, że w błędzie są ci, którzy twierdzą, iż określenie „dupiarz” nie oddaje zainteresowań delikwenta, ale jego temperament i że chodzi o niedojdę z ciężkim tyłkiem. Żebrowski był dupiarzem, a gajonem na pewno nie jest, skoro jako mój przyjaciel dostał od innej mojej przyjaciółki, Hani Gronkiewicz-Waltz, pięknie odnowioną salę teatralną w Pałacu Kultury na prywatny użytek. Bo że wsparł mnie potem w kampanii, to chyba normalne, prawda?

Kim zatem jest dupiarz? Każdy widzi kogoś innego. Moim zdaniem cechą odróżniającą go od innych reprezentantów gatunku homo erectus permanentis, takich jak „kobieciarni”, „erotoman”, „r...chacz”, „żigolak”, „lowelas”, „d...cyngiel”, a nawet najwulgarniejszy z nich, pospolity „je...aka”, jest to, że tamci mogą odczuwać z powodu swojej przypadłości pewien dyskomfort. Bo za każdym razem, po każdym razie, a nawet przed każdym razem uświadamiają sobie (założmy, że mają świadomość), jak bardzo jałowe, nomen omen, jest owo oddawanie się swojej największej pasji z częstotliwością maniaka. A taki dupiarz ma to gdzieś, dosłownie i w przenośni. „Owszem, byłem dupiarzem – mówi – ale to nie jest moje ostatnie słowo!”. Mam poczucie, że bycie nim, nawet jeśli tylko byłym, zobowiązuje do tego właśnie, by już nie tylko tamte dziewczyny, ale i własne dupiarstwo mieć w „d”. Pamiętam tylko tyle, że podobałem się wszystkim, ale czy chodziło o wygląd,

czy charakter? A może, po prostu, o to, że w jednym chłopaku zbiegły się wrodzona skromność i nieprzytomna inteligencja? Nie wiem, niech historycy to oceniają.

Oczywiście, widząc falę ogromnej krytyki, która wylała się na mnie po głośnej deklaracji, jestem skłonny stonować

przekaz. Być może jest tak, że każdy, kto nie był, chciał być takim właśnie dupiarzem? Oczywiście to jest słowo straszne i tego nie muszę dodawać, gdyż wiadomo, że o prawa kobiet walczę jak o przewodnictwo w partii. Ale kto dziś oceni, co jest zamglonym wspomnieniem nieprzytomnie bystrego młodzieńca, idola dziewczyn przeciwieństwo tylko z Mazowsza, a co autentyczną historią?

Wszak dupiarz może, ba, powinien mieć w sobie coś z erotomana gawędziarza. Bo jeśli o swoich wyczynach nie opowiadał, kto zostawiłby dla potomności dzieje jego dupiarstwa? Przecież nie te dziewczyny, bo czym tu się chwalić? Wiadomo – z każdym, byle nie z dupiarzem.

Podsumowując, wiecie już o mnie wszystko. Gdybyście zatem szukali w polskiej polityce kogoś, kto na pewno nie był bawidamkiem, bo nie

może nim być nikt, kto był dupiarzem, walcie, nomen omen, do mnie jak w dym. Nawet sobie myślę, czy nie zamówić już teraz plakatów wyborczych, kubeczków i koszulek z nowymi hasłami. Na przykład: „Wybierz dupiarza. Zanim on wybierze ciebie”. Albo: „Głosuje na Rafała, to jest dupiarz, że głowa mała”. Może jeszcze cytaty z Hani Gronkiewicz-Waltz, która mówi, że po prostu okazałem się normalnym facetem bez kompleksów. Swoją drogą, bardzo dziewczynie współczuję. Widać, że całe życie jej przed oczami przeleciało.

Takich głosów mogłoby być więcej. Na przykład małżonka moja milczy całkowicie. Ani be, ani me, a jak wchodzi do domu, to jak Kwaśniewski na debatę z Wałęsą. To co, nie wiedziała, że wychodzi za dupiarza? Byłego, oczywiście? Tak, wiem, są kobiety, które uważają, iż z tego się nie wyrasta. Nie zgadzam się. Ludzie się zmieniają. Ja np. kiedyś czytałem filozofów i potrafiłem rozpoznać Geremka na obrazie z zamkniętymi oczami, a dziś widzę sam po sobie, że coś mi przecieka. I to znowu przez pale.

Ech, niech już skończy się ta legenda o wielkomięskim podrywaczku, co to kobietom się nie kłaniał, tylko brał, jak leci. Czasy były trudne. Hipisi wymarli chwilę wcześniej. Na punka miałem za dobre ciuchy, na popersa za krótką grzywkę, skórów omijałem, bo w glanach byli wyżsi, to co mi zostało jak nie dupiarze? A że mnie nie przyjęli, kto to dziś sprawdzi? Wystarczy, że widziałem ich w akcji. Potrafił wyrwać dziewczynę na imprezę w trzy minuty. I to taką, za którą ja przez pół roku biegałem. Ale wiecie co? Nawet mi się podobało to gonienie króliczka. Bo przecież, ostatecznie, nie o to chodzi, żeby coś złapać.

BRONISŁAW WILDSTEIN

Wizyta namiestnika

Przewodnicząca KE Ursula von der Leyen odwiedziła nasz kraj, by poinformować, że władze europejskie laskawie wyraziły zgodę na odblokowanie należnych nam funduszy, naturalnie pod warunkiem spełnienia jej wymagań w liczbie tak ok. 300. Przewodnicząca twardo ogłosiła, że kolejne transze pieniędzy będą nam zwracane – bo Unia dokłada się wyłącznie do inwestycji, które mają być zrealizowane ściśle według planów zaakceptowanych przez brukselskie władze – jeśli spełnimy dodatkowe warunki, co – jak podkreśliła – będzie na bieżąco uważnie monitorowane. Urzędniczka, nominowana na bliżej nieokreślonych zasadach i w niejasnym trybie, dyktowała demokratycznie wyłonionym przywódcom, co mają robić, a czego robić im nie wolno, i odgryzała się dokładniejszym nadzorem.

Von der Leyen była przyjmowana przez prezydenta i premiera, którzy wprawdzie podkreślali, że Polska trzyma się europejskich zasad praworządności, ale zachowywali się, jakby było oczywiste, że brukselska funkcjonariuszka ordynuje, co mamy robić, i ostrzega, iż będziemy z tego przez nią dokładnie rozliczani.

Wizyta von der Leyen i jej deklaracje zostały ogłoszone w Polsce jako wielki sukces. To jedyny taki wypadek, kiedy media sprzyjające obecnej władzy i te, których racją bytu jest jej niszczenie, mówiły nieomal jednym głosem. Oczywiście komentarze były odmienne, ale główny przekaz, zgodnie z którym 24 mld euro, które UE dorzucić ma do naszych inwestycji (nie wspominam o kredytach, które możemy załatwić sobie sami), przeniesie Polskę w nową cywilizacyjną epokę.

Jest to przekaz fundamentalnie fałszywy i destrukcyjny. Nieprawdą jest, że strukturalne fundusze z UE są decydujące dla naszego rozwoju, a przeświadczenie takie wbijane w głowy naszemu społeczeństwu utrwała istniejący w nim kompleks niesamodzielności i przekonanie, że jesteśmy skazani na zagraniczną dobroczynność i związaną z tym kuratelę. W ten sposób wytwarzana jest żebaczno-niewolnicza mentalność korzystna dla rzeczników oligarchii III RP i działająca przeciw upodmiotowieniu naszego kraju. Dlaczego wpisuje się w nią rząd PiS?

Problem ujawnił się już po uzgodnieniu budżetu unijnego na lata 2021–2027. Jest zrozumiałe, że rządzący usiłowali wynegocjować najkorzystniejsze dla nas warunki, ale ogłoszenie tego w sposób, który sugerował, że jest to największe osiągnięcie Morawieckiego, było nieporozumieniem, i to na wielu poziomach. Sprowadzało polskie władze do roli klientów unijnych i kazało oceniać je ze względu na stosunek, który te instancje prezentują do wybranych przez nas przedstawicieli.

cieli. Konsekwencje nie kazały na siebie czekać. KE wbrew zasadom, procedurom i własnym deklaracjom zablokowała należne nam fundusze. Coś, co miało być największym sukcesem rządu Morawieckiego, siłą rzeczy zaczęło jawić się jako jego największa porażka. Czy nie sposób było tego przewidzieć? Czy polskie władze nie dostrzegają, że mają do czynienia z nieliczącymi się z żadnymi normami szulerami, którym przyświeca usprawiedliwiająca wszystko ideologia, a którzy w praktyce posługują się racją siły?

Wydaje się jednak, że doświadczenie to niczego rządu Morawieckiego nie nauczyło. Przez ostatnie miesiące co jakiś czas mówiono o porozumieniu z KE i odblokowaniu funduszy, by zderzyć się z europejskim dementi. Kolejne uzgodnienia, na które dawał się nabierać polski rząd, były przez jego unijnych przeciwników (bo nie są to partnerzy) z satysfakcją łamane, a Morawiecki płacił za to polityczną cenę. Podobnie może być z ostatnią umową.

Już po opuszczeniu naszego kraju von der Leyen zadeklarowała: „Polska musi do końca 2023 r. wykazać, że wszyscy sędziowie, którzy zostali pozbawieni swojej funkcji niezgodnie z prawem, zostali przywrócenii do pracy. Jeżeli to nie nastąpi, nie będzie żadnych wypłat”. KE nie posiada kompetencji, by ingerować w wymiar prawa krajów członkowskich, sprawy takie nie mają żadnego związku z funduszami unijnymi, ale przewodnicząca się tym nie przejmuje. W tym przypadku „zgodnie z prawem” oznacza pod dyktando dominujących ośrodków UE. Jeśli PiS się na to zgodzi, to czym będzie się różnił od PO?

UE w kształcie obecnym jest tworem zdegenerowanym oraz oligarchicznym i sama podważa rację swojego bytu. Nawet radykalne zwiększenie (co nie jest możliwe) funduszy strukturalnych, które do nas płyną, a będą desygnowane na Zielony Ład czy coś równie urodziwego, nie zmieni faktu, że przynależność do Unii na obecnych zasadach będzie blokować rozwój Polski, nie mówiąc o tym, że pozbawia nas podmiotowości i niszczy demokrację. Wprawdzie opuszczenie UE nie jest dziś realne, ale trzeba robić wszystko, by przygotować Polaków do tego rozwiązania, chyba że głęboka reforma umożliwi powrót do realnej europejskiej wspólnoty. 



I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Sojusznicy czy cynicy?

Tak czy owak „przywiezienie” Polsce pieniędzy przez szefową Komisji Europejskiej jest jakimś sukcesem. Przecież mogli nie dać. Parszywa 20 renegatów ogłasza nieustannie rezolucje i petycje, żeby Polsce nic nie dawać, ani centa, feniga, grosza! A jednak Najjaśniejsza Eurowładza dała! Jeżeli hrabina Rózia się oburza, to znaczy, że stało się coś dobrego! Jeżeli prof. Badurski się wścieka, to sukces! Jeżeli Verhofstadt atakuje von der Leyen, to jest OK!

Nasi sojusznicy z UE zostali zweryfikowani przez walczącą Ukrainę. Kto jest ze stajni Putina, dostał rozkaz, by go bronić, a przy okazji przykopać Polsce. Unijni dominatorzy od lat lubią nas stawiać do kąta i upokarzać, a w porywach nienawiści grozić zagłodzeniem. Czy takie postępowanie jest zgodne z literą i duchem podpisanych przez Polskę traktatów? Czy to są osławione standardy europejskie: stawianie warunków z byle powodu, groźby, naciski itp.?

Problem eurokratów z Polakami polega na tym, że my w historycznie nieodległym czasie mieliśmy podobnych sojuszników.



**Jan
Pietrzak**

Nazywało się toto: RWPG i Pakt Warszawski ze Związkiem Radzieckim na czele. Imperium zła, jak je celnie nazwał prezydent Reagan, rozgoniliśmy, ponieważ nie potrzebny nam nikt „na czele”. Chcemy mieć rozumnych partnerów, a nie cynicznych krętaczy, którzy nie uznają żadnego minimum wspólnotowej lojalności.

Do historii cyrku przejdą żalostne podrygi kancle-rza Scholza wokół militarnej pomocy dla zrujnowanej Ukrainy. Jak nie dać żadnego wsparcia, udając, że się pomaga? To nawet nie jest urzędnicza bezradność, to jest ludzka, personalna nieprzyzwoitość. Stare porzekadło głosi: kiedy nie wiesz, jak się zachować, zachowaj się przyzwoicie. Otóż Niemcy – i Francja razem z nimi – nie znają pojęcia przyzwoitości. Mówię o strukturach państwowych, nie o społeczeństwach. Społeczeństwa „starej” Europy wydają się zdezorientowane, co zapewne doprowadzi do istotnych ruchów tektonicznych w sferze polityki. A jeżeli biedniejsza Rosja przestanie dofinansowywać swoich agentów, czekają Europę zaskakujące zmiany. Coś mi mówi, że na lepsze!

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Upadłe anioły III RP

Ziemia („ta ziemia”) zadrżała w posadach. Filary systemu propagandowego III Rzeczypospolitej i postkomunizmu w ciągu kilku dni pękły. Najpierw Tomasz Lis został z dnia na dzień wyrzucony z „Newsweeka”, potem Edward Miszczak stracił stanowisko w TVN.

W przypadku tego ostatniego trudno się dziwić: sterany życiem i emocjami redaktor popularnej prywatnej telewizji w końcu musiał być odsunięty na boczny tor i – z czasem – zesłany na emeryturę, bo już jakiś czas temu osiągnął odpowiedni wiek. Nie miałem przyjemności poznać pana Miszczaka, ale pamiętam, że o jego ogromnych wpływach w stacji Jana Wejcherta i Mariusza Waltera krążyły w dziennikarskim środowisku legendy.

Ostatecznie TVN został sprzedany jednym zagranicznym inwestorom, potem kolejnym. Miszczak trwał, ale najwyraźniej bez wsparcia postkomunistycznych patronów był coraz słabszy. Teraz przestaje być dyrektorem programowym, jeszcze na jakiś czas pozostanie szefem pionu programmingu – cokolwiek to znaczy – ale najpewniej to stanowisko tytularne, pozwalające zasłużonemu menedżerowi odejść z twarzą. Choć czytając wysławiający Miszczaka pod niebiosa felieton Bartka Węglarczyka



**Dominik
Zdort**

w Onecie, można by przypuszczać, że stary Don Vito zachował jeszcze wpływy, a młody Don Michael jeszcze nie został intronizowany.

Przy obecnych podziałach w Polsce, podziałach wśród zwykłych ludzi, a tym silniejszych wśród dziennikarzy, trudno dowiedzieć się, o co chodzi. Pewnie wiedzą to członkowie „partii wewnętrznej”, ale tylko oni. Dlaczego stanowisko stracił Miszczak? Dlaczego szwajcarsko-niemiecki właściciel z dnia na dzień na zbity pysk wyrzucił Tomka Lisa? Przecież był najwierniejszym z buldogów pilnujących linii politycznej pisma. Nie odpuszczał, twardy był, potrafił dać kilka(naście?) z rzędu okładek tygodnika glanujących wrogów swoich politycznych patronów.

Tym, którym się wydaje, że na miejsce Lisa i Miszczaka przyjdą redaktorzy bardziej cywilizowani, uczciwsi, mniej uzależnieni od jednego obozu politycznego, radziłbym porzucić nadzieję. Stanowisko Miszczaka obejmie bardziej energiczny propagandysta. Lisa też zastąpi młody wilczek, chodzący na pasku tej samej partii, jeszcze bardziej bezwzględny i cyniczny. Ideologiczna i polityczna linia się nie zmieni – wszak to konglomerat sterowany sztywnymi łącami z centralą w Brukseli.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

Przyszły potencjalny kandydat na prezydenta z ramienia Platformy Obywatelskiej właśnie sprowadził połowę swojego elektoratu, a szerzej – połowę społeczeństwa – do części ciała, na której siedzimy. Został za to upomniany i przeprosił, ale zrobił to w taki sposób, że pozostaje mieć nadzieję, że żeński elektorat będzie przy urnie wyborczej miał Rafała Trzaskowskiego właśnie w tej części ciała, do której został ograniczony.

Przyznam szczerze, że oczy i uszy przecierałam ze zdziwienia, słysząc to specyficzne wyznanie prezydenta dużego miasta w środku Europy i widząc jednocześnie jego rehot z użycia określenia, którego do tej pory nie znałam. Rafał Trzaskowski wszem wobec ogłosił, że jest burakiem, i jeszcze się z tego cieszył.

Określenie „dupiarz” pojawiło się w wywiadzie, którego władarz stolicy udzielił Kubie Wojewódzkemu i Piotrowi Kędzierskiemu. Podczas rozmowy Wojewódzki zapytał Trzaskowskiego, dlaczego słowo „bawidamek” zna jedynie z opowieści swojej babci. Wówczas pan prezydent przyznał się, że bardziej pasuje mu podobno bardziej aktualne określenie „dupiarz” i przyznał się do „zaliczania” (bo chyba o to chodzi) w młodości wielu kobiet. Słowa te przyszły kandydat na prezydenta okraszył dość szpetnym rehotem.

Rafał Trzaskowski najwyraźniej dał się zwieść konwencji programu. Jako przedstawiciel wiecznej platformianej młodości, wiecznie świetnie rogujący, wszedł w młodzieżową, luźną konwencję rozmowy. Wiadomo, bycie 50-letnim wiecznym chłopcem w krótkich spodenkach zobowiązuje. I właściwie nic by mi było do tego, jak się zabawiał w młodości pan Trzaskowski, gdyby nie fakt, że nie kryje on swojego apetytu na urząd głowy państwa, a właśnie pokazał, że połowa społeczeństwa to dla niego wyłącznie „dupy”. Nie wiem, co na to potencjalne wyborczynie pana Trzaskowskiego, jednak wydaje mi się, że uczynienie atutu z „wyrywania lasek” to niezbyt trafiony pomysł na kampanię. Zwłaszcza w przypadku osoby, która

„Dupiarz” na prezydenta?

Przyznam szczerze, że oczy i uszy przecierałam ze zdziwienia, słysząc to specyficzne wyznanie prezydenta dużego miasta w środku Europy

grubiańskie wypowiedzi wobec kobiet. O koleżance europosłance mówił, by „wałnęła się w zatłuszczony leń”, o innej przedstawicielce płci pięknej, że jest „biurwą, którą trzeba było przepierd...ić”, o kolejnej, że „nie zrzuciłby z końca członka”. Dziennikarkę porównał z „burą suką”, a do jednej z posłanek zwrócił się „bujaj się, wariatko”. Nie sądziłam jednak, że do tego „szacownego” grona, publicznie gardzącego kobietami, aspikuje pan Trzaskowski.

Zrugany przez wielu polityków PO Rafał Trzaskowski przeprosił za swoją wylewność. Przeprosił jednak dość specyficznie. Po pierwsze, powiedział, że dla takich słów, jakich użył, nie ma ani nie powinno być miejsca w przestrzeni publicznej. Jednak sam właściwie chwilę wcześniej takie słowo do debaty publicznej wprowadził. Jednocześnie przeprosił wszystkich tych, którzy poculi się urażeni. A raczej należałoby przeprosić wszystkie kobiety za sprowadzenie ich do roli „dupy”. No, ale Rafał Trzaskowski ratuje sytuację, tak jak potrafi, czyli skleja to, co się rozleciało, taśmą klejącą.

Do czasu rozpoczęcia kampanii wyborczej potencjalny kandydat na prezydenta powinien krótkie spodenki zamienić jak najszybciej na długie nogawki. Czy kobiecy elektorat do czasu wyborów zapomni? Pewnie władarz stolicy zrobi wiele, by go uwieść (ups!). Ja mam niestety nieprzejmne wrażenie, że Rafał Trzaskowski okazał się nie tyle „dupiarzem”, ile zwykłym du...iem. I to już z nim zostanie. **✚**

Dorota Łosiewicz





Walizka Jarosława Sellina

wiceministra kultury i dziedzictwa narodowego

Większość moich częstych zagranicznych i krajowych podróży ma charakter służbowy. Jestem zapraszany na mnóstwo wydarzeń kulturalnych, na spotkania muzealników i konserwatorów. Z racji pełnienia obowiązków generalnego konserwatora zabytków spotykam się z właścicielami zabytków, a ponieważ moją pasją jest poznawanie zabytków i zbiorów muzealnych, bardzo chętnie przyjmuję takie zaproszenia. Zawsze, nawet w czasie służbowych wyjazdów, staram się pójść gdzieś prywatnie, żeby np. w mieście o pięknej architekturze zobaczyć coś poza planem, jakiś wyjątkowy obiekt sztuki. Jeżeli w pobliżu jest piękna natura, idę na długi spacer. Nie będę się skupiał na tym, co zabieram na oficjalne spotkania, lecz opowiem o tym, co lubię zabrać w drogę ze swojej osobistej potrzeby.



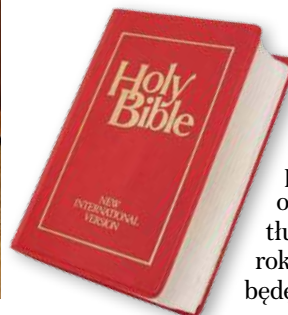
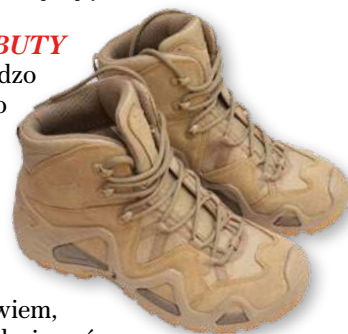
MUZEA

Ta broszura pokazuje, jak w ostatnich siedmiu latach zainwestowaliśmy bardzo mocno w muzea. To jest także nasze wiano na 100-lecie odzyskania niepodległości.

Powstało mnóstwo nowych muzeów, sporo zmodernizowaliśmy. Do moich obowiązków należy odwiedzanie tych placówek, żeby sprawdzać, na jakim etapie inwestycyjnym się znajdują.

BUTY

Jak już wspomniałem, bardzo lubię korzystać z okazji do pieszej wędrowki. Ten model obuwia jest dobry na każdą pogodę, ponieważ utrzymują ciepło przy -30 st. C i nie powodują przegrzania stóp przy +30. W dodatku są wodoszczelne. Z tego, co wiem, używają ich polscy komandosi, zarówno w mroźnych górach, jak i na gorących piaskach pustyni.



BIBLIA

Codziennie, niezależnie, czy jestem w domu, czy w podróży, zaglądam do Biblii, zarówno do Starego, jak i Nowego Testamentu, żeby przeczytać parę zdań do refleksji. Mam osiem różnych tłumaczeń polskich i dwa tłumaczenia angielskie. Zawsze każdego roku decyduję, do którego tłumaczenia będę zaglądał, i taką Biblię biorę.

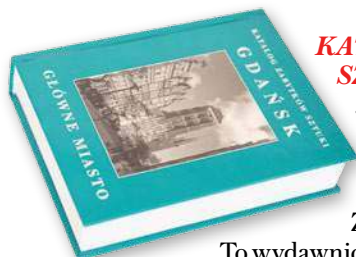


MAPY

Jeżeli chodzi o wędrowanie, jestem bardzo tradycyjny. Choć GPS ułatwia przemieszczanie się, to lubię poruszać się po jakimś historycznym mieście, korzystając z papierowej mapy. To samo dotyczy map całych krajów, które dokładnie pokazują topografię terenu.

LEKTURA

Często w mojej walizce można znaleźć dobrą lekturę, na ogół historyczną albo beletrystyczną. Teraz czytam kultową powieść Floriana Czarnyszewicza „Nadberezyńcy” ukazującą losy mieszkańców polskich zaścianków zza Berezyny w latach 1911–1920. Lubię też polską poezję. Polecam np. wiersze gdańskiego poety Kazimierza Nowosielskiego z grupy Topos. To także znakomity eseista i literaturoznawca.



KATALOG ZABYTEKÓW SZTUKI

Jako historyk i miłośnik zabytków staram się na podróże po kraju zabierać Katalog Zabytków Sztuki w Polsce.

To wydawnictwo, publikowane od lat 40., nadal jest nieukończonym i stale można w nim znaleźć coś nowego. Jestem dumny właścicielem 140 tomów, w których znajdują się najdokładniejsze zestawy zabytków ruchomych i nieruchomych w każdym mieście, w każdej gminie, w każdym powiecie w Polsce.

MISTRZOWIE DUCHOWI

Lubię kontemplować dzieła moich pięciu mistrzów duchowych z ostatnich 2000 lat, a są nimi (w kolejności chronologicznej): Augustyn, Tomasz à Kempis, John Henry Newman, Faustyna Kowalska i Josemaría Escrivá de Balaguer.



PRACA DOKTORSKA

Obecnie pracuję nad zredagowaniem mojej obronionej niedawno pracy doktorskiej. Ponieważ chcę ją wydrukować, wykorzystuję każdą wolną chwilę, także podczas podróży. W przyszłości będę zabierał książkę, by wręczać ją zainteresowanym.

ENERGIA

Jestem łasuchem, więc lubię zabrać z sobą coś słodkiego. Do moich ulubionych słodczy należą sezamki, bo są zdrowe i energetyczne. Z kolei moja teściowa zawsze przed podróżą domaga się, żebym nie zapomniał o czekoladzie. Koniecznie deserowej. Uważa, że w przypadku utraty mocy ten przysmak mnie wzmocni.



OKULARY

Mam dość dużą wadę wzroku, więc dodatkowe, awaryjne okulary są niezbędne.

MUZYKA

Nie mogę przeżyć dnia bez kontaktu z dobrą muzyką, choćby tylko przez chwilę. Żarówno w domu, jak i w podróży. Słucham muzyki klasycznej, dobrego jazzu, a także klasycznego, raczej progresywnego rocka.



LUŻNY UBIÓR

Garnitur to mundur urzędnika, ale gdy pojawia się okazja, żeby poczuć się swobodniej, to zawsze mam z sobą luźniejszy zestaw: lekką, casualową marynarkę i niebieską (lubią najbardziej, nawet latem) koszulę.



Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

OGNIEM NA WPROST

Podaj hasło!



Odnalazł się kolejny Polak walczący z bronią w rękę o wolność Ukrainy. Pochodzi z Gdańska. „Nie jestem najemnikiem, tylko ochotnikiem. Za udział w bojach nie biorę ani hrywny” – zastrzega. Z zawodu jest żołnierzem. Przedstawia się również jako zagorzały kibic Lechii Gdańsk i Pomezanii Malbork. „Przygodę z kibicowaniem rozpocząłem w latach 90., a każdy, kto ma choć trochę wiedzy na ten temat, wie, jak wówczas te mecze wyglądały. Stamtąd wyniosłem serce do walki, nieobce mi są pojęcia: honor, przyjaźń i nienawiść. No i ta nienawiść była, bo co tu dużo mówić – nie lubiłem Ukraińców, wiadomo – Bandera, UPA, Wołyni, to z tym mi się kojarzyli. Ale poznałem ich lepiej w trakcie wspólnej z nimi pracy i dzielenia mieszkania w Polsce. Zobaczyłem, jak oni żyją, jak jest im ciężko, jak po pracy zostają w domu, nie wychodzą w miasto, bo boją się, że ktoś ich pobije. To otworzyło mi oczy, polubiłem ich. A teraz wojna wiele zweryfikowała” – mówi to już jako towarzysz broni. Od pierwszego ostrzału, od pierwszego zabitego, pierwszych rannych ta wojna stała się jego wojną. Kiedy zostali okrążeni gdzieś między Mikołajowem i Chersoniem, „lokalna ludność przynosiła nam w woreczku parę łyżeczek kawy, trzy jajka. Widać było, że odejmowali sobie od ust. Ale oni się cieszyli, że my tu jesteśmy. I każdy chciał sobie z Polakiem zdjęcie zrobić. Na południu byłem trochę takim zjawiskiem. Gdy musiałem skorzystać z pomocy prywatnego stomatologa, to cztery osoby zajmowały się mną przez ponad godzinę, nie biorąc za to ani hrywny. Dla Polaków, mówią, jest za darmo! Polak będzie nas bronił!” – opowiada.

Ciekawego mejlą otrzymał mieszkaniec Mariupola, który z powodu nieprzerwanych rosyjskich ataków musiał uciekać z miasta. Kiedy wszedł na swoją skrzynkę mejlową, zauważył list od nieznanego nadawcy. Okazało się, że to był list od rosyjskiego żołdaka. Wojskowy, który ukradł mieszkańcowi Mariupola konsolę PlayStation 4, napisał do właściciela z prośbą o... kod do płatnej usługi PS Network. Rosjanin traktował sprawę jako całkowicie normalną i zapewniał, że „nie będzie czytać jego poczty, a tylko chce mieć dostęp do gier”. Właściciel odpisał tylko jednym słowem: „Nie!”. Roski jednak nie ustępował. „Chcę tylko hasło, nie potrzebuję twojej poczty” – pisał ork z błędami ortograficznymi. Ukraińiec postanowił nie odpowiadać więcej złodziejowi. Ten z kolei wyraźnie się rozeźlił i znowu usiadł do klawiatury, wystukując: „Odpiszesz czy już nie żyjesz?”. Cokolwiek by tam pisał, od II wojny światowej niewielkie zmiany zaszły w świadomości Rosjan, przez co nadal aktualne są słowa piosenki o półgłówkach spod znaku czerwonej gwiazdy i dwugłowego orła: „Job twoju mat’ my kulturnyj narod”.

Jak poinformował w swoim najnowszym raporcie amerykański Instytut Badań nad Wojną (ISW), rosyjskie wojska rozpoczęły wycofywanie się ze swoich pozycji w obwodzie zaporoskim na południu Ukrainy. Może to być spowodowane dwiema przyczynami. Albo Rosjanie przemieszczają osłabione jednostki na tyły, albo też chcą nimi wzmocnić obronę na północnym zachodzie obwodu chersońskiego. Tę drugą wersję zdaje się potwierdzać również szef władz obwodu zaporoskiego Ołeksandr Staruch, który

już wcześniej oznajmił, że rosyjscy okupanci wycofują wojska z rejonu melitopolskiego i częściowo wasylowskiego i przemieszczają się w kierunku Chersonia. To może oznaczać „krótką koldrę” po zachodniej stronie Dniepru w trójkącie Mikołajów – Krzywy Róg – Chersoń, który w ostatnich dniach jest atakowany przez ukraińskie kontruderzenie. Ale jak Roski odsłoni Zaporozże, to może się ciężko zdziwić, jak w to miejsce uderzą niebiesko-żółte rezerwy. A wtedy w razie powodzenia Krym może stanąć otworem, a siły Moskali po zachodniej stronie Dniepru zostać odcięte. Teoretycznie Rosjanie powinni to wiedzieć, ale w tej wojnie narobili tyle błędów, że i ten wydaje się całkiem prawdopodobny. Szykuje się niezły bigos.

Dzięki rozpropagowaniu akcji pomocy przez naszego reportera wojennego Kubę Maciejewskiego chłopaki w okopach Donbasu dostali zamawiane termowizory. Teraz uśmiechają się zawadiacko i cieszą się z przesyłki. „Wreszcie do nich dotarły – pisze Kuba. – Nabyte ze środków zebranych z wpłat w internecie, zakupionych przez Stowarzyszenie Dwa Promienie, wiezionych do samego Donbasu przez całą sztafetę ludzi. Od dziś rosyjscy zwiadowcy sobie tak pod ich okop nie podejdą. Dywersanci nie przyczają się za zagajnikiem, nie podczołga się do nich żaden rosyjski cwaniaczek z dronem. Chłopaki dostali konkretną pomoc, a oprócz tego znak od Polski, twarde i serdeczne: trzymajcie się”. Apel pozostaje ten sam. Ukraińskich żołnierzy można wesprzeć datkiem w akcji „Sprzęt dla żołnierzy w obłożonym Kijowie” na zrzutka.pl.

Andrzej Rafał Potocki

Stracona szansa

Od maja ustanowiono bezpośrednie połączenie lotnicze na linii Warszawa–Baku. Azerbejdżan to państwo, z którym łączy Polskę oficjalne relacje od XV w., i choć dzieli nas wiele tysięcy kilometrów i zasadniczo różnymi się kulturowo, to mamy w historii wiele ważnych punktów odniesienia, które pozwalają się dobrze nawzajem rozumieć.

W 1918 r., podobnie jak Polska, Demokratyczna Republika Azerbejdżanu zaistniała na mapach świata, a dzięki wstawiennictwu Ignacego Paderewskiego Rzeczpospolita znalazła się w gronie państw, które uznawały ją jako pierwsze. Azerbejdżan to świeckie państwo muzułmańskie, w którym tak jak w okresie naszego 20-lecia kobiety zyskały prawa wyborcze. Znalazło w nim swój dom wielu Polaków, którzy wcześniej zostali wywiezieni w głąb Rosji. Nasi obywatele zasiadali w ówczesnym azerskim parlamencie. Słynęli jako uznani architekci budynków użyteczności publicznej, a nawet meczetów. Pierwszym rektorem uniwersytetu w Baku został Polak. Naszymi rodakami byli kierownik kancelarii premiera, zastępcy ministrów spraw zagranicznych i sprawiedliwości, członkowie parlamentu, dowódca artylerii, prezydenci miast Baku i Gandza. Na przełomie XIX i XX w. Polacy odegrali istotną rolę w tworzeniu przemysłu naftowego w Azerbejdżanie.

W 2005 r. w parku Wolności przy Muzeum Powstania Warszawskiego prezydent Azerbejdżanu İlham Alijew i prezydent Warszawy Lech Kaczyński odsłoniли tablicę ku czci azerskich oficerów poległych w służbie Rzeczypospolitej na różnych frontach w latach 1939–1945. Jesienią 2005 r. Lech Kaczyński wygrywa wybory prezydenckie i przystępuje do tworzenia pionierskiej osi współpracy, mającej na celu uniezależnienie energetyczne Polski od Rosji. Azerbejdżan to potęgą w wydobyciu ropy naftowej. Zdaniem prezydenta Kaczyńskiego kraj ten ze swoimi surowcami dawał szansę na zapewnienie bezpieczeństwa energetycznego nie tylko Polsce, ale i całej Unii Europejskiej. W maju 2007 r. w Krakowie z inicjatywy Lecha Kaczyńskiego odbył się szczyt energetyczny, na którym przywódcy Polski, Litwy, Gruzji, Ukrainy, Azerbejdżanu i przedstawiciel prezydenta Kazachstanu zadeklarowali współpracę w dziedzinie energetyki, zwłaszcza przy przedłużeniu ukończonego w 2002 r. rurociągu Odessa–Brody do Gdańska. Państwa te zobowiązały się do przygotowania umowy w sprawie budowy tego odcinka ropociągu, utworzenia ministerialnej grupy roboczej i powołania spółki, która zajmie się komercyjną częścią projektu. Chodziło o stworzenie nowego, alternatywnego dla rosyjskiego szlaku dostaw ropy naftowej z Azji Środkowej do Europy. Drugi szczyt energetyczny odbył się w Wilnie. Prezydenci pięciu państw podpisali umowę o współpracy energetycznej oraz w sprawie powołania spółki Sarmatia. Trzeci szczyt energetyczny miał miejsce w Kijowie. Podpisano na nim deklarację o zasadach globalnego bezpieczeństwa, koncepcję bałtycko-czarnomorsko-kaspijskiego stowarzyszenia energetycznego oraz dokument dotyczący rozwoju ropociągu



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Odessa–Brody, który pozwoli na transport ropy naftowej ze złóż Morza Kaspijskiego do Polski i Europy oraz umożliwi zwiększenie eksportu kaspijskiego surowca na nowe rynki. Analizowano także koncepcję euroazjatyckiego korytarza transportowego angażującą rafinerie słowackie i czeskie.

14 kwietnia 2008 r. w obecności prezydenta Ukrainy Wiktora Juszczuki i prezydenta Polski Lecha Kaczyńskiego została podpisana umowa na realizację techniczno-ekonomicznego uzasadnienia projektu Odessa–Brody–Płock–Gdańsk. Latem 2009 r. Lech Kaczyński udał się do Baku. W jego obecności przedstawiciele firmy Lotos i spółki naftowej Socar podpisali list intencyjny o wspólnych działaniach dotyczących wydobycia i przerobu ropy naftowej. Prezydenci Polski i Azerbejdżanu powołali stały komitet doradczy mający na celu usprawnienie współpracy między oboma krajami. Podobne komitety działały w relacjach z Ukrainą, Rumunią, Litwą i Turcją. Zróżnicowanie dostaw ropy do Europy zmniejszyłoby ilość rosyjskich paliw sprzedawanych na rynku europejskim. Strumień finansowy wykorzystywany na rosyjskie zbrojenia byłby nieporównanie mniejszy, a tym samym mniejsze ryzyko napaści przez Rosję.

*Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 31 maja 2022 r. zmarł w Kanadzie*

ŚP KPT. WŁADYSŁAW SZWENDER

urodzony 24 października 1924 r. w Międzyrzeczu Podlaskim.

*W kwietniu 1940 r. wraz z rodziną zesłany przez NKWD
z Baranowicz do północnego Kazachstanu.*

*Od marca 1942 r. żołnierz 10. Dywizji Piechoty
w składzie Armii Polskiej formowanej w ZSRR.*

*Od maja 1942 r. służył na Bliskim Wschodzie
w 3. Dywizji Strzelców Karpaccich.*

*Od lutego 1944 r. walczył w kampanii włoskiej
w 6. Batalionie Strzelców Karpaccich.*

Ranny pod Monte Cassino.

*Przeszedł cały szlak bojowy 2. Korpusu Polskiego
od walk nad rzeką Sangro do wyzwolenia Bolonii.*

Po wojnie pozostał na emigracji w Kanadzie.

Założony działacz kombatancki i polonijny.

*Uchonorowany Krzyżem Walecznych, Krzyżem Monte Cassino,
Medalem Pro Bono Poloniae oraz wieloma innymi odznaczeniami
polskimi i brytyjskimi.*

*Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym!
Cześć Jego Pamięci!*

Jan Józef Kasprzyk

Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

16/0622/F

Historia, głupcze!

Najłatwiejsze, a jednocześnie bardzo skuteczne kłamstwo współczesności – to wmówienie młodym, że liczy się tylko teraźniejszość, tu i teraz. Jeśli na coś mają patrzeć z zainteresowaniem, to na przyszłość, a najlepiej przez jej pryzmat odrzucać wszystko to, co kiedyś miało miejsce, naszą przeszłość. To pułapka.

Wprowadzenie nowego przedmiotu w szkole „historia i teraźniejszość” to jedna ze zmian wchodzących w życie w oświacie po wakacjach 2022 r. Już sama informacja o wprowadzeniu go wywołała ogromne oburzenie tej części polskich polityków i komentatorów, którym nie pasuje poświęcanie zbyt wielu godzin lekcyjnych akurat na historię. Niektórych zainspirowała nawet do pewnego ujawnienia wyniesionych z domu fałszywych obrazów przeszłości. I tak w grudniu na antenie TVN24 w trakcie dyskusji na temat tego przedmiotu prowadzący Andrzej Morozowski stwierdził, że po 30 latach od upadku komuny „zaczynamy inaczej patrzeć na historię”. „Za-raz po 1989 r. właściwie wszyscy w czambuł potępiali wszelkie lewicowe ruchy. Dzisiaj zaczynają pojawiać się publikacje,



Samuel Pereira

które mówią: a to nie było takie złe. [...] Gdyby po wojnie do władzy doszła prawica londyńska, toby pewnie tego nie było, nie byłoby takiej walki z analfabetyzmem, nie byłoby elektryfikacji, nie byłoby pewnie kilku innych rzeczy” – przekonywał dziennikarz TVN. Dokładnie ten sam, który po ujawnieniu w „Resortowych dzieciach”, że jego ojciec Mieczysław Morozowski (Mordechaj Mozes) był komunistycznym zbrodniarzem – razem z Tomaszem Lisem i Marcinem Mellerem przedstawiali podawanie tego faktu do wiadomości publicznej jako... antysemityzm.

Przywołuję ten przykład, bo jak na dłoni pokazuje, jak bardzo wciąż jest potrzebna młodym ludziom wiedza historyczna i dlaczego niektórzy mogą jej bardzo nie chcieć. I nie chodzi tu nawet o deklarowaną przez nich listę priorytetów, na której na pierwszym miejscu są inne przedmioty, ale o zdolność manipulowania młodymi, którzy nie znają historii. I trudność w mieszanii im w głowach, gdy przeszłość swojego kraju i świata jest im dobrze znana.

Autor jest szefem portalu tvp.info

Kawałek serca zostawiłam w Zakopanem

Z Basią Giewont, wokalistką, aktorką teatralną i musicalową, rozmawia Jolanta Gajda-Zadzworna



Znudziła się pani Warszawa?

Basia Giewont: [śmiech] Nie, absolutnie nie! Bardzo lubię to miasto, tutaj mam swoją miłość, przyjaciół i na razie to właśnie w Warszawie jest całe moje życie. Kawałek serca zostawiłam jednak w Zakopanem. To właśnie w Tatrzy wzywa mnie moja artystyczna dusza.

Czy singiel „Nie bede” jest zapowiedzią dłuższego powrotu do góralskich tradycji?

„Nie bede” to początek nowego projektu, którym po latach twórczej pracy muzycznej wracam do domu. Pracuję nad płytą i chciałabym, żeby stylistycznie nawiązywała do moich korzeni.

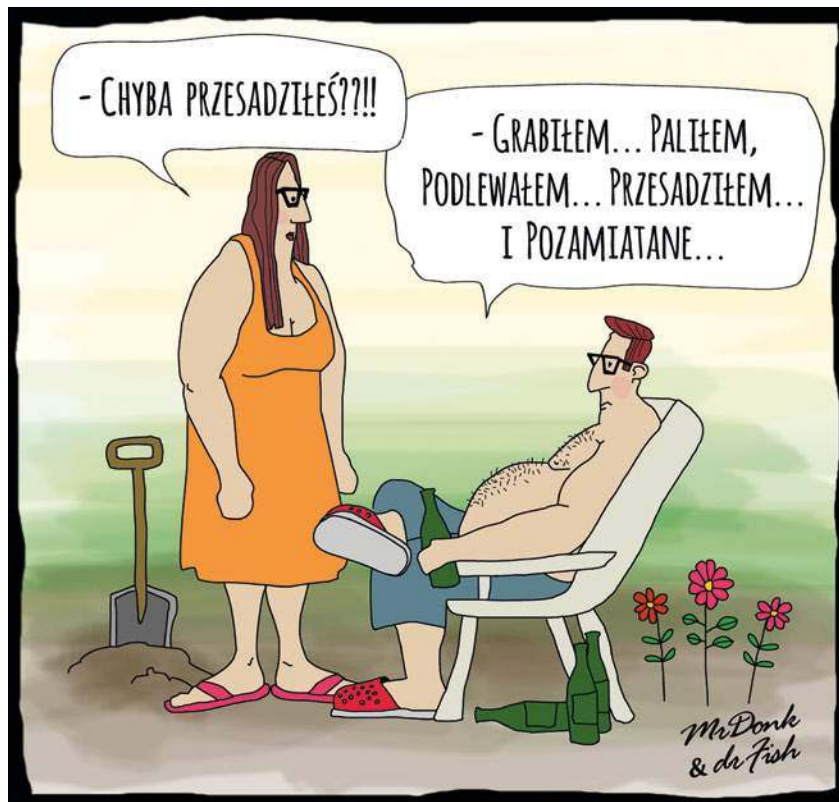
Dlaczego na pierwszy ogień, singiel i teledysk, wybrała pani ten właśnie utwór?

Przypadek?! A może przeznaczenie? Wszystko wydarzyło się bardzo

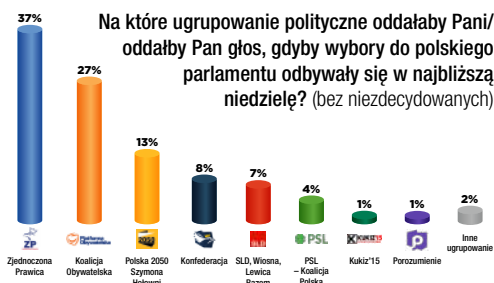
szybko, w wyniku zbiegu okoliczności. Piosenka ta jest spełnieniem moich marzeń. Napisałam ją z myślą o Debiutach. To właśnie ten konkurs sprowokował mój powrót do ukochanych miejsc i melodii. Tekst napisałam sama, a muzykę stworzyliśmy wspólnie z Mateuszem Frankiewiczem i Ignacym Matuszewskim. Teledysk był kręcony w Zakopanem, a zdjęcia do niego wykonał wspólnie Tomasz Muskus.

Co wydarzy się 18 czerwca? I co dalej?

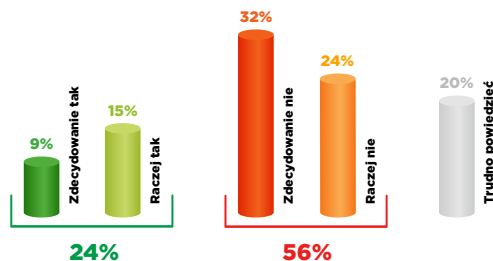
W sobotę 18 czerwca będę brała udział w konkursie Debiuty podczas 59. KFPP Opole 2022. A co potem? Oczywiście chciałabym pokazywać swoją twórczość całej Polsce, na różnych scenach. Mam nadzieję, że ludzie będą słuchać mojej muzyki. Że będą czekali na więcej...



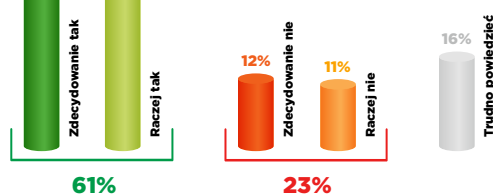
pracownia Social Changes dla wPolityce.pl



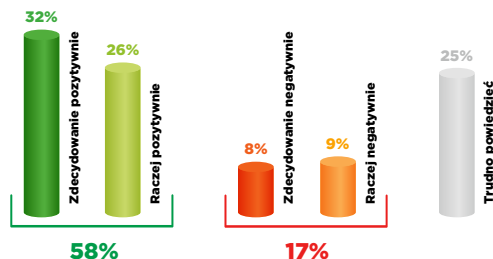
Czy Pani/Pana zdaniem Donald Tusk jest w stanie poprowadzić opozycję do zwycięstwa w najbliższych wyborach parlamentarnych i przejąć władzę od Prawa i Sprawiedliwości?



Czy popiera Pani/Pan przekazywanie przez Polskę ciężkiego sprzętu wojskowego, takiego jak np. czołgi T-72 i armatohaubice Krab, Ukrainie?



Jak ocenia Pani/Pan decyzję o budowie przekopu przez Mierzeję Wiślaną, który umożliwi dostęp do kilku polskich portów w Elblągu, Tolkmicku, Fromborku, bez zgody Rosji?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięto udział N=1065. Zakres czasowy badania 3-6 czerwca 2022 r.

SIECI

ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL.: (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWINSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCİKOWSKA,
MARIOLA.BARCİKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA LABECKA@FRATRIA.PL,
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PREENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PREENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PREENUMERATY

PREENUMERATA REALIZOWANA PRZECZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PREENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PREENUMERATA.RUCH.COM.PL.

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK,
JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAEŁ POTOCKI, WOJCIECH
RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA,
WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIEŹLIK, ROBERT TEKIELI,
BRONISŁAW WILDESTEN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT,
ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DĄBROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TYTUŁACZNIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZECZ WYDAWCĄ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WITKOR (40), KPM, KAROL MAKURAT/REPORTER, TINSLETOWN,
GENARO LEONARDI/PHOTOS/SHUTTERSTOCK (40)



Nie powiedzą nikomu?

*Jakie były prawdziwe
powody zwolnienia
redaktora naczelnego
„Newsweeka”?*

*Warszawa huczy od
niepotwierdzonych plotek
o mobbingu, a nawet
molestowaniu. Niektórzy
spekulują, że lada
moment wybuchnie
bomba obyczajowa,
która ostatecznie
zakończy medialną
karierę Tomasza Lisa.
Tymczasem jego ostatni
pracodawca nabiera
wody w usta i udaje,
że tematu nie ma*



MAREK PYZA

Mam 30 lat stażu w mediach, pracowałem z wieloma różnymi szefami. Czasem puszczały im nerwy, ale później było widać, że czuli się z tym źle, wycofywali się ze swoich słów, przepraszaali. W przypadku Lisa miałem wrażenie, że czasem zachowuje się jak osoba, która traci nad sobą kontrolę. Jakby sprawiało mu przyjemność deptanie ludzi. Osobiście nie mam do niego żalu, bo mnie nigdy nie upokorzył, ale wielokrotnie widziałem, jak brutalnie traktował podwładnych. Chwilami zastanawialiśmy się, czy nie ma przypadkiem cyklofrenii, bo z bógostanu i dobrych żartów potrafił natychmiast przejść do lawiny nieuzasadnionego hejtu – opowiada nam doświadczony dziennikarz, który przez kilka lat pracował z Tomaszem Lisem.

Kolejny dodaje: – Jest megalomanem, osobą zdolną do radykalnej zmiany nastroju bez powodu, potrafi po 10 razy opowiadać tę samą anegdotę, oczywiście z sobą w roli głównej. Nie interesuje go, że wszyscy tę historię już słyszeli. Znowu mają rzeć ze śmiechu, bo szef tego oczekuje. Ale ma niezły talent aktorski, więc to „się ogląda”, nawet wielokrotnie.

Takie opinie słyszymy na każdym kroku. Uznanie dla warsztatu i niewątpliwego talentu pochodzącego z Zielonej Góry redaktora miesza się w nich z gorzkimi opisami bezpardonowego traktowania współpracowników.

NAGLE POŻEGNANIE

W 2015 r., po trzech latach rządów Tomasza Lisa, „Newsweek” bił rekordy popularności, co tydzień sprzedawało się 121 tys. egzemplarzy tygodnika. Później było tylko gorzej. Sukcesywne spadki doprowadziły sprzedaż do po-

ziomu 65 tys. egzemplarzy, czyli niemal o połowę mniejszą niż „na górze” sprzed siedmiu lat.

Trudno jednak uwierzyć, by to był powód zwolnienia jednej z najważniejszych postaci dziennikarstwa III RP przez szefostwo szwajcarsko-niemiecko-amerykańskiego koncernu. Po pierwsze, zjazd trwa od wielu lat, więc okazji do ratowania tytułu było już wiele. Po drugie, łatwo słabe wyniki wytłumaczyć obiektywnymi tendencjami na rynku wydawniczym, na którym tracą wszyscy.

Niektórzy upatrują więc przyczyny rozstania Lisa z Ringier Axel Springer Polska w zbyt ostentacyjnym wspieraniu PO, a przede wszystkim w ostatnim tekście opublikowanym przez niego

W sprawie rzekomego molestowania dowody winy Tomasza Lisa są mniej niż wątle. Nieco inaczej wygląda natomiast sprawa niewłaściwych zachowań wobec podwładnych, która niczym mantra pojawia się w niemal każdej rozmowie z jego byłymi współpracownikami

na łamach „Newsweeka”. Trzykrotnie dłuższy niż zwykle wstępniak był ewidentnie pisany w dużych emocjach, na szybko, z literówkami, które korekta powinna była wylapać. Redaktor stawia tezę, że niemal wszystkie media w Polsce są kupione przez władzę albo przynajmniej spacyfikowane. Dostraja się nawet RMF, WP czy TVN24. Wszystkim i na odlew. Tekst sprawia wrażenie pożegnania.

Dzień po ukazaniu się tekstu Lis usłyszał od Marka Dekana, prezesa RASP, że jest zwolniony. – Słyszałem, że Dekan przyjechał do Warszawy w trybie

pilnym, specjalnie w tym celu, wezwał Lisa, czego on się kompletnie nie spodziewał. Swoją drogą, pamiętam jak Tomek wielokrotnie kpil z Dekana, ostentacyjnie go lekcewał, mówiąc, że ma bezpośrednie relacje ze szwajcarskimi właścicielami RASP i nie musi się przejmować prezesem – to pierwsza opinia, którą słyszymy od dziennikarza z koncernu przy Domaniewskiej.

Druga jest odwrotna: – Lis wiedział, że to wybuchnie, wykonał więc ruch wyprzedzający i wylał wszystkie swoje żale pod adresem środowiska, w którym znowu przestaje odgrywać pierwszoplanową rolę. Na swojej drodze zmienił się na drobne, m.in. przez swoją działalność na Twitterze. Zawsze się jej dziwiłem. W zwykłej rozmowie twarzą w twarz on jest zupełnie inny. Diabeł wstępuje w niego, gdy siada do klawiatury i leci przekazami dnia.

POWAŻNE OSKARŻENIA

Co miało wybuchnąć? Dwa dni po ogłoszeniu rozstania na stronach press.pl przeczytaliśmy, że RASP nie zaprzeczyło, iż w wydawnictwie działa specjalna komisja wyjaśniająca zachowanie Tomasza Lisa. Nie zdementowało też doniesień o przypadkach mobbingu, którymi komisja miałaby się zajmować.

Oliwy do ognia dołał Aleksander Twardowski, publicysta m.in. lewicowego „Liberte!”. Napisał na Twitterze: „W kwestii zwolnienia znanego redaktora naczelnego rozmawiałem przez ponad godzinę z jego byłymi podwładnymi i z dziennikarzami innego znanego internetowego portalu – od dwóch dziennikarzy padło, że został zwolniony przez trwający przez lata mobbing i molestowanie. Molestowanie miało dotyczyć pracownicy tego znanego portalu internetowego – zostało to zgłoszone naczelnemu portalu, który postanowił nie reagować. Taka męska solidarność. W portalu wszyscy wiedzieli od dawna. Ale każdy się bał. Teraz boją się, że zostanie zamiecione pod dywan”.

Dodajmy, że sensacyjnie brzmiący wpis Twardowskiego nie był jednostkowy. Jego autor chętnie odpowiadał na

wątpliwości wielu użytkowników serwisu społecznościowego. Zarzekał się, że rozmawiał z „powszechnie znanymi” trzema dziennikarzami pisma, którzy nawet na piśmie potwierdzili, iż jego wpisy są zgodne z prawdą. Twierdził, że dziennikarze obu redakcji (ma chodzić o pismo i portal internetowy) „chcą, by sprawa nie ucichła”. Deklarował, że w sądzie powie, o kogo chodzi.

Czy to wystarczające dowody, by zdecydowanym tonem pisać o winie Lisa? Oczywiście nie. Jednak wiemy, że sprawą zajmuje się specjalna komisja w RASP, a tych nie powołuje się z błahych powodów. Według naszych rozmówców jej pracami ma kierować Jakub Kudła, główny prawnik koncernu, prawa ręka prezesa Dekana.

Zapytaliśmy więc u źródeł: czy komisja zakończyła już pracę? Czy zajmowała (lub zajmuje) się ona doniesieniami o przypadkach mobbingu i molestowania w redakcjach koncernu i kiedy została powołana? Czy inni funkcyjni pracownicy koncernu byli informowani o przypadkach molestowania lub mobbingu zarzucanych Tomaszowi Lisowi? Czy o wynikach prac komisji zostali bądź zostaną powiadomieni byli współpracownicy Lisa? I wreszcie – jakie były bezpośrednie powody nagłego zwolnienia redaktora naczelnego „Newsweeka”?

Z Zurychu, gdzie mieści się siedziba Ringier AG, odpowiedź nie nadeszła. Malte Wienker z berlińskiej centrali Axel Springer wskazał, by o sprawę pytać polski oddział RAS. Lecz spółka z warszawskiego Mokotowa milczy jak zakłeta.

O komentarz do doniesień Twardowskiego poprosiliśmy też samego Tomasza Lisa. „Nie będę się odnosił do oczywistych bredni opublikowanych przez tego pana. Nie zasługują na to, by jakimikolwiek komentarzem je nobilitować” – odpisał w bardzo uprzejmej wiadomości były już szef „Newsweeka”.

Czy Lis może więc być ofiarą pomówień, niesprawdzonych plotek? Nie nam o tym przesądzać. W sprawie rzekomego molestowania dowody jego winy są mniej niż wątle. Nieco inaczej wygląda natomiast sprawa niewłaściwych zachowań wobec podwładnych, która niczym mantra pojawia się w nie-

mal każdej rozmowie z jego byłymi współpracownikami.

WYZWISKA

Przez lata niejednokrotnie wracały doniesienia o niewłaściwych zachowaniach dziewięciokrotnego laureata Wiktorów. W 2018 r. doszło na Twitterze do burzliwej wymiany zdań między Piotrem Gursztynem (wtedy dyrektorem biura programowego TVP) a Bartoszem Węglarczykiem, szefem Onetu. Gursztyn pisał: „Pouczasz innych, a sam poszedłeś kierować »Rzecz« po czystce politycznej. Potem poszedłeś do RASP, skąd po politycznych naciskach zwolniono G. Jankowskiego. Pracujesz tam z naczelnym mobberem mediów RP, ale siedzisz cicho, bo to ważna szycha. Tak to z Tobą jest, moralisto”. Gdy Węglarczyk w swoim dość obcesowym stylu poprosił o szczegóły („Napisz nazwisko tego głównego mobbera mediów RP, bo nie wiem, o kogo chodzi, bądź mężczyzną albo się zamknij”), publicysta TVP wyjaśnił: „Ten od »ch...« w kasku. Wielu wie, ale milczy, bo się go boi. A nazwisko to Tomasz Lis”. Załączył też link do reportażu „Cała prawda o Hannie Lis” z 2008 r. opublikowanego w „Dzienniku Gazecie Prawnej” (należącym wówczas do RASP).

Jego autorka, Luiza Zalewska, opisując medialną karierę drugiej żony Lisa, ujawniła też wiele skandalicznych zwyczajów naszego bohatera, jeszcze z okresu jego pracy w Polsce.

„[...] pobyt państwa Lisów w Polsce dziennikarze i wydawcy opisują słowami: »koszary«, »dyktatura«, »rządy absolutnego monarchy i jego faworyty«, »regularna rzeź«, »apartheid« – czytaliśmy w »DGP». Zalewska opisała specyficzne relacje, które panowały w redakcji. Potwierdzają to również nasi rozmówcy, opierając się na własnych wspomnieniach. – Rządy Lisa w każdym miejscu wyglądały tak samo – natychmiast tworzył się jego dwór, który funkcjonował wręcz groteskowo. Ludzie szybko łapali, że Tomek lubi, gdy mu się podlizują. Przynosili więc ogóreczki i nadskakiwali. »Tomek, spróbuj, sam robiłem». Bardzo łatwo było wpaść w łaskę szefa, jeszcze łatwiej – w niełaskę – słyszymy od jednego z byłych

reporterów telewizyjnych. Jak dodaje, w redakcji tworzył się swoisty podział klasowy: – Ci, którzy pracowali przy głównym wydaniu, byli oczywiście najwyżej w hierarchii i odczuwało się to na każdym kroku. My, którzy przygotowywaliśmy materiały tylko do wydań „bocznych” (popołudniowych), byliśmy zwykłymi pariasami. Nie tylko dlatego, że zarabialiśmy dużo mniej. O awansie raczej nie mogło być mowy. To był zamknięty krąg.

Legendą obrosła historia, którą opowiada nam jej świadek. – To było w czasie, gdy „Wydarzenia” miały newsroom przy Promenadzie [warszawskie centrum handlowe – przyp. red.]. Lis siedzi w fotelu, nogi jak zwykle trzymając na stole, z papierosem w rękę, przeciąga się i donośnym głosem mówi: „Ale bym się kawy napił!”. W newsroomie cisza. Wszyscy stukają w klawiatury, każdy udaje, że nie słyszy, zwłaszcza że za chwilę serwis ma być na antenie. Z gabinetu dobiega: „Hanka, a ty byś się napiła?”. Ta równie głośno przytakuje. W końcu Lis woła do jednego z dziennikarzy: „M. [tu pada nazwisko – przyp. red.], skocz nam po kawę!”. Podwładny poszedł do Promenady, przyniósł dwa kubki. Wieczorem po kolegium zamykającym dzień podchodzi do Lisa i nieśmiało mówi: „Tomek, słuchaj, te kawy to tyle i tyle kosztowały”. Lis spojrzał na niego, klepnął soczyście w ramię i rzucił: „M., straciłbym do ciebie szacunek, gdybyś przyjął ode mnie takie grosze”.

Kolejny fragment publikacji „Dziennika” sprzed lat: „Gdy jeden z dziennikarzy nagrał swój komentarz, stojąc przed kamerą w kasku, Lis komentował ten pomysł na forum całego newsroomu: »Teraz już wiemy, jak wygląda ch... w kasku«. Gdy dziennikarz zbyt miękkim głosem czytał materiał, Lis pytał: »Co ty, pedałem jesteś? Może byś przerz... jakąś kobietę i zaczął czytać jak mężczyzna?«. Gdy był niezadowolony, krzyczał: »Z ch... się na lby pozamieniales?«”.

– „Ch... w kasku”? Doskonale to pamiętam – wspomina nasz rozmówca. – Chodziło o człowieka, któremu Tomek mógłby buty czyścić. To bardzo dobry reporter, dziś z dużym już doświad-

zeniem w relacjonowaniu konfliktów zbrojnych w różnych częściach świata.

„CO TO JEST, K..., ZBUCZYN?”

– Głównym problemem Lisa były złe relacje z ludźmi. Wszędzie zostawiał za sobą wrogów. Nie traktuje uczciwie nawet ludzi na tym samym poziomie co on. Tak było z Krzysztofem Skowrońskim w Polsce. Krzysiek prowadził wtedy program „Czarny pies czy biały kot” nadawany w niedzielne popołudnia. Choć nie było to żadne zagrożenie dla Tomka, doprowadził do przesunięcia Krzyska na sobotni poranek, bo liczył, że spadnie mu oglądalność. Stało się inaczej. Okazało się, że wtedy wyjątkowo licznie program oglądają gospodynie domowe i Skowrońskiemu popularność wzrosła. Nie udało się zatem pogrzebać audycji kolegi, z którym jeszcze trzy lata wcześniej wspólnie wydawał książkę „ABC dziennikarstwa” (zresztą nakładem RASP) – mówi nam jeden z dawnych wydawców z Polsatu.

Dodaje, że gdy w 2005 r. wyrzucili Lisa z TVN, na mieście mówiło się, że przyjdzie do Polsatu z całą ekipą „Faktów”. – Nie poszedł za nim nikt, bo już nikt nie chciał z nim pracować. Udało mu się namówić tylko Tomasza Machałę, i to zapewne tylko dlatego, że ten był w TVN24, gdzie zarabiał się mniej niż na „dużej” antenie.

O tamten okres pytamy też dobrego ongiś znajomego Lisa. Dziwi się jego osobliwemu podejściu do pracy: – Nie potrafił doceniać tego, co ma. W Polsce jako członek zarządu nadzorujący „W wydarzenia” i prowadzący autorski program zarabiał, o ile pamiętam, grubo ponad 100 tys. zł miesięcznie plus bonusy, plus karta kredytowa, z której mógł wydawać po kilka tysięcy złotych. Mimo to gardził stacją Solorza, naśmiewał się z kolegów prezesa. Do nich to docierało. Dlatego w końcu z hukiem wyjechał.

Wiedza o trudnym charakterze i wybuchowości gwiazdy mediów była wówczas powszechna. Furorę robiło nagranie, w którym Lis – wtedy jeszcze w „Faktach” – soczyście kląć, skarży

się na źle przygotowaną grafikę: „Lista przyszczy na d... po prostu?! K..., to mają być blokady dróg, k...! Co to w ogóle jest?! To cały dzień, k..., robiliśmy tę planszę, Grzesiu? I co to jest, k..., Zbuczyn? Gdzie jest, k..., napisane, czy to jest droga krajowa, lokalna, czy jakaś? Skąd ci biedni ludzie, k..., mają to zrozumieć? Bo ja z tego nic nie rozumiem. Wyp... tę planszę! Nie ma, k..., tej planszy! Z baranami po prostu nie można pracować! I wyp... mi ten kawałek białej

Niewiele osób chce dziś pod nazwiskiem świadczyć o przykrościach, które spotkały je ze strony Lisa. Jedną z nich jest Anna Kalczyńska z TVN, która napisała na Twitterze: „Co do zwolnienia Tomasza Lisa nie wypowiadałam się dotąd, bo nigdy nie przeprosił mnie za obelgi pod moim adresem, ale cóż... najwyraźniej karma wraca. Każdy jest kowalem WŁASNEGO losu”

Kontaktujesz? K... po prostu..., po prostu... nie mogę tego, k... Jeszcze w grafice się zatrudnię komputerowej”.

Cieńko obronić tezę Wojciecha Jarużelskiego, według którego Lis jest „arystokratą dziennikarstwa”.

Lata później kolegom z „Newsweeka” naczelny będzie z lubością przypominać, jak po wypłynięciu wspomnianego nagrania Jan Rokita miał mu proponować tekę ministra obrony narodowej. „Pan jest taki stanowczy, nadawałby się pan” – rzekomo nalegał krakowski polityk.

Gdy po rozstaniu z Polsatem pojawiła się plotka o przyjeździe Lisa do „Dziennika”, w redakcji nie było świętowania. W jednym z wydań gazety pozwolono

sobie nawet na pewien żart – dla wtajemniczonych. W krótkiej notce o re akcji Waszyngtonu na gazowy szantaż Moskwy pierwsze litery wersów w środkowej szpalcie układały się w komunikat: „Wala Tomaszowi Lisowi”. Dziś tak tłumaczy nam to jedna z osób zaangażowanych w tę akcję: – To był czas, gdy PiS stracił władzę. Chciano zmienić linię „Dziennika”, który był umiarkowanie pisowski, na mocno platformerski. Lis miał w tym celu zostać wydawcą, a docelowo naczelnym. Było nerwowo, bo pojawiła się realna wizja utraty roboty. Gdy okazało się, że nas nie spacyfikują, poczuliśmy dużą ulgę i zaczęło się świętowanie. Hasło z liter miało być wewnątrzredakcyjnym żartem, upuszczeniem emocji. W dziale był jeden komputer, więc tylko wąska grupa osób wiedziała, kto jest za to odpowiedzialny, ale zaprzysięgli się, że ta wiedza nie wyjdzie na zewnątrz. Następnego dnia, gdy czytaliśmy gazetę na kolegium, większość osób o niczym nie wiedziała. Wieczorem poszliśmy na wódkę.

GBUR Z CHARYZMĄ

Wróćmy do wydarzeń w „Newsweeku”. Dziennikarz, który zaczynał pracę, będąc podwładnym Lisa w telewizji, opowiada nam: – Pamiętam, gdy po jego przyjeździe do tego tytułu spotkałem koleżankę, która już tam pracowała. Pytam: „Jak sobie dasz z nim radę?”. A ona

na to: „Nie, nie, Tomek się zmienił, już taki nie jest”. Jej optymizm okazał się mocno na wyrost. Wyłądowna na wieloletniej terapii, w ramach której zawodowo zajmowała się później tematyką ofiar przemocy psychicznej.

Niewiele osób chce dziś pod nazwiskiem świadczyć o przykrościach, które spotkały je ze strony Lisa. Jedną z nich jest Anna Kalczyńska z TVN, która napisała na Twitterze: „Co do zwolnienia Tomasza Lisa nie wypowiadałam się dotąd, bo nigdy nie przeprosił mnie za obelgi pod moim adresem, ale cóż... najwyraźniej karma wraca. Każdy jest kowalem WŁASNEGO losu”.

Głos zabrał też Maciej Strzembosz, publicysta m.in. Onetu: „Wystarczy

poproś ludzi z pierwszego okresu TVN, żeby wiedzieć, od kogo traktowania kobiet i pracowników uczył się Durczok. [...] Zmowa milczenia trwa od 30 lat”.

Współpracownik Lisa z „Newsweeka” zwraca nam uwagę na jeszcze jedną cechę byłego naczelnego: – Można o nim mówić różne rzeczy, ale naprawdę jest charyzmatycznym gościem. Najlepiej oddaje to historia jego asystenta, którego poznał na widowni któregoś ze swoich programów. Był on zafascynowany Tomkiem do tego stopnia, że gdy ten jechał na maraton, to towarzyszył mu asystent, by podawać wodę na trasie. Zaczął nawet sam biegać. Zrobił sobie fryzurę taką jak Lis. Kiedy urodził mu się syn, dał mu na imię... Tomasz. Przyszła na świat córka – ochrzczono ją Hanną. Brzmi to karykaturalnie, ale chyba mało jest ludzi mających na innych tak wielki wpływ.

Kolejna historia. Opowiada ją polityk PiS. – Gdy Lisa wyrzucili z TVN i wszyscy się spodziewali, że rzeczywiście wejdzie w politykę, zadzwonił jeden z naszych młodych działaczy w Trójmieście z komunikatem: „Jest nas tu cała grupa, która w każdej chwili może wyjść z PiS i budować Tomkowi strukturę”. Dziś już tego człowieka nie ma w naszych szeregach, choć wspiera nas na innym polu.

Zawodowo ciężko odmówić Lisowi umiejętności i nietuzinkowego talentu. – Jest bardzo inteligentny i przenikliwy w rozumieniu polityki, ma imponujący poziom analizy wydarzeń – komplementuje publicysta związany z mediami konserwatywnymi, w przeszłości pracujący z Lisem.

Jeden z ważniejszych w ostatniej dekadzie dziennikarzy „Newsweeka” idzie dalej: – Naprawdę dobrze wspominam okres pracy z nim. Bardzo dużo się od niego nauczyłem, potrafił mnie dobrze zmotywować. Jak nikt miał nosa do tego, który temat zażre, a który nie. Był bardzo kreatywny, miał bzika na punkcie okładek, pewnie jak każdy naczelny. Nie jest też tak jednoznaczna postać, jaką stał się w ostatnich latach. Przyznawał się przecież do głosowania na Lecha Kaczyńskiego w 2005 r., a wcześniej np. na Zbigniewa Romaszewskiego. W prywatnych rozmowach sięga po żarty, które ciężko

przypisać osobie o wrażliwości „postępowej”. Sporo w nich seksizmu, szowinizmu, z dużym przymrużeniem oka, a przecież oficjalnie wspiera środowisko LGBT+. Jest w nim pewien rozdźwięk.

Wspomina też jedno z kolegów w „Newsweeku”: – Tomek relacjonował weekendowe spotkanie z kelnerem w restauracji: „Wiecie, taki bardzo sympatyczny, młody, nieźle ubrany, inteligentny, dobrze się z nim rozmawiało. Od słowa do słowa zesłaliśmy na politykę i okazało się, że on jest pisowcem. Widzicie, k..., pisowcami też mogą być fajni ludzie!”. Publicznie by tego nigdy nie opowiedział.

Na koniec nasz rozmówca dopowiada: – Zaskoczę cię czymś jeszcze. Tomek bardzo ceni Jana Pawła II.

Głównym problemem Lisa były złe relacje z ludźmi. Wszędzie zostawiał za sobą wrogów. Nie traktuje uczciwie nawet ludzi na tym samym poziomie co on – mówi nam jeden z dawnych wydawców z Polsatu

Miał wydrukowany jego wielki portret, chyba z okładki amerykańskiego wydania „Newsweeka”. Papież Polak często wracał w jego opowieściach jako punkt odniesienia. Podobnie jak prezydent Kennedy, którego biografię zna na wyrywki. To naprawdę nie jest jednowymiarowa postać.

To także postać, która funkcjonowała w mediach przez trzy dekady. I w pewnej mierze jest ofiarą czasu. „W latach 90. w zakładach pracy relacje były dużo twardsze, brutalniejsze. A w mediach konkurencja była wyjątkowo ostra. Po prostu praca była cennym dobrem i wielu szefów korzystało ze swojej pozycji, pozwalało sobie na podejszcie, które obecnie łatwo uznać za mobbing. Niektórzy naprawdę zaczęli wierzyć, że są bogami. Dziś na rynek weszły nowe pokolenia,

które każdą ostrzejszą uwagę uznają za nękanie. Lis mógł nie złapać tej zmiany. Inna sprawa, że z tego, co wiem, on naprawdę się kontrolował” – mówi nam znany dziennikarz, który obserwował Lisa uważnie, choć z pewnego oddalenia.

CZY KTOŚ TO WYŚWIELI?

Po 32 latach na piedestale padł na Lisa jednak największy cień. Czy i tym razem wyjdzie z kłopotów obronną ręką? Naszemu bohaterowi pozostało już niewiele miejsc, w których mógłby realizować swoje wielkie ambicje. Dużo też zależy od tego, jak sprawa zostanie wyjaśniona.

Czy znany z odsłaniania kulisów skandali Tomasz Sekielski (nowy naczelny „Newsweeka”) poradzi sobie z aferą na własnym podwórku, którym właśnie zaczął zarządzać? Czy wyniki wewnętrznego śledztwa opublikuje Janusz Schwertner z Onetu, który zasłynął opisywaniem mobbingu w Szlachetnej Pacyce czy w firmie Sante?

Czy wydawnictwo Ringer Axel Springer Polska zdecyduje się przerwać „30-letnią znowę milczenia”? Czy zrobią to byli podwładni redaktora? Co ustali Państwowa Inspekcja Pracy, którą o wyjaśnienie kontrowersji wokół rzekomego mobbingu i molestowania poprosił jeden z posłów Solidarnej Polski? A może jednak Lis wejdzie do polityki? – Pytaliśmy go o to wielokrotnie, ale zawsze kategorycznie zaprzeczał – mówi nam dziennikarz z RASP. I wylicza: – Po pierwsze, nie chciał publikować oświadczeń majątkowych, by nie epatować bogactwem. Po drugie, zarabiałby dużo mniej niż w mediach. Po trzecie, nie chciał ryzykować, że jego życie osobiste na tym ucierpi, że paparazzi będą za nim wszędzie jeździć. Tomek po prostu nie chce, by go zbyt wnikliwie prześwietlano.

Ma prawo, by próbować chronić swoje tajemnice. Inną sprawą jest postawa wielkiego wydawnictwa, które udaje, że tematu, o którym mówi pół Polski, nie ma. Od wszystkich wokół jego redakcje bezwzględnie żądają jawności, ale swoje skandale próbują zamieść pod dywan.



Prąd ze słońca i wymiana ogrzewania, czyli Zielony Zwrot dla domu

Świadomość konsumentów dotycząca wpływu sposobu funkcjonowania każdego z gospodarstw domowych na najbliższe otoczenie, w tym na jakość powietrza, systematycznie rośnie. Do sieci elektroenergetycznej Taurona podłączonych jest już ponad 300 tys. prosumentów

Z myślą o wszystkich zainteresowanych ekologicznymi rozwiązaniami dla domu, które generują jednocześnie oszczędności, eksperci z Tauron Sprzedaż opublikowali poradniki wyjaśniające, jak korzystać z nowego systemu rozliczeń prosumentów i wymienić ogrzewanie z dopłatą.

– Fotowoltaika pozostaje atrakcyjnym i opłacalnym źródłem energii dla gospodarstw domowych, szczególnie tych, które maksymalizują tzw. autokonsumpcję. Sam działający od kwietnia nowy system rozliczeń prosumentów umożliwi zrównoważony rozwój fotowoltaiki w perspektywie średnio- i długoterminowej – podkreśla Paweł Szczeszek, prezes Grupy Tauron. – Z myślą o wszystkich zainteresowanych oszczędnościami, którzy coraz częściej poszukują informacji na temat nowych zasad funkcjonowania prosumentów, opublikowaliśmy bezpłatny poradnik opracowany przez naszych ekspertów, który w prosty sposób wyjaśnia, jak działa fotowoltaika na nowych zasadach – dodaje Paweł Szczeszek.

OSZCZĘDNOŚCI I ZWROT Z FOTOWOLTAIKI

W nowym systemie net-billingu oszczędności z fotowoltaiki są tym większe, im lepiej dopasowana do rzeczywistego zużycia jest instalacja fotowoltaiczna, a najwięcej na tego typu inwestycji mogą zyskać gospodarstwa domowe, które maksymalizują tzw. autokonsumpcję. Eksperci Tauron Sprzedaż wskazują, że przykładowo gospodarstwo domowe złożone z 4–5 osób może dzięki fotowoltaice zaoszczędzić w ciągu roku od ponad 50 do blisko 80 proc. wydatków na energię.

CO TRZEBA WIEDZIEĆ?

Na pytania, jak w praktyce działa net-billing, ile zaoszczędzimy na instalacji fotowoltaicznej, na jaki okres zwrotu można liczyć i wiele innych odpowiada nowy poradnik pt. „Fotowoltaika w świetle nowych korzyści”. Publikacja zawiera też informacje na temat możliwości dofinansowania tego typu inwestycji, w tym zasady funkcjonowania programu Mój Prąd 4.0 czy Czyste Powietrze. Nowy poradnik jest dostępny na stronie: tauron.pl/ebook.

ZGARNIJ DOPŁATĘ DO WYMIANY OGRZEWANIA

W ramach Zielonego Zwrotu Tauron uruchomił program dofinansowania do wymiany ogrzewania. Energetyczny lider opublikował też bezpłatny poradnik o tym, jak ogrzewać, by być bardziej eko.

Nowy program „Ogrzej się z Tauronem” jest skierowany do właścicieli i współwłaścicieli domów jednorodzinnych. Dofinansowanie otrzymają te osoby, które wymienią dotychczasowe urządzenia grzewcze na rozwiązania o wyższej klasie efektywności energetycznej. Bezzwrotne dofinansowanie jest przyznawane na: pompę ciepła, kocioł gazowy kondensacyjny, elektryczny podgrzewacz przepływowy lub akumulacyjny.

Wysokość dofinansowania zależy od dwóch czynników: roku budowy budynku i rodzaju wybranego rozwiązania.

– Tylko w tym roku chcemy wymienić instalacje grzewcze w blisko tysiąc gospodarstw domowych na południu Polski – mówi Rafał Soja, prezes Tauron Sprzedaż.

– Konsument, który zdecyduje się na wymianę ogrzewania w ramach programu „Ogrzej się z Tauronem” mogą otrzymać nawet 4200 zł dofinansowania do wymiany ogrzewania. O dofinansowanie mogą ubiegać się osoby, które wymienią stare ogrzewanie na bardziej ekologiczne, takie jak m.in. pompa ciepła lub kocioł gazowy – wyjaśnia Soja.

TO SIĘ OPŁACA

Kwestie finansowe pozostają jednym z najmocniejszych argumentów przemawiających za wymianą starego ogrzewania. Nowa technologia grzewcza sprawi, że koszty ogrzewania będą niższe.

Wynika to przede wszystkim ze znacznie wyższej wydajności nowoczesnych urządzeń grzewczych, czyli lepszego wykorzystywania energii zawartej w paliwach. Sprawność cieplna nowoczesnych urządzeń grzewczych jest minimum 10 proc. wyższa od tradycyjnych. W praktyce różnice mogą sięgać 30 proc., co oznacza, że do ogrzania tej samej powierzchni lub ilości wody potrzeba będzie mniej paliwa.

BEZPŁATNY PORADNIK

Dlaczego termomodernizacja jest korzystna? Jakie urządzenia grzewcze wybrać?

Tego wszystkiego można dowiedzieć się z bezpłatnego e-booka Taurona, w którym eksperci Taurona przygotowali wiele praktycznych wskazówek na temat całego procesu wymiany ogrzewania. Publikacja jest dostępna na stronie internetowej tauron.pl/dofinansowanie.



Fot. Jacek Szymczak/KPP

Czy Bruksela chce nas oszukać?



JAN ROKITA

W gruncie rzeczy nikt nie wie, o jaki pretekst może się nagle rozbić pierwsza albo któraś z kolejnych unijnych transz finansowych dla Polski. A w związku z tym – jakie jest faktyczne minimum zmian w wymiarze sprawiedliwości, które usatysfakcjonuje brukselskich komisarzy za kilka miesięcy albo latem przyszłego roku, gdy w Polsce pełną parą będzie się już toczyć kampania wyborcza

Po blisko trzech latach okazuje się, że jednak miała sens bravurowa polska akcja podjęta naocznie w Brukseli, której efektem stało się utracenie kandydatury holenderskiego socjalisty i oddanie Komisji Europejskiej we władanie niemieckiej chadecze, a zarazem przyjaciółce pani Merkel. Od tamtego czasu komisja pod przewodnictwem von der Leyen tyle razy uderzała w interesy państwa polskiego, że można było zwątpić w to, czy polski walny udział w utraceniu Timmermansa i oddaniu szefostwa komisji Niemcom miał jakiś głębszy polityczny sens. Dość przypomnieć choćby egzekucję na Polsce kar za utrzymywanie w ruchu turowskiej elektrowni nawet po tym, gdy zostało zawarte w tej materii polsko-czeskie porozumienie. Tym razem jednak spektakularny rozłam w komisji między Niemką i Holendrem (który w efekcie tamtej akcji został „tylko” pierwszym wiceszefem komisji)

dotyczy kwestii fundamentalnej dla polskich interesów, czyli akceptacji polskiego Krajowego Planu Odbudowy.

STAWKA ZATWIERDZENIA KPO

Rzecz nawet nie w tym, że stawką w tej sprawie są (co oczywiste) wielkie fundusze przeznaczone na inwestycje i rozwój Polski. Sednem sprawy jest czas, w którym rozgrywa się batalia o owe pieniądze. Czas coraz gorszy dla polskiej gospodarki, w której – jak to zwykle bywa w kapitalizmie – po latach nadzwyczajnej koniunktury widać oznaki impasu: spowolnienie przemysłu, wzrost bezrobocia (i to mimo tak liczny napływ Ukraińców), a przede wszystkim niespodziewanie wysoka inflacja. Nadzwyczajny zastrzyk funduszy rozwojowych, i to przewalutowywanych z euro na złotówki, w takich okolicznościach ma dla Polski wartość podwójną. Rodzi bowiem nadzieję, że widoczny gospodarczy bezruch

nie przekształci się w ciągu najbliższego roku, dwóch w prawdziwy kryzys. Tak więc w 2022 r. stawką zatwierdzenia KPO jest nie tylko perspektywa szybszej modernizacji kraju, ale i rzecz dzisiaj o znaczeniu egzystencjalnym: zamówienia dla słabnącego przemysłu, miejsca pracy dla ludzi zagrożonych bezrobociem oraz zwiększone bezpieczeństwo kursu złotego, czyli hamowanie nieobliczalnej inflacji. Nie mówiąc już o tym, że z perspektywy obozu rządzącej prawicy wszystko to nabiera jeszcze dodatkowej wagi, jako że dzieje się, gdy polska polityka właśnie wchodzi w rok przedwyborczy.

Von der Leyen uznała, iż po trwających rok politycznych utarczkach z Warszawą w obecnych warunkach nie można dłużej tak jawnie dyskryminować państwa polskiego tylko dlatego, że odpowiada to interesom lewicy i liberałów zarówno w Polsce, jak i w całej Unii. Warto zdawać sobie sprawę, że normą dotychczasowego działania komisji w tego rodzaju spra-

wach, które w poprzek Europy budzą partyjną namietność, jest poszukiwanie minimalnego wspólnego mianownika, ochraniającego kierownictwo komisji przed politycznym atakiem. Tym razem stało się inaczej. Von der Leyen, świadoma, iż wygra większościowe głosowanie wśród komisarzy, zamiast szukać wspólnego mianownika, poszła na konfrontację, przełamując jawny opór pięciorga komisarzy: Holendra i Szwedki z grupy socjalistów oraz Belga, Czeszki i Dunki z frakcji liberalów. Trudno przypisać, by tego rodzaju ryzykowny krok szefowa komisji podjęła bez przyzwolenia kluczowych stolic unijnych: Berlina, Paryża i Rzymu, a także bez porozumienia z własną macierzystą partią, czyli niemiecką chadecją. Zwłaszcza że nowy szef niemieckich chadeków Merz nie kryje od jakiegoś czasu swojego krytycyzmu co do polityki niemieckiej, nie tylko w stosunku do Ukrainy, ale i do Polski (by przypomnieć choćby wewnątrzniemiecki spór na tle polsko-niemieckiej umowy w sprawie czołgów).

VON DER LEYEN POD OSTRZAŁEM

Konsekwencje nie kazały na siebie długo czekać. Po raz pierwszy, odkąd Niemka została szefową Komisji Europejskiej, jej polityczni przeciwnicy w Parlamencie Europejskim zbierają podpisy pod wnioskiem o wotum nieufności. Co prawda, inicjatywę firmuje Verhofstadt

– polityk, który z racji swojego charakterystycznego zacierzawienia, i to bynajmniej nie tylko w „kwestii polskiej”, utracił dużą część swoich dawniejszych wpływów, a szefowie parlamentarnych frakcji, w tym także socjalistów i liberalów, dystansują się od jego akcji.

Komisji pod wodzą von der Leyen na razie nie grozi realnie wotum nieufności z powodu Polski, tym bardziej że traktaty wymagają dla takiej uchwały jawnego głosowania i kwalifikowanej większości 2/3. Jednak bagatelizowanie znaczenia tej precedensowej akcji przeciw komisji jest błędem. To bowiem przygrywka do kampanii, którą lewica i liberalowie zamierzają podjąć dla utracenia wyboru von der Leyen na kolejną kadencję. A trzeba pamiętać, że inaczej niżli trzy lata temu, gdy Rada Europejska uzgodniła jej kandydaturę, dziś Niemka nie może już liczyć na protekcję swojej przyjaciółki pani Merkel. A na dodatek jej chadecka frakcja EPP jest w wyraźnej mniejszości w składzie rady. Tylko siedmioma rządami krajów Unii kierują dziś politycy EPP, przy czym są to – powiedzmy szczerze – może za wyjątkiem Austrii, albo kraje ubogie (Rumunia, Grecja), albo liliputy (Cypr, Litwa, Łotwa, Chorwacja). Krótko mówiąc, pozycja von der Leyen jest chwiejna, co znaczy, że ryzykuje ona nieco w „kwestii polskiej”. A połowa Parlamentu Europejskiego aż dyszy pragnieniem odwetu za to, że ośmieliła się zająć fotel przygotowywany dla holenderskiego lewicowca.

To pozwala zrozumieć swoistą grę na dwa fronty, którą uprawia von der Leyen w „kwestii polskiej”. Z jednej strony ostentacyjnie przełamuje opór lewicy i liberalów, coraz bardziej rozczłonowanych faktem, iż w chwili, gdy po raz pierwszy polska prawica zaczyna mieć kłopoty z gospodarką, i to na rok przed kolejnymi wyborami, niemiecka przewodnicząca zachowuje się w ich oczach tak, jakby chciała rzucić linę ratunkową znielowidzonemu w Brukseli Kaczyńskiemu. Z drugiej zaś, przylatując do Warszawy na spotkania z usatysfakcjonowanymi Dudą i Morawieckim, spuszcza im natychmiast werbalny zimny prysznic, twardo oznajmiając, iż aprobata KPO wcale jeszcze nie oznacza realnego napływu pieniędzy, a polityczne żądania Brukseli będą powtarzane aż do 2026 r., kiedy zakładany jest finał unijnego pocovidowego programu Next Generation EU. W jeszcze ostrzejszej werbalnej formie występuje zaraz po powrocie z Warszawy do Brukseli, zapewniając swoich lewicowo-liberalnych przeciwników, zbierających podpisy pod wotum nieufności, że nie popuści dziennych kar nakładanych na Polskę z powodu reformy Sądu Najwyższego, których suma zdążyła już sięgnąć niebagatelnej kwoty 1 mld zł.

To wszystko wywołuje w Polsce efekt zamieszania i niepewności. Po stronie najbardziej zaciekle polskich wrogów PiS efekt owego zamętu może się wydać nawet humorystyczny. Oto jeden

GORĄCE PYTANIA

ZOSTAŃ W DOMU I OGLĄDAJ

W POLSCE.PL

polsat box 
wcześniej Cyfrowy Polsat

NA POZYCJI

196



NA POZYCJACH

339

dekoder
Mediabox

121

dekodery
KAON i Horizon



NA POZYCJI

32

N E T I A

NA POZYCJI

192

VECTRA

NA POZYCJI

825

z czołowych liberalnych intelektualistów prof. Sadurski obwieszcza właśnie, iż w takiej Unii, jaką teraz funduje nam Niemka von der Leyen, on już dalej nie chce być, co wskazuje, iż opcja hipotetycznego „poexitu” zaczyna łączyć polskich radykałów po obu stronach: nacjonalistycznej i liberalnej. To nowość na polskiej scenie ideowej, zapewne nieoczekiwana dla samej szefowej komisji.

Z kolei jeśli na rzecz całą spojrzeć na poziomie unijnych pryncypiów, to sporo racji ma prof. Legutko, który warszawskie wystąpienia von der Leyen, dyktującej Polsce w najdrobniejszych szczegółach, jak ma urządzić krajowy wymiar sprawiedliwości, uznał za „horrendum”. To jasne, że nie tylko z perspektywy obu traktatów europejskich, ale nawet przyjętej przez Unię reguły „warunkowości budżetu” brak podstaw formalnych, by uzależniać wypłaty z funduszu Next Generation EU, służącemu pocovidowej odbudowie Europy, od sztucznie przyklejonej do niej kwestii dyscyplinarnej odpowiedzialności sędziów. Owszem, to jest „horrendum”. Tyle tylko, że na owo „horrendum” zgadzają się dziś milcząco niemal wszystkie rządy europejskie, a pani von der Leyen, okazując na tym polu niedostateczny entuzjazm, łącznie stracić może swoją posadę.

Liberałowie i lewica, w tym zwłaszcza w Polsce, są więc nieszczęśliwi, że komisja nie znalazła w sobie takiej determinacji, by z trzymaniem Polski na musiku wytrwać jeszcze rok z kawałkiem aż do czasu przyszłorocznych wyborów parlamentarnych. W Polsce opozycyjne media i politycy forsują tezę (podobnie jak Verhofstadt w Brukseli), że von der Leyen to naiwna kobiecina, która daje się oszukiwać sprytnemu i bezwzględnemu PiS. To oczywisty nonsens, bo szefowa komisji dokładnie wie, co robi. A co więcej – robi to za przyzwoleniem rządów Niemiec, Francji i Włoch, które – choć wszystkie są w rękach liberałów i lewicy – uznały, iż w sytuacji wojny, uchodźców i kryzysu gospodarczego lepiej będzie zdywersyfikować unijną politykę wobec krnąbrnych „wschodniaków”, zatraskując wszystkie drzwi

w stronę Budapesztu i otwierając przynajmniej niektóre w stronę Warszawy. Przy tej okazji także wbijając głębszy klin między Polskę i Węgry, co na przyszłość musi oznaczać osłabienie ich siły solidarnej do tej pory oporu wobec dyktatu Brukseli. Widać jednak, że zamieszanie w całym europejskim obozie liberałów i lewicy jest spore, bynajmniej nie tylko w Polsce. Nie przypadkiem portal Politico uznał sytuację z łamaniem oporu lewicowych i liberalnych komisarzy przez von der Leyen za fakt w dziejach Unii „kompletnie precedensowy”.

Stawką zatwierdzenia KPO jest rzecz dzisiaj o znaczeniu egzystencjalnym: zamówienia dla słabnącego przemysłu, miejsca pracy dla ludzi zagrożonych bezrobociem oraz zwiększone bezpieczeństwo kursu złotego, czyli hamowanie nieobliczalnej inflacji

ZABEZPIECZYĆ POLSKIE INTERESY

O ile zamieszanie z powodu von der Leyen panuje w polskiej opozycji, to po stronie obozu władzy widać sporą niepewność. Stawiane jest wprost pytanie: czy Bruksela nie chce nas czasem oszukać? W gruncie rzeczy bowiem nikt nie wie, o jaki pretekst może się nagle rozbić pierwsza albo któraś z kolejnych transz finansowych programu Next Generation EU. A w związku z tym, jakie jest faktyczne minimum zmian w wymiarze sprawiedliwości, które usatysfakcjonuje brukselskich komisarzy za kilka miesięcy albo latem przyszłego roku, gdy w Polsce pełną parą będzie się już toczyć kampania wyborcza. Trzy pytania powtarzane przez von der Leyen są celowo sformułowane całkiem mętnie, tak by ocenę ich wykonania móc w każdej chwili uzależnić od aktualnie

wiejących wiatrów politycznych. To zresztą zupełnie naturalne. Warunki i żądania stawia się w polityce zawsze po to, by sobie rozszerzyć, a nie zawęzić pole własnych możliwości decyzyjnych, i tak właśnie czyni również szefowa komisji. Ona sama nie jest pewna, jak jutro rozwinie się sytuacja w Europie, która już od dziesięcioleci nie stała przecież w obliczu takiej jak obecnie politycznej niepewności jutra. I to łącznie z całkiem możliwym uwikłaniem w wojnę.

Europejskim rządów nie zależy dziś z pewnością na „finansowym zagłodzeniu” polskiej gospodarki, co dwa lata temu proponowała wiceszefowa Parlamentu Europejskiego, a zarazem niemiecka socjalistka Barley. Takiego rozwoju zdarzeń obawiają się przede wszystkim Niemcy, dla których po nieplanowanym zerwaniu więzi biznesowych z Rosją kryzys gospodarczy w Polsce dopełniałby tylko miary katastrofy. Obok Chin, które ze względu na politykę Bidena i obecny regres ekonomiczny też są dziś kwestią dla Berlina problematyczną, Polska staje się najważniejszym wschodnim rynkiem dla całego niemieckiego przemysłu. To kwestia zbyt wysokiego ryzyka, by w dzisiejszych okolicznościach Polskę z przyczyn ideologicznych okładać de facto sankcjami finansowymi, czyli traktować analogicznie do reżimu Putina.

Można się spodziewać, że von der Leyen, choć politycznie związana z niemiecką opozycją, będzie podążać takim właśnie tropem, poszukując jakiegoś *modus vivendi* między egzystencjalnymi interesami Polski a napierającą na politykę sankcji polską opozycją i co najmniej pewną częścią europejskiego obozu liberałów i lewicy. Pieniądze z Next Generation EU zapewne zatem zaczną w końcu do Polski płynąć, ale nie oędzie się bez kolejnych spięć, opóźnień, pretensji i uchwał Parlamentu Europejskiego. Po polskiej stronie nie ma zatem dziś potrzeby jakichś wielkich strategii, które miałyby na nowo zdefiniować nasze relacje z Unią. Trzeba raczej miękkiej, zręcznej i inteligentnej taktyki, która z uśmiechem na ustach pozwoli skutecznie zabezpieczyć polskie interesy. 

PRZYSZŁOŚĆ JEST **Z MIEDZI**

Globalny lider w produkcji miedzi i srebra. Gigant, wizjoner odkrywca w branży wydobywczej i produkcyjnej. Od ponad 60 lat wydobywamy i przetwarzamy cenne zasoby ziemi, skutecznie budując pozycję lidera branży. Dzięki wiedzy i doświadczeniu naszych pracowników tworzymy produkty, które umożliwiają zrównoważony rozwój świata.

www.kghm.com



KGHM
POLSKA MIEDŹ

Choć trzy miesiące rosyjskiej agresji na Ukrainę nie wywołały dotąd poważnych zmian na polskiej scenie politycznej, to antypisowska opozycja liczy na to, że uda się jej wykorzystać wojnę do rozbudzenia antyrządowych nastrojów w kraju



Gry wojenne



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Rosyjski atak na Ukrainę został odebrany przez większość Polaków jako realne zagrożenie dla ich bezpieczeństwa. Nic dziwnego, że w pierwszych sondażach, które przeprowadzono po wybuchu wojny, wcześniejsze ostre podziały polityczne zostały zepchnięte na dalszy plan. Przykładowo w badaniu przeprowadzonym na początku marca przez Kantar dla serwisu polityka.pl aż 78 proc. ankietowanych zgodziło się

ze stwierdzeniem, że „mimo politycznych różnic w sytuacji zagrożenia należy wspierać działania obozu rządowego, a spory odłożyć na inny czas”. Wystarczyły jednak zaledwie trzy miesiące, by w politycznym kotłach znów zaczęło się gotować.

Jedną z przyczyn jest zapewne stopniowe oswajanie się Polaków z wojną. W powszechnym mniemaniu Rosjanie nie są tak niebezpieczni, jak się z początku zdawało. Utknęli gdzieś daleko w Donbasie i ich głowy zaprzęta teraz nie podbój Europy, lecz pytanie, jak najlepiej wykaraskać się z kosztownej awantury. W tej sytuacji powinniśmy więc powoli powracać do normalnego życia. To błędny i potencjalnie groźny wniosek. Takie myślenie, które wynika z psychicznego zmęczenia wojną,

jest bowiem bardzo na rękę Rosjanom. Warto mieć świadomość, że gdy Ukraina zejdzie z czołówek mediów, Moskwa będzie miała większą swobodę działania. I w dalszej perspektywie odzyska wigor do kolejnych podbojów. Tak było po aneksji Krymu w 2014 r. i tak może być również teraz. Lepiej więc, dla naszego własnego bezpieczeństwa, nie ulegać dziś złudzeniom o porażce Rosjan.

Jednak z każdym dniem to złudzenie o końcu wojny staje się silniejsze nie tylko za sprawą słonecznej, optymistycznej nastrajającej pogody oraz perspektywy zbliżających się wakacji, ale także wskutek całkiem świadomych działań podejmowanych przez część antypisowskiej opozycji, która postanowiła wykorzystać gospodarcze następstwa



Donald Tusk podczas wizyty w gospodarstwie rolnym w Biestrykowice w woj. dolnośląskim

wojny do podjęcia kolejnej gry przeciwko znienawidzonemu „reżimowi”. Nic więc dziwnego, że po marcowym, krótkotrwałym zawarciu szeregów w obliczu agresji Moskwy nie zostało dzisiaj w Polsce zbyt wiele, a polityczne emocje, zamrożone dotąd przez zagrożenie wojenne, znów zaczynają się rozgrzewać.

KREATOR KONFLIKTÓW

Donald Tusk, który w ramach swojej kampanii politycznej odwiedził tydzień temu gospodarstwo rolne na Dolnym Śląsku, postanowił przełamać tabu i zakwestionował skalę pomocy, której Polska udziela Ukrainie. Chodziło o ukraińską kukurydzę, która z powodu wojny nie może być eksportowana z czarnomorskich portów, więc w zamian rozważa się jej transport tranzytem przez Polskę. Zdaniem Tuska część tej kukurydzy może zostać po niskiej cenie sprzedana w Polsce, co zagraża opłacalności produkcji naszych rolników.

Tusk, cynicznie posługując się plotką, podsyłał lęki swoich słuchaczy i brutal-

nie zagrał na antyukraińskich emocjach, które – choć wstydliwie przykryte trwającą wojną – są przecież w Polsce ciągle obecne. W ten sposób były premier wpiął się w strategię Kremła, która – co nie jest żadną tajemnicą – zakłada podsycanie niechęci wobec Ukraińców oraz inspirowanie konfliktów z uchodźcami wojennymi.

Do tej pory w propagowaniu tej strategii specjalizowali się internetowi trolle, częściowo opłacani przez Moskwę lub wręcz nadający z Rosji, oraz rozmaity polityczny margines najczęściej wywodzący się ze środowisk sprzyjających lub sympatyzujących z Konfederacją. Waga słów Tuska polega więc na tym, że po raz pierwszy do antyukraińskich resentymentów tak otwarcie odwołał się polityk należący do jednego z głównych nurtów polskiej polityki.

Trudno powiedzieć, co podkuśło Tuska do takiej wypowiedzi. Być może uznał, że w podgrzewaniu i wykorzystywaniu animozji polsko-ukraińskich drzemie spory potencjał, którego nie zdołała skutecznie zagospodarować szukająca podobnych tropów Konfederacja. Może postanowił uderzyć w najsilniejszy wizerunkowo punkt obozu pisowskiego, którym jest – również w oczach zagranicy – ogromna pomoc udzielana Ukrainie i uchodźcom z tego kraju przez Polskę pod rządami Zjednoczonej Prawicy. A może po prostu Tusk ciągle jest niewolnikiem swoich niemieckich mentorów, którzy – jak pokazał dotychczasowy przebieg wojny – nie życzą sobie zwycięstwa Ukrainy.

Wywołanie podziałów między Polakami i Ukraińcami byłoby ciosem dla walczącej Ukrainy i wspaniałym prezentem dla Moskwy. Bez polskiego zaplecza i wsparcia szanse Ukrainy w starciu z Rosją są przecież znacznie mniejsze. A to oznaczałoby koniec wizji ewentualnego polsko-ukraińskiego partnerstwa, które – co budzi obawy Berlina – mogłoby po wojnie zmienić układ sił w naszej części Europy.

Jednoznacznej odpowiedzi na pytania dotyczące motywacji Tuska nie ma, zwłaszcza że żadna z nich nie wyklucza pozostałych. Jako doświadczony polityk musi on jednak zdawać sobie sprawę z wagi swoich słów oraz ich możliwych

politycznych konsekwencji. Wprowadzając do szerokiego obiegu i tym samym legitymizując padające dotąd z dość niskowych środowisk zarzuty na temat skali polskiej pomocy udzielanej Ukrainie, kreuje on potencjalnie nowy problem i nowy konflikt, co nie służy ani strategicznym interesom państwa, ani naszemu bezpieczeństwu.

Niewykluczone, że wywołanie tego konfliktu jest kolejnym pomysłem Tuska na osłabienie pozycji polskiego rządu i doprowadzenie w ten sposób do przesilenia w państwie. W warunkach toczącej się za naszą wschodnią granicą wojny to działanie graniczące z samobójczą brawurą, ale być może Tusk chce podjąć takie ryzyko. Bo przecież wojna rodzi wiele problemów dla rządu i można to cynicznie wykorzystać.

CZAS NA DESTABILIZACJĘ

Przez pierwsze trzy miesiące wojny na Ukrainie sondaże poparcia dla poszczególnych ugrupowań nie pokazywały jakichś gwałtownych zmian. Było to dość zaskakujące, zważywszy że wojna bardzo często zwiastuje rewolucję na scenie politycznej. Owszem, w pierwszych tygodniach dało się zaobserwować niewielki, liczony najwyżej w paru punktach procentowych, wzrost poparcia dla PiS, ale wkrótce on zniknął i wszystko powróciło do przedwojennej normy.

Dziś PiS może liczyć na mniej więcej 40 proc. głosów, a druga w kolejności Koalicja Obywatelska ma o 10 pp. mniej. Wojna nie zmieniła też znacząco pozycji Lewicy, choć z poparciem ok. 10 proc. powoli wyrasta ona na trzecią siłę polityczną w Polsce. Wyborców traci za to bezbarwna Polska 2050, która będąc jeszcze niedawno na podium, zrównała się w większości sondaży z Lewicą i nadal ma tendencję zniżkową. Wydaje się, że wcześniejsza skłonność do publicznego płaczu okazała się podczas wojny samobójczą dla Szymona Hołowni. Największym przegranym – co chyba nie powinno nikogo dziwić – okazała się Konfederacja. Formacja, powszechnie kojarzona z prorosyjskimi wystąpiami Janusza Korwin-Mikkego, zanotowała w ostatnich tygodniach największy spadek i według niektórych badań nie przekracza już nawet progu wyborczego.

Mydlkowatość lub sympatyzowanie z Rosją okazały się więc podczas wojny zabójcze. Być może też wojna sprawiła, że wyborcy z obu stron stracili dziś zapal do eksperymentowania i skupili się wokół najważniejszych formacji.

Wydaje się jednak, że czas stabilizacji powoli mija. Donald Tusk, który walczy dziś o swoją przyszłość w polityce, postanowił najwyraźniej ubiec potencjalnych konkurentów i ugrać coś dla siebie na toczącej się wojnie. Jednak w odróżnieniu od Konfederacji, która również próbowała wykorzystać wojnę do rozbudzania antyrządowych nastrojów, Tusk gra tą samą kartą, nie robiąc umizgów wobec Moskwy. I daje mu to pewne nadzieje na sukces.

Rosjanie zakładają, że przedłużająca się wojna i rosnące koszty pomocy dla Ukrainy wygenerują na Zachodzie poważne problemy społeczne i gospodarcze, które z kolei zagrażą stabilności politycznej państw europejskich i tym samym skłonią je do ustępstw. Podobną motywacją – co nie oznacza, że inspirowaną przez Kreml – posługuje się Donald Tusk. On także, tak jak wspierający go politycy PO, liczy na to, że pewnego dnia problemy wywołane rosyjską agresją na Ukrainę zmiotą polski rząd, a wtedy on i jego formacja powrócą do władzy. Ale taki scenariusz w obliczu ciągle wysokich notowań PiS nie jest wcale przesadzony, dlatego Tusk i jego ekipa starają się wmówić wyborcom, że to rząd Zjednoczonej Prawicy, a nie wojna wywołana przez Moskwę, doprowadził do pogorszenia koniunktury w Polsce. I że po zmianie władzy, wszystko się poprawi, zupełnie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Tusk gra tu oczywiście we własnym interesie, ale nie sposób nie zauważyć, że ewentualny upadek mocno wspierającego Ukrainę rządu PiS byłby również korzystny dla Berlina i Moskwy. Nie twierdę przy tym, że Tusk jest agentem którejś z wymienionych stolic, jednak jego polityka, tak jak w przypadku tzw. pożytecznych idiotów, obiektywnie sprzyja cudzym interesom. Bo choć nie sympatyzuje on z Rosją, to przecież wpisuje się w jej polityczny cel, którym jest osłabienie Ukrainy i wspierających ją rządów.

PARAGONY GROZY

Środowiska antypisowskie od dawna marzyły o załamaniu gospodarczym w Polsce. Zdawano sobie bowiem sprawę z tego, że tylko w ten sposób można zniechęcić ludowego, zwykle niezamożnego wyborcę do oddania głosu na PiS. Wojna na Ukrainie wywołała ponowny renesans tych rojeń.

Jednak mimo rosyjskiej agresji i wcześniejszej pandemii kondycja polskiej gospodarki nie jest wbrew wielu medialnym histeriom aż tak fatalna, by groziło nam załamanie. Co więcej, kryzys, z którym mamy dziś do czynienia, dotyka wszystkie kraje Europy, co powinno być dla każdego rozumnego człowieka wystarczającą wskazówką, gdzie szukać jego przyczyn.

**Uderzając we władzę,
Tusk gra we własnym interesie,
ale nie sposób nie zauważyć,
że ewentualny upadek mocno
wspierającego Ukrainę rządu
PiS byłby również korzystny
dla Berlina i Moskwy**

I choć liderzy anti-PiS dobrze znają te przyczyny, to uważają społeczeństwo za zgraję idiotów, którym da się wmówić, że obecna sytuacja jest winą PiS.

W internecie aż roi się od „paragonów grozy”, na których są podawane rosnące koszty codziennych zakupów. Jednocześnie jednak widać, że autorami tych „paragonów” są zwykle ludzie, którzy nigdy nie doświadczyli ubóstwa, trudno bowiem uwierzyć, że przeciętny Polak kupuje codziennie na śniadanie oliwki, kapary, włoską szynkę i słoiczek humusu. Chodzi więc o wywołanie trwogi. Podobnie jest z rosnącymi cenami paliwa i dołączanymi do nich manipulacjami w rodzaju wykresów pokazujących wysoką marżę rafineryjną. Ktoś słabo zorientowany może uznać, że jest to marża, która zostaje w kieszeni

koncernu naftowego, podczas gdy pokazuje ona jedynie różnicę między ceną surowca a produktu końcowego i jest wskaźnikiem ogólnej sytuacji rynkowej, a nie miernikiem zysków koncernu. Organizowanie przy tej okazji tzw. społecznych blokad stacji benzynowych należących do Orlenu zakrawa wręcz na działanie na rzecz Moskwy, tym bardziej że ceny, jakkolwiek wysokie, są i tak jednymi z najniższych w Europie dzięki redukcji przez rząd VAT i akcyzy.

Wojna na Ukrainie dała więc sporej części antypisowskiej opozycji nadzieję na wywołanie społecznego buntu i powrót do władzy. Pożalowanie budzi fakt, że nawet zagrażająca naszemu państwu wojna jest dla tej ekipy okazją dobrą jak każda inna, by uderzyć w PiS. Platforma próbuje snuć nostalgiczne wizje z czasów swoich rządów, gdy Polsce nic nie groziło, wszyscy grillowali, a autostrady same się budowały. Te wizje mogą do pewnego stopnia trafić do wyobraźni zmęczonych kłopotami Polaków, jednak mają się one nijak do obecnej sytuacji, gdy przyszło nam zmagać się w Europie z konsekwencjami wojny, dwóch lat pandemii oraz nieodpowiedzialnej polityki wielu unijnych rządów. Lepiej nie myśleć, w jak katastrofalnym położeniu mogłaby być dziś Polska, gdyby PO w 2015 r. nie straciła władzy.

Owszem, w Polsce jest dziś drogo, a zarobki są ciągle zbyt niskie w porównaniu do naszych zachodnich sąsiadów, ale na pewno nie rozwiąże tych problemów nagła zmiana władzy, zwłaszcza jeśli powrócą do niej egoistyczne platformerskie elity. Na pewno też w warunkach toczącej się wojny i kryzysu w całej Europie nie dojdzie w Polsce do żadnego cudu. Już raz mieliśmy być „zieloną wyspą”, tyle że nic z tego nie wyszło.

Rozwiązaniem jest za to konsekwentna budowa silnego, bezpiecznego państwa. Bo bezpieczeństwo to podstawowy warunek stabilności gospodarczej i stałego podwyższania standardu życia. Tymczasem jedyne, co się może zmienić po przejęciu władzy przez ekipę Tuska, to natychmiastowe odstępianie od tego kursu. W obliczu ciągle realnego rosyjskiego zagrożenia będzie to jednak dryf ku katastrofie. 

Program „Zdrowe życie” zainaugurowany

Mobilna Strefa Zdrowia wyjechała w Polskę

„Zdrowe życie” to nazwa projektu, który został opracowany przez prezydencką Radę ds. Ochrony Zdrowia, a zarazem główny jego cel. Prezydent Andrzej Duda wraz z pierwszą damą Agatą Kornhauser-Dudą nie tylko objęli akcję patronatem, lecz także zainaugurowali ją w Warszawie, otwierając pierwszą mobilną strefę zdrowia. Celem akcji jest poprawa jakości i długości życia Polaków przez zwiększenie świadomości istoty profilaktyki. Program jest realizowany przy współpracy Ministerstwa Aktywów Państwowych, Ministerstwa Zdrowia, NFZ, a także Grupy PZU

Największy polski ubezpieczyciel już od lat aktywnie włącza się we wszelkie programy mające na celu poprawę zdrowia Polaków, nie mogło go zatem zabraknąć przy realizacji programu „Zdrowe życie”. W uroczystości inaugurującej projekt udział wzięli dr hab. Beata Kozłowska-Chyła, prezes PZU SA, Aleksandra Agatowska, prezes PZU Życie, oraz Andrzej Jaworski, p.o. prezes PZU Zdrowie. Ideę, która przyświecała powstaniu programu, i jego cele scharakteryzował prezydent Andrzej Duda.

– Wymiernym wskaźnikiem nowoczesności jest średnia długość życia obywateli – podkreślił prezydent Duda podczas uroczystej inauguracji projektu w Pałacu Prezydenckim. – Najlepszym sposobem na podniesienie tej średniej jest profilaktyka.

Prezydent zaznaczył, że choć dziś w przestrzeni medialnej najwięcej mówi się o bezpieczeństwie militarnym, to równie ważnym rodzajem bezpieczeństwa jest to zdrowotne. W inauguracji działania warszawskiej strefy wziął udział także minister aktywów państwowych, wicepremier Jacek Sasin, który wyraził nadzieję, że mobilna strefa zdrowia odwiedzi nie tylko duże miasta.

– Jeśli przez tę akcję uda nam się podnieść poziom świadomości Polaków, że zdrowy tryb życia to jest coś, co możemy zrobić dla siebie i dla naszego kraju, to będziemy mieć wszyscy satysfakcję – zaznaczył Jacek Sasin.

Warszawa była pierwszym miastem, w którym mieszkańcy mogli skorzystać z badań i konsultacji lekarskich w ramach mobilnej strefy zdrowia. Już pierwszego dnia udało się uratować ludzkie życie, ponieważ jeden z pacjentów wymagał natychmiastowej interwencji lekarskiej. W Warszawie z bezpłatnych badań i porad lekarzy PZU Zdrowie skorzystało ponad 500 osób. Strefa będzie jeździć po całej Polsce i niebawem odwiedzi dziewięć kolejnych miast: Busko-Zdrój, Działdowo, Tomaszów Mazowiecki, Toruń, Stalową Wolę, Elbląg, Łomżę, Krasnystaw i Biłgoraj.



Fot. Grzegorz Jakubowski/KRPP

W ramach dostępnych konsultacji lekarskich będzie można poddać się następującym badaniom: mammografii, USG płuc, EKG, spirometrii, zmierzyć poziom glukozy, cholesterolu i ciśnienie krwi, zbadać stan skóry dermatoskopem, a także wykonać analizę składu ciała, czyli sprawdzić, jak wiele w nas tłuszczu i tkanki mięśniowej. Pracownicy strefy pomogą także założyć Internetowe Konto Pacjenta tym osobom, które dotąd nie potrafiły tego samodzielnie zrobić.

Aby poznać dokładne daty, kiedy mobilna strefa zdrowia zawita do poszczególnych miast, warto śledzić bieżące informacje na temat projektu i wydarzeń towarzyszących na www.zdrowezycie.org.pl, na stronach internetowych Kancelarii Prezydenta RP, Ministerstwa Zdrowia, Ministerstwa Aktywów Państwowych, NFZ i PZU, a także w mediach społecznościowych wszystkich współorganizatorów. 



W 2025 r. może być potrzebny taki kandydat na prezydenta Polski, o jakim jeszcze nikt nie mówi

Prezydenckie manewry

Choć druga kadencja prezydenta Andrzeja Dudy nie osiągnęła jeszcze półmetka, już zgłaszają się (lub są zgłaszani) kandydaci na jego następcę (w Polsce prezydentem można być przez dwie kadencje). Jako pierwszy deklarację startu w wyborach zgłosił Szymon Hołownia. Powód jest prosty: partyjne sondaże nie dają mu pozycji lidera opozycji, czyli odbierają nadzieję na kandydata na szefa rządu. Twierdzi więc, że powinien wrócić od tego, od czego zaczął, czyli kandydowania na prezydenta (w 2020 r. otrzymał 2,7 mln głosów – 13,87 proc.). O prezydenturze myśli też wciąż Rafał Trzaskowski, który uważa, że jego 10,02 mln głosów z wyborów w 2020 r. są trwałym kapitałem, możliwym do powtórzenia, a żaden inny przedstawiciel Koalicji Obywatelskiej oraz całej opozycji nie ma szans na taki wynik. Trzaskowski nie przyjmuje do wiadomości tego, że prezydentem na koniec politycznej kariery chciałby zostać Donald Tusk. Były premier wciąż rozpamiętuje to, że przegrał jedyne wybory prezydenckie, w których startował – w 2005 r. z Lechem Kaczyńskim, i to mimo że wygrał pierwszą turę. W 2010 r. trauma z 2005 r. nie pozwoliła mu kandydować, a w 2015 r. miał już załatwioną posadę przewodniczącego Rady Europejskiej. Z kolei w 2020 r. bał się porażki, gdyby wystartował. Dlatego uznał 2025 r. za optymalny dla siebie termin.



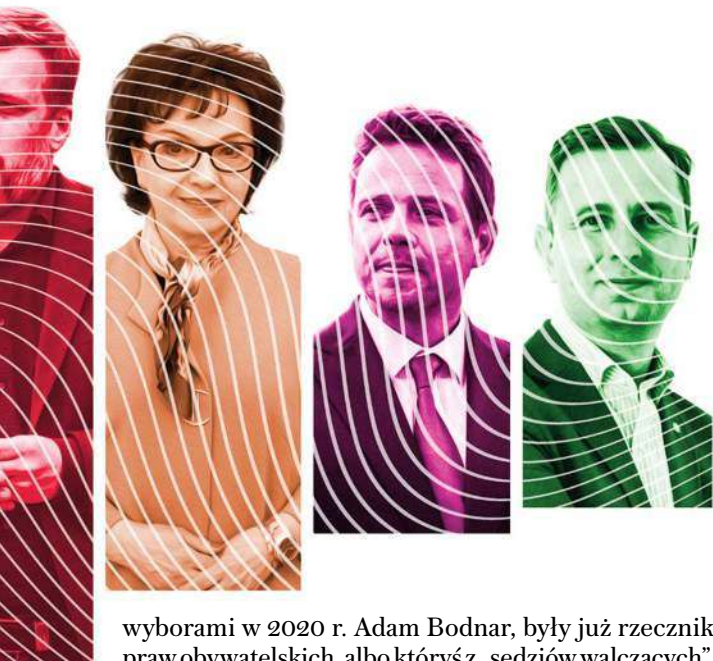
STANISŁAW JANECKI

Dla Krzysztofa Bosaka z Konfederacji, niesprecyzowanego jeszcze kandydata Lewicy (Robert Biedroń chyba wyczerpał wszystkie swoje zasoby) i Władysława Kosiniaka-Kamysza z Polskiego Stronnictwa Ludowego kandydowanie w wyborach prezydenckich jest konieczne do podtrzymania poziomu poparcia dla swoich ugrupowań, choćby szans na wy-

graną nie mieli.

W PiS „naturalnymi” kandydatami są Mateusz Morawiecki, Beata Szydło i Elżbieta Witek, ale prezes Jarosław Kaczyński nie jest przeciw wyłonieniu kogoś całkiem nowego, choć nie chce, by takiego kandydata lansował ktoś spoza PiS. I tu największe szanse na poparcie miałyby być może pierwsza dama Agata Kornhauser-Duda. Problem powstał, gdy w sondażu prezydenckim Instytutu Badań Spraw Publicznych (z kwietnia 2022 r.) wygrał ambasador Polski w USA Marek Magierowski, uzyskując niewielką przewagę nad Rafałem Trzaskowskim. Nie został on jednak autoryzowany jako kandydat PiS czy Zjednoczonej Prawicy.

Kandydatury egzotyczne spoza głównych partii nie mają większych szans, ale nie mają ich także osoby z partiami niezwiązane, choć ideowo im bliskie, np. lansowany w PO przed



wyborami w 2020 r. Adam Bodnar, były już rzecznik praw obywatelskich, albo któryś z „sędziów walczących”, np. Igor Tuleya, Beata Morawiec lub Paweł Juszczyszyn.

KANDYDACI „OCZYWIŚCI” I INNI

Prezydenckie przymiarki ruszyły już w sondażach. W tym, w którym umieszczono kandydatów „oczywistych” (IBRiS dla Radia Zet opublikowany 24 maja 2022 r.), wygrał Mateusz Morawiecki – 33,8 proc., przed Rafałem Trzaskowskim – 30,4 proc., Szymonem Hołownią – 10,6 proc., Krzysztofem Bosakiem – 7,1 proc., Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem – 6,6 proc., Robertem Biedroniem – 4,1 proc., Michałem Kołodziejczakiem (z Agrounii) – 1,7 proc. i Zbigniewem Ziobrą – 1 proc. Ale w grę wchodzi nie tylko kandydaci „oczywiści”. We wspomnianym już badaniu IBSP wygrał Marek Magierowski – jako kandydat Zjednoczonej Prawicy otrzymałby w pierwszej turze 27,87 proc. Drugi był prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski (jako kandydat KO) – 27,59 proc., na trzecim miejscu znalazł się lider Polski 2050 Szymon Hołownia – 14,27 proc. Posel Konfederacji Krzysztof Bosak otrzymał 6,07 proc. głosów, lider PSL Władysław Kosiniak-Kamysz – 4,08 proc., a Adrian Zandberg z Partii Razem – 1,95 proc. 2,01 proc. respondentów wskazało „innego kandydata”. W badaniu IBSP celowo nie umieszczono nazwisk premiera Mateusza Morawieckiego czy byłej premier Beaty Szydło, zakładając, że wybory w 2025 r. będą się toczyć wokół innych spraw, niż te osoby uosabiają, choć dla PiS wciąż są kluczowymi kandydaturami. W starszym badaniu IBSP (z 15 lutego 2021 r.) wygrał Rafał Trzaskowski – 33,99 proc., przed Szymonem Hołownią – 25,83 proc., Beatą Szydło – 20,52 proc., Krzysztofem Bosakiem – 11,95 proc., Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem – 3,74 proc. i Agnieszką Dziemianowicz-Bąk z Lewicy – 2,64 proc.

W istocie sondaże prezydenckie zastępują obecnie wybory, choć tylko w sensie zorientowania się, jakie poszczególne ugrupowania mają zasoby i czy w realnych wyborach powinno się je brać pod uwagę. Chyba wszyscy w polskiej polityce mają w pamięci niewypał z kandydaturą Małgorzaty

Kidawy-Błońskiej (w 2020 r.), która teoretycznie i sondażowo na początku spełniała większość warunków w tym wyścigu, a potem okazała się niewybieralna i trzeba ją było zastąpić Rafałem Trzaskowskim.

„Oczywistych” troje kandydatów PiS (Szydło, Witek, Morawiecki) nie budzi kontrowersji we własnym elektoracie, ale podobnie jak to było w 2020 r., żeby wygrać wybory, trzeba będzie zdobyć ponad 10 mln głosów. Elektorat PiS to jakieś 8 mln (w 2019 r. – 8,05 mln), więc do zwycięstwa potrzeba ok. 2,5 mln dodatkowych głosów. W 2020 r. był w stanie je pozyskać Andrzej Duda, ale urzędującemu prezydentowi było łatwiej. Trudniej może być urzędującemu premierowi Mateuszowi Morawieckiemu, gdyż będzie rozliczany za politykę swojego rządu, który działał chyba w najtrudniejszych warunkach po 1989 r. (pandemia, wojna na Ukrainie, związana z obu tymi wydarzeniami inflacja).

Beata Szydło uzyskała najlepszy w całej UE wynik w wyborach europejskich (ok. 526 tys. głosów) oraz jest twarzą największych programów socjalnych PiS, lecz w wyborach prezydenckich obowiązują inne kryteria niż w parlamentarnych czy europejskich. Szczególnie gdy chodzi o pozyskanie tych 2,5 mln głosów wyborców spoza Zjednoczonej Prawicy lub tych, którzy na inne wybory nie chodzą. I tu możliwości byłej premier mogą być ograniczone.

Jeszcze większe problemy może mieć marszałek Sejmu Elżbieta Witek, która jest wprawdzie drugą osobą w państwie, ale nie jest powszechnie rozpoznawalna, a tym bardziej znana z cech przywódczych, które marszałkowi Sejmu niekoniecznie są potrzebne.



Markowi Grabowskiemu i jego rodzinie

*składamy wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci*

MAMY

*Absolwentki KUL w trudnych latach stalinizmu,
uczennicy Karola Wojtyły*

Redakcja tygodnika „Sieci”

Ambasador Marek Magierowski ma wprawdzie wiele cech, które sprzyjają wygranej, szczególnie gdyby w decydującej rozgrywce brał udział Rafał Trzaskowski, gdyż neutralizuje wszystkie zalety prezydenta Warszawy (światowość, języki, wpływy). A nawet je przebija, przede wszystkim inteligencją, w dodatku mógłby liczyć na przychylne przyjęcie ze strony strategicznych sojuszników Polski, w tym przede wszystkim USA. Problemem dla PiS jest jego spodziewana samodzielność i kłopoty, które wynikałyby z tego dla współrządzenia, gdyby taki kandydat wybory wygrał. W kierownictwie PiS kandydatura Marka Magierowskiego nie została dobrze przyjęta jako wrzutka z zewnątrz, a nie wynik strategii tej partii. Choćby tej, która pod koniec 2014 r. wyłoniła Andrzeja Dudę, choć też początkowo nikt o nim nie myślał jako o kandydacie na najwyższy urząd w państwie. Wprowadzenie Magierowskiego do gry przez Instytut Badań Spraw Publicznych, czyli sondażownię mało wiarygodną ze względu na wcześniejsze przestrzeliwanie większości wyników, było raczej próbą sprowokowania debaty wewnątrz PiS (Zjednoczonej Prawicy), a może nawet zagrywką na wywołanie konfliktów niż pokazaniem układu sił.

TERAZ PIERWSZA DAMA

Choć PiS (Zjednoczona Prawica) ma dwie „oczywiste” kobiece kandydatki na prezydenta, coraz częściej mówi się o tej trzeciej, czyli pierwszej damie Agacie Kornhauser-Dudzie. I to mimo że ona sama w żadnej licytacji nie uczestniczy. To nie jest wcale pomysł egzotyczny, gdyż liderzy PiS zakładają, że miałyby ona szanse poszerzenia elektoratu, a poza tym jej wybór oznaczałby w wielu aspektach kontynuowanie prezydentury Andrzeja Dudy. Nie bez znaczenia jest też czynnik „rodzinny”, czyli z jednej strony zakorzenienie tej kandydatki w wartościach ważnych dla PiS i Zjednoczonej Prawicy, a z drugiej – dobrze rozumianej sukcesji.

W trakcie prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego (jedyne przed Andrzejem Dudą sprawującego urząd dwie kadencje) i po jej zakończeniu urząd głowy państwa zaczęto postrzegać trochę jak dwór królewski. W każdym razie para prezydencka zachowywała się jak para monarchów, co niekoniecznie budziło sprzeciw czy kpiny. Chyba nieprzypadkowo o urządzie głowy państwa jako zastępczym dworze królewskim myśleli Radosław Sikorski i Anne Applebaum, gdy w 2010 r. w prawyborach w PO ówczesny szef MSZ rywalizował z Bronisławem Komorowskim. A i sam Komorowski zachowywał się często tak, jakby urzędował na królewskim dworze. W takiej roli łatwo oczywiście popaść w śmieszność, ale pewna doza królewskości nie jest źle odbierana. I tak było również w II Rzeczypospolitej, gdy prezydentem był Ignacy Mościcki.

Ewentualna kandydatura Agaty Kornhauser-Dudy jest wyraźnym nawiązaniem do Jolanty Kwaśniewskiej, która nigdy nie zdecydowała się sprawdzić, jak jej szanse poparte licznymi sondażami wyglądałyby w realnej konfrontacji wyborczej. We wrześniu 2003 r., czyli pod koniec podwójnej kadencji Aleksandra Kwaśniewskiego tygodnik „Polityka” opublikował sondaż, w którym Jolanta Kwaśniewska wygrała z innymi kandydatami z 34-proc. poparciem. Drugi był Andrzej Lepper (8 proc.), a następnie Jan Rokita – 6 proc., potem Marek Borowski i Andrzej

Olechowski – po 5 proc. Choć tuż po opublikowaniu sondażu Kwaśniewska nie wykluczyła startu w wyborach, potem się jednak zdecydowanie wycofała, a właściwie wycofała ją rzeczywistość. W 2004 r. wybuchła tzw. afera Orlenu, a Kwaśniewska stanęła przed sejmową komisją śledczą powołaną do wyjaśnienia tej sprawy. Pytano ją m.in. o osoby wpłacające pieniądze na jej fundację. Zaraz potem oznajmiła, że nie będzie kandydować.

Mit Kwaśniewskiej jako kandydatki na prezydenta jednak przetrwał. 22 czerwca 2009 r. w sondażu GfK Polonia dla „Rzeczypospolitej” zestawiano różnych kandydatów z Donaldem Tuskiem. Jolanta Kwaśniewska przegrywała z nim w drugiej turze z najmniejszą stratą – 47 proc. do 53 proc. Pod koniec grudnia 2018 r. w sondażu Instytutu Badań Pollster dla „Super Expressu” pytano o poparcie, gdyby wyborcy mieli głosować wyłącznie na kobietę. Głos na Jolantę Kwaśniewską oddałyby 28 proc. badanych, druga była Beata Szydło – 10 proc., a trzecia Agata Kornhauser-Duda – 8 proc. Teraz pozycja obecnej pierwszej damy jest znacznie silniejsza, a Jolanta Kwaśniewska dawno już zapomniała o ewentualnej karierze prezydenckiej. Ale Kwaśniewska niewątpliwie wzmocniła samą ideę kandydowania pierwszej damy na prezydenta.

KANDYDACI NA SZOK PRZYSZŁOŚCI

Partie i ich wstępni albo samozwańczy kandydaci na prezydenta w wyborach w 2025 r. zdają się na razie kompletnie ignorować to, w jakim miejscu będą Polska, Unia Europejska i świat latem 2025 r. A mogą to być wybory wyjątkowe (znacznie bardziej niż parlamentarne jesienią 2023 r.) ze względu na długofalowe skutki pandemii, stan wojny na Ukrainie lub warunki pokoju po wojnie, ze względu na wieszczony powszechnie wielki globalny kryzys ekonomiczny, który w 2025 r. może decydować o losach państw i poszczególnych polityków, a nawet o przyszłości Unii Europejskiej i świata. Być może wtedy kandydat na prezydenta będzie musiał mieć takie cechy, umiejętności i właściwości, o jakich obecnie nikt nawet nie myśli. Wówczas kandydaci, którzy obecnie funkcjonują w różnych wyborczych konfiguracjach mogą się kompletnie nie nadawać do wyzwania czekających Polskę, UE i świat.

Optymistycznie zakłada się, że nadchodzące problemy będą mieściły się w ramach w miarę znanego paradygmatu, ale przecież tak nie musi być. I wtedy w grę może wchodzić albo przedłużenie za zgodą wszystkich sił w parlamencie mandatu obecnego prezydenta, co wiązałoby się ze zmianą konstytucji, albo poszukiwanie kandydata ponadpartyjnego, co obecnie wydaje się zupełnie nierealne. Ale takie zagrożenia też na razie są traktowane jako nierealne. Wtedy jednak najodpowiedniejszym kandydatem może być ktoś najbardziej doświadczony, mający nie tylko długi polityczny staż, ale i sukcesy w kreowaniu polityki.

Polska klasa polityczna żyje obecnie w przekonaniu, że w 2025 r. wszystko będzie wyglądało mniej więcej tak jak dziś. Ale jeśli przyjdzie wielki kryzys albo cała seria kryzysów, znani dziś kandydaci (kandydatki) na prezydenta mogą się okazać kompletnie nieadekwatni. I zadaniem partii powinno być myślenie o tym, co wtedy zrobić, komu powierzyć najwyższy urząd w państwie. Z tego punktu widzenia najbardziej odpowiedni kandydaci być może jeszcze nie są w ogóle znani, a wyłoni ich sama rzeczywistość.



ODJECHANE RATY 0%

Teraz za OC/AC zapłacisz
w 4 ratach



Bank Polski
dzień dobry

PKO Bank Polski działa jako agent ubezpieczeniowy. Organizatorem promocji „Ubezpiecz auto na raty” jest bank. Promocja trwa do 30.06.2022 r. Płatność składki ubezpieczeniowej w ratach nie wiąże się z dodatkowymi kosztami. Szczegóły i warunki promocji w regulaminie.

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju;
w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora, +48 81 535 60 60 opłata zgodna z taryfą operatora

Tata idealny

Przez lata niesłusznie pomijano aspekt podziału obowiązków domowych i relacji w rodzinie jako elementów odpowiadających za wskaźniki demograficzne

**Z dr. hab. Michałem A. Michalskim,
profesorem Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza
oraz prezesem Fundacji Instytut Wiedzy o Rodzinie
i Społeczeństwie, rozmawia Dorota Łosiewicz**

Czy zaangażowanie w obowiązki domowe ojców, mężczyzn może być istotnym aspektem wpływającym na demografię?

Michał A. Michalski: W ostatnich 20–30 latach zaczęły pojawiać się badania, w których stawia się to pytanie i pojawia się zainteresowanie tą kwestią. Tradycyjnie, gdy mówiliśmy o demografii, na pierwszym planie była dyskusja o dzietności kobiet czy liczbie kobiet w danym roczniku. Przez lata ojcowie byli brakującym punktem w licznych agendach programów i polityk poświęconych rodzinie. Tymczasem ich wkład w obowiązki domowe, ich zaangażowanie w sprawy opiekuńcze i prowadzenie gospodarstwa to czynniki, które sprzyjają dzietności. Okazuje się, że finalnie demografia to także efekt postaw życiowych osób tworzących rodzinę i gospodarstwo domowe, które może nie od razu kojarzą się z decyzjami prokreacyjnymi. Przez lata niesłusznie pomijano aspekt podziału obowiązków domowych i relacji w rodzinie jako elementów odpowiadających za wskaźniki demograficzne. A przecież to również są czynniki kluczowe dla faktu, jaki wynik demograficzny osiągnie rodzina.

Mogę tylko potwierdzić empirycznie te tezy. Bez wątplenia łatwiej jest wychowywać dzieci z kimś, kto jest w ten proces zaangażowany, i łatwiej

podejmować decyzję o powiększeniu rodziny, gdy jest poczucie bezpieczeństwa, że nie „wszystko na mojej głowie”.

Przy okazji warto podkreślić, że przed nami kolejne ważne zadanie: nauczyć się patrzeć na prowadzenie gospodarstwa domowego, wychowywanie dzieci, a także opiekę nad osobami starszymi jako na konkretną pracę. Często przecież słyszymy o kobiecie, że „siedzi w domu”. Tymczasem ekonomiści zaczęli przeliczać na pieniądze wartość czynności i działań w gospodarstwie domowym oraz ich udział w tzw. torcie ekonomicznym całej gospodarki. Doszli do wniosku, że jest on kluczowy dla funkcjonowania społeczeństwa. Najskromniejsze szacunki mówią, że ta praca wykonywana każdego dnia w gospodarstwie domowym może się przekładać co najmniej na 30 proc. PKB. Odważniejsi mówią, że to może być nawet 50 proc. PKB. Gdyby te szacunki były trafione, okazałoby się, że gdyby nagle gospodarstwa domowe zastrajkowały, czyli miliony ojców i matek nie wstałyby z łóżek, nie wyszykowałyby dzieci do szkoły, nie ugotowały obiadów, nie sprzątały to wówczas zbiednielibyśmy o połowę.

Czyli obowiązki domowe to tzw. drugi etat. Powinien więc być na równi dzielony.

Czy „po równo”, to jest kwestia do dyskusji, bowiem z badań wynika, że nie wszyscy rodzice, małżonkowie, pary chcą, by był to podział dokładnie 50 na 50 proc. W kontekście strategii demograficznej, powstałej w Polsce, były omawiane badania, które wykazały, że np. wśród kobiet są różne preferencje co do kształtowania i organizowania życia codziennego w kontekście wykonywania pracy zawodowej i domowej. Jest spora grupa kobiet, ok. 30 proc., które twierdzą, że gdyby to było możliwe i okoliczności by sprzyjały, chciałyby się poświęcić życiu rodzinnemu i prowadzeniu gospodarstwa domowego w 100 proc. I część kobiet to robi. A na pewno wprowadzane przez rząd instrumenty, typy emerytura matczyna (Mama 4+), mogą sprzyjać tego typu decyzjom. Najlepiej jest, gdy polityka społeczna odpowiada na konkretne potrzeby obywateli. Na przykład tworzy możliwości lepszego łączenia obowiązków zawodowych i domowych dla tych rodziców, którzy tego chcą, czyli chcą być aktywni na rynku pracy. Równolegle powinna też tworzyć sprzyjające warunki tym rodzicom, którzy chcieliby dzielić między sobą obowiązki, i to niekoniecznie „po równo”, czyli woleliby, żeby mężczyzna poświęcał się bardziej pracy zawodowej, a kobieta pracy domowej lub na odwrót.

Jakie narzędzia polityki społecznej ma pan na myśli, biorąc pod uwagę tak rozbieżne potrzeby?

Jeśli chodzi o tę pierwszą grupę, czyli sytuację, w której aktywni zawodowo są obydwoje rodzice, to już się sporo zadziało. W raporcie, w którym zajmowaliśmy się prorodzinnymi praktykami w miejscu pracy, widać, że Polska rozwija ten obszar. To są np. urlopy ojcowskie, otwarcie na wprowadzanie elastycznych możliwości łączenia pracy zawodowej z pracą w domu, to większy dostęp do zatrudnienia niepełnoetatowego. W dostępnych badaniach kobiety często wskazywały właśnie na ograniczone możliwości pracy w niepełnym wymiarze godzin. Wiemy, że resort pracy stara się wprowadzać korzystne zmiany w Kodeksie pracy pod tym względem. Ważne będą tu uregulowania związane z pracą zdalną. Istotny jest też klimat spo-



leczny i ukierunkowanie wyobraźni społecznej na rodzinę.

Czyli promocja marki rodzina?

Tak jest. Ale także promowanie pracy domowej jako niezwykle potrzebnej, a często jakże niedocenianej. Nieoceniona jest właśnie rola edukacji społecznej i komunikacji. Gdy spojrzymy na życie naszych rodziców czy dziadków, to dla nich oczywiste było, że mężczyźni bardziej angażują się w pracę zawodową, a kobiety w organizację życia domowego. To się zmieniło. Mówiliśmy nawet o tzw. zablokowanej rewolucji. Gdy kobiety ruszyły masowo na przełomie XIX i XX w. na rynek pracy (w Polsce z opóźnieniem), to zabrakło wystarczającej odpowiedzi społecznej w postaci podjęcia większej odpowiedzialności za obowiązki domowe mężczyzn i stąd hasło „zablokowanej rewolucji”.

A od czego zależy to, czy mężczyźni angażują się w życie rodziny, w wychowanie, czy nie? W jakich warunkach robią to chętniej?

Jednym z czynników, który jest zbadany i co do którego mamy sporo pewności, że sprzyja zaangażowaniu mężczyzn w życie domowe, jest religijność. Pokazują to m.in. amerykańskie badania. Oprócz tego z jednej strony liczba dzieci to czynnik, który sprzyja trwałości małżeństwa, a z drugiej strony sprawia, że małżonkowie muszą na poważnie podjąć temat właściwego czy też sprawiedliwego podziału obowiązków. Jednak to, czy dany podział jest sprawiedliwy, czy nie, powinni w ostatecznym rozrachunku oceniać sami małżonkowie. Nie da się go chyba usankcjonować czy zapisać.

Ja od siebie dodam, że często kobiety, próbując we wszystkim wyręczyć mężczyzn, zniechęcają ich do podejmowania obowiązków domowych. Jak ten podział obowiązków wygląda w Polsce na tle Europy?

Mamy dane porównujące Polskę i Norwegię. Polska wypada słabiej, jeśli chodzi o równomierny podział obowiązków. Trzeba jednak pamiętać

o procesach historycznych, społecznych, np. opóźnionej modernizacji, mniej rozwiniętym sektorze usług do 1989 r. w Polsce. Te czynniki wpływają na to, że w naszym kraju pewne zmiany następowały później w stosunku do reszty Europy. Zachód Europy modernizował się wcześniej. Jeśli chodzi o różnice między zaangażowaniem w pracę wykonywaną przez kobiety i mężczyzn w domu, dobrze zobrazują to liczby. Są takie szacunki, które pokazują, że przeciętna roczna wartość pracy domowej wykonywanej przez kobiety to 26 tys. zł, a przez mężczyzn to 15 tys. zł. Na tym przykładzie widać dysproporcję. Ale ona wynika oczywiście z wielu czynników, m.in. tych, o których mówiłem wcześniej. Wydaje się oczywiste, że żaden mężczyzna nie będzie nigdy w stanie tak zaopiekować się małym dzieckiem jak kobieta choćby dlatego, że nie może karmić piersią. Nie można oczywiście zapominać, że jest mnóstwo czynności, które z powodzeniem świeżo upieczony tata może podejmować.

Jak zmieniał się wizerunek ojca w ostatnich dekadach?

Wizerunek ojca w ostatnich dekadach to oczywiście temat bardzo rozległy i wielowymiarowy. Warto tu pamiętać, że jest on związany w Polsce, z jednej strony, ze zmianami politycznymi i gospodarczymi ostatnich 30 lat, a z drugiej – z szerszym tłem przemian społeczno-kulturowych, które dokonywały się od drugiej połowy XX w. W kontekście poprzedniego stulecia ktoś żartobliwie stwierdził, że wraz z nadejściem rewolucji przemysłowej ojciec wyszedł z domu do pracy na etacie i do dziś jeszcze nie wrócił. Ta sytuacja w znacznej mierze panowała przez dekady w krajach uprzemysłowionych – także w Polsce – tworząc pewien utrwalaony obraz ojca jako kogoś, kto jest zapracowany, mniej obecny w domu, a więc i w życiu swoich dzieci. Dziś na szczęście coraz częściej dostrzegamy, co potwierdzają badania, że ta fizyczna, a także emocjonalna nieobecność ojca powoduje wiele problemów, szczególnie w odniesieniu do rozwoju dzieci. I zapewne dlatego w ostatnich latach pojawiło się sporo inicjatyw, dyskusji, badań temu poświęconych, dzięki którym o ojcostwie mówi się więcej, co wpływa na oczekiwania pod tym względem. Zapewne m.in. dzięki temu wizerunek ojca zaczął się zmieniać i dziś wydaje się, że jest to postać bliższa emocjonalnie oraz bardziej zaangażowana w opiekę i wychowanie dzieci. Jest więc on dziś bardziej postrzegany jako partner i opiekun.

Jaki jest idealny wizerunek ojca według badań?

Jak zauważa prof. Lucyna Bakiera, obecnie oczekiwania wobec ojców nie są spójne, a nierzadko sprzeczne. Konstatuje ona ten fakt stwierdzeniem, że łatwiej obecnie być matką niż ojcem. Jeśli chodzi o wyobrażenia dobrego

Jednym z czynników, który jest zbadany i co do którego mamy sporo pewności, że sprzyja zaangażowaniu mężczyzn w życie domowe, jest religijność

ojca, to – jak wynika z badań zrealizowanych przez Tato.Net w 2021 r. – ma być on przede wszystkim czuły, troskliwy, opiekuńczy i dobry, na co wskazuje ponad 70 proc. zarówno mężczyzn, jak i kobiet będących rodzicami. Następny zestaw atrybutów wskazanych przez co najmniej 35 proc. respondentów z obu grup dotyczy tego, że ojciec ma czas, jest cierpliwy, bawi się z dziećmi, jest pomocny. Następnie – na co wskazuje 33 proc. ojców i 24 proc. matek – ojciec ma być stanowczy, konsekwentny i sprawiedliwy. Ostatnia grupa cech, podkreślana przez 27 proc. ojców i 35 proc. matek, to odpowiedzialność, bycie godnym zaufania i zdolność do dawania poczucia bezpieczeństwa.

Czego życzyć ojcom przed zbliżającym się Dniem Ojca?

Tego, by odkrywali, jak niesamowitą przygodą i źródłem życiowej satysfakcji może

być ojcostwo. I warto, by starali się postawić swoją relację z dziećmi na pewno przed swoją pracą czy pasją. Innymi słowy, by ojcostwo stało się pasją ich życia, bo wtedy sami będą zaskoczeni, jak wiele radości i szczęścia sami z tego będą mogli czerpać. I by przy okazji nie zapominali, że bardzo wiele zależy od ich relacji małżeńskiej!

A czy zupełne odwrócenie ról społecznych – mężczyzna w domu z dziećmi, kobieta aktywna zawodowo – może być przyczyną problemów?

Pod pewnymi względami jesteśmy naturalnie różnie predysponowani do odgrywania odmiennych ról, którymi są ojcostwo i macierzyństwo. Wydaje się, że to rozwiązanie, które najczęściej jest spotykane na świecie, właśnie odzwierciedla tę kwestię. Warto jeszcze zwrócić uwagę na dynamikę życia rodzinnego. To jest przecież rzeczywistość podlegająca zmianom, np. wraz z rozwojem dzieci. To oznacza, że pewne ustalenia co do organizacji życia domowego, gdy dzieci są małe, mogą przecież być modyfikowane, gdy są one starsze. Ważne, by szukać rozwiązań pomagających w taki sposób organizować życie rodzinne, w którym wszyscy – zarówno rodzice, jak i dzieci – będą mogli znajdować satysfakcję.

Dlaczego tak dużo mówimy ostatnio o demografii?

Dziś lepiej rozumiemy, że od demografii naprawdę w dużym stopniu zależy przyszłość, w jakiej będziemy żyć my oraz nasze dzieci i wnuki. Dotyczy to wielu zagadnień społecznych, włącznie z tak ważnymi kwestiami jak satysfakcja z relacji życiowych czy poziom życia, który zapewne większość z nas chciałaby poprawić lub przynajmniej zachować. Patrząc niestety na dzisiejsze statystyki, należy mieć tu bardzo uzasadnione obawy. Dlatego warto, by świadomość wpływu demografii na nasze życie towarzyszyła wszystkim naszym decyzjom – zarówno na poziomie indywidualnym, jak i społecznym.

Michał A. Michalski

DZIAŁAMY WSPÓLNIE NA RZECZ ZRÓWNOWAŻONEJ PRZYSZŁOŚCI



**W 2021 wygenerowaliśmy 122 mld zł
wsparcia dla polskiej gospodarki.**

www.bgk.pl

Wojna na Ukrainie. Pierwsze wnioski dla Polski

*Wojnę wygrywa nie sama armia, ale siły zbrojne, które mają poparcie narodu
i mogą liczyć na silne przywództwo polityczne*



Winston Churchill powiedział, że „generałowie zawsze przygotowują się do poprzedniej wojny”, co powoduje, iż ten, kto lepiej rozumie, jak będzie wyglądać następny konflikt, ma szansę na zwycięstwo. Przez ten pryzmat warto spojrzeć na 100 dni starcia Ukrainy z Rosją. Ale nie po to, by mechanicznie przenosić na nasz grunt rozwiązania, które się sprawdziły, lecz dostrzec, jak zmienia się sama wojna, co jest czynnikiem zwycięstwa i na co warto zwrócić uwagę. Oczywiście wojna jeszcze się nie zakończyła, trudno więc o wnioski definitywne, ale pierwsze można już wyciągnąć. Oto one:

1 Wojna to nie jest kwestia wyłącznie armii

Kiedy 24 lutego Rosjanie napadli na Ukrainę, sytuacja Kijowa wcale nie była tak korzystna, jak to może wyglądać z dzisiejszej perspektywy, i wiele wskazywało na to, że mogą potwierdzić się słowa generała Marka Milleya, który ostrzegał niedługo przed tą datą amerykańskich kongresmanów, że ukraińska stolica „może upaść w 72 godziny”. Jak informuje „The Guardian”, kiedy zaczęły spadać rosyjskie rakiety, prezydent Zelenski spał we własnym łóżku, bo ani on, ani jego doradcy nie wierzyli w wybuch konfliktu. Podobnie było zresztą z wieloma szefami administracji lokalnych, w tym z rejonów nadgranicznych, a kierujący Służbą Bezpieczeństwa Ukrainy wręcz się gdzieś „zapodział” i przez kilka pierwszych dni nie było z nim kontaktu. Jak informował niedawno dziennikarz Jurij Butusow, na południu nie zniszczono żadnego z pięciu mostów między Melitopolem a Tokmakiem, gdzie mogłaby zorganizować się pierwsza linia obrony, nie dopuszczając sił agresora do Mariupola. O tym, że Ukraina nie była idealnie przygotowana do wojny, świadczy też to, że dopiero po jej wybuchu ogłoszono mobilizację, a nawet zaczęto rozdawać w Kijowie broń wszystkim chcącym bronić stolicy. Niedługo po rozpoczęciu przez Rosję agre-



MAREK BUDZISZ

sji Waszyngton oficjalnie zaproponował Zelenskiemu i jego rodzinie ewakuację, a o stanie nastrojów wiele mówiły wypowiedziane na jednej z pierwszych konferencji prasowych słowa ukraińskiego prezydenta, że może to być jego ostatnie wystąpienie publiczne, bo rosyjskie oddziały specjalne są już w Kijowie i Rosjanie chcą go zabić.

Żeby zwyciężyć przeciwnika we współczesnej wojnie, takiego, który ma większą armię i więcej sprzętu, wcale nie musimy dążyć do ilościowego z nim parytetu. Musimy jednak walczyć mądrze, znając swoje i przeciwnika słabe strony

Co zatem spowodowało, że po pierwszych chwilach chaosu i improwizacji Ukraina zaczęła walczyć w sposób lepiej zorganizowany, odpierając rosyjskie uderzenie na lotnisko Hostomel, co uniemożliwiło Rosjanom szybkie wkroczenie do ukraińskiej stolicy? Wydaje się, że takim czynnikiem mogła być postawa samego Zelenskiego, który odrzucił propozycję ewakuacji, mówiąc, że „potrzebuje wsparcia, a nie podwózki”. Narodził się wówczas lider, co pozwoliło opanować chaos i przesądziło o przebiegu pierwszej fazy wojny. Ten był aktor zmobilizował w godzinie próby cały naród do oporu, udowadniając, że wojnę wygrywa nie sama armia, ale siły zbrojne, które mają poparcie na-

rodu i mogą liczyć na silne przywództwo polityczne. Wydawało się, że co najmniej od czasów Churchilla prawda ta jest oczywistością, ale doświadczenia pierwszych dni wojny na Ukrainie potwierdzają ją w 100 proc.

2 Najważniejszy jest żołnierz

Druga nauka, którą można wyciągnąć z pierwszych 100 dni ukraińskiego konfliktu, paradoksalnie nie odpowiada temu, co napisałem wcześniej. Jeśli bowiem wojnę toczy społeczeństwo i kierownictwo polityczne państwa, to dlaczego tak ważni są żołnierze?

Gen. Amikam Norkin, który do niedawna kierował izraelskim lotnictwem, powiedział mi, że „żołnierz to dobro rzadkie, a dobrze wyszkolony i przygotowany do walki jeszcze radsze”. Sprzęt można kupić, dowieźć, naprawić, ale nie zmieni się szybko w czasie wojny nastawienia żołnierzy i oficerów, nie wyszkoli ich do nowych, coraz trudniejszych zadań, a z wojska pozbawionego morale i determinacji nie stworzy się doborowych jednostek.

Autorzy artykułu w brytyjskim „The Economist”, szukający odpowiedzi na pytanie o źródła niepowodzeń Rosjan, słusznie napisali, że „złe wyszkoleni i słabo zmotywowani żołnierze stanowią zagrożenie w każdym konflikcie.

Są oni szczególnie nieprzystosowani do złożoności współczesnej wojny toczonej z użyciem broni kombinowanej, która wymaga synchronicznej pracy czołgów, piechoty, artylerii i sił powietrznych. [...] Takie zadanie wymaga przynajmniej zdrowego przywództwa. I tego też brakuje. Podoficerowie – starsi podoficerowie, którzy szkolą i nadzorują żołnierzy – stanowią trzon sił zbrojnych NATO. Rosja nie ma porównywalnej kadry”.

Prof. Eliot Cohen, wykładowca studiów strategicznych na Uniwersytecie Johna Hopkinsa, jest wręcz zdania, że „siły zbrojne są lustrem społeczeństwa”. Nie można mieć sprawnej armii w złe funkcjonującym państwie, nadzieje, że będzie

ona oazą nowoczesności i patriotyzmu w morzu bylejałości, mogą okazać się płonne. A to oznacza, że jeśli chcemy być dobrze przygotowani na ewentualność konfliktu, musimy zacząć myśleć o tym, jak są zmotywowani oficerowie w naszych siłach zbrojnych, jak są oni szkoleni i jakie postawy mogą zaszczerpić młodym ludziom, którzy trafiają do armii.

3 Zły plan gwarancją porażki

W zgodnej opinii zachodnich ekspertów Rosjanie przegrali pierwszą fazę wojny na Ukrainie, bo ich plan blitzkriegu był oparty na błędnych założeniach co do skali oporu Ukrainy i przecenianiu własnych możliwości. Ekspert brytyjskiego think tanku strategicznego RUSI są zdania, że Rosjanie źle zaplanowali pierwszą fazę wojny, ponieważ zbyt uwierzyli we własną „doktrynę Gierasimowa” – skuteczność połączenia działań asymetrycznych (propaganda, zastraszenie, dywersja, operacje psychologiczne) z wejściem ograniczonego kontyngentu wojskowego. Jeśli by te założenia zagrały, to w istocie wojna mogłaby toczyć się krótko i rozstrzygnąć szybko. Ale przecież w wojsku nie stawia się wszystkiego na jedną kartę, nie zakłada najlepszego scenariusza. Gdzie odwody strategiczne, gdzie wojska drugiego i trzeciego rzutu, gdzie zdolność do modyfikacji przyjętych założeń i planów taktyczno-operacyjnych? Czegoś tu zabrakło, co skłania do stawiania kolejnej tezy, według której rosyjscy generałowie, zapewne z zaciśniętymi zębami, musieli w myśl zasady „ręki po szwam” przyjąć do realizacji plan, który nie mógł się powieść. Takie tezy pojawiają się też w artykułach pisanych przez rosyjskich dziennikarzy na podstawie poufnych informacji i przecieków z kręgów wojskowych.

Jeśli zatem zgodzić się z tezą, że niepowodzenia Rosjan na Ukrainie są związane z faktem złego zaplanowania oraz przygotowania wielkiej i skomplikowanej operacji, jaką jest wojna tej skali, to rosyjska armia – zwłaszcza jeśli to nie ona, ale tzw. czynnik polityczny planował działania –

wcale nie jest tak słaba, jak może to wyglądać, lecz jedynie została „źle użyta”.

Christopher Dougherty, przez lata pracujący w zespole planowania strategicznego Pentagonu, uważa, że „Rosja zawodzi po części dlatego, że nie przestrzega swojej doktryny ani podstawowych zasad wojny”. Michael Howard, historyk wojskowości, wskazuje na jeszcze jeden czynnik, a mianowicie brak doświadczenia. Chodzi w tym przypadku o nieumiejętność przygotowania się, planowania i prowadzenia

Współczesna wojna to wielka bitwa informacyjna. Musimy szybciej i dokładniej wiedzieć, co robi przeciwnik, jak zmieniają się warunki działania, w tym atmosferyczne, i umieć z wyprzedzeniem reagować

wojny o tej skali, bo doświadczeń bojowych Rosjanom nie zabrakło. Ale w tym przypadku niepowodzenie nie jest sumą błędów i porażek taktycznych, ale odwrotnie, na tym poziomie nie można było nic zdziałać, bo cała operacja strategicznie była źle zaplanowana i przygotowana. Na to nałożyły się problemy z koordynacją między rozproszonymi kierunkami uderzenia i formacjami, co jest kluczowym czynnikiem prowadzenia wielodomenowych operacji.

Jak to się jednak stało, że źle przygotowany plan zaczął być realizowany? Odpowiedź na tak postawione pytanie ważna jest również z naszej perspektywy, bo paradoks polega na tym, iż na poziomie planowania strategicznego siłom zbrojnym i politykom jest potrzebna uczciwa, twarda debata, w której mówi się prawdę i zna własne możliwości. Jeśli nie ma kultury debaty, a w to miejsce pojawia się kultura potakiwania, to łatwo o przyjęcie planu działania zbudowanego na podstawie błędnych przesłanek, co

pierwsza faza wojny na Ukrainie dobitnie udowodniła.

4 Informacja jest kluczem do zwycięstwa

Autorzy książki „Small Wars, Big Data”, eksperci z Uniwersytetu Princeton, są zdania, że „współczesna wojna to nie walka o terytorium, ale o ludzi; cywile – i informacje, których mogą dostarczyć – mogą odwrócić bieg wydarzeń w krytycznych momentach”. Potwierdziły to wydarzenia na Ukrainie, jak choćby wkład ponad 70-letniej staruszki z jednej z podkijowskich miejscowości, która przy użyciu telefonu komórkowego lokalizowała rosyjskie cele, potem metodycznie niszczone przez ukraińską lekką piechotę. Kijów dostawał zresztą od Amerykanów informacje na temat ruchów wrogich wojsk w czasie rzeczywistym, wiedział też na tej podstawie, w które cele uderzą rosyjskie rakiety, co umożliwiałoby minimalizację strat, czy wręcz – o czym pisał „The Washington Post” – otrzymał dane pozwalające na zlokalizowanie rosyjskich generałów, których już 14 zginęło w walkach.

Amikam Norkin powiedział mi, że w ciągu ostatnich pięciu lat izraelska armia podwoiła swój potencjał, jeśli chodzi o zwiad, realizowany głównie przy użyciu dronów, a dziś żadna nawet najmniejsza jednostka nie opuści miejsca dyslokacji bez uruchomienia całego systemu zbierania informacji. Przede wszystkim dlatego, że współczesna wojna to wielka bitwa informacyjna. Musimy szybciej i dokładniej wiedzieć, co robi przeciwnik, jak zmieniają się warunki działania, w tym atmosferyczne, i umieć z wyprzedzeniem reagować. Ta wiedza w połączeniu ze zdolnościami precyzyjnego rażenia powoduje, iż wcale nie liczniej – a bardziej zasobna strona konfliktu, ale szybciej i sprawniej działająca ma większe szanse na współczesnym polu walki, na którym jak przed wiekami liczy się siła, ale użyta tam, gdzie przeciwnik jest słaby. To nas prowadzi do kolejnego wniosku z wojny na Ukrainie.



Fot. Samił Myhailiuk/Shutterstock

5 Strategia korozji, czyli liczą się asymetrie

Banalem jest stwierdzenie, że Rosjanie są silniejsi od Ukraińców. Prezydent Zełenski mówił ostatnio, że na froncie w Donbasie mają oni dziesięciokrotną przewagę ogniową nad broniącymi się siłami ukraińskimi. Nawet biorąc pod uwagę oficjalne informacje Kijowa, w których świetle w ciągu 100 dni wojny zostało zniszczonych 1350 rosyjskich czołgów, widzimy, że pod względem ilości sprzętu, którym Moskwa dysponuje, Rosja jest silna. Jeśli zatem nasi przeciwnicy mają tysiące czołgów, to czy jedyną szansą obrony przed ich agresją jest posiadanie większej ich liczby? Nawet nie wspominając o kosztach takiego podejścia, warto zwrócić uwagę na fakt, że pierwsze 100 dni wojny na Ukrainie udowodniło akurat coś zupełnie innego. Gdyby o wyniku wojny decydowała liczba czołgów, wyrzutni rakietowych czy transporterów opancerzonych, to Rosjanie zapewne tę wojnę już by dawno wygrali. Ale tak się nie stało. Wynika z tego, że aby zwyciężyć przeciwnika we współczesnej wojnie, takiego, który ma większą armię i więcej sprzętu, wcale nie musimy dążyć do ilościowego z nim parytetu. Musimy jednak walczyć mądrze, znając swoje i przeciwnika słabe strony. A to poszukiwanie słabych stron przeciw-

nika określa się w żargonie wojskowym mianem poszukiwania asymetrii, czyli tych obszarów, w których my jesteśmy silniejsi, a nasz wróg słabszy.

Mick Ryan, australijski dwugwiazdkowy generał w stanie spoczynku, obecnie wykładowca akademicki i autor wydanej w tym roku książki na temat transformacji wojny w XXI w. („War Transformed”), napisał, że Ukraina ma szansę wygrać wojnę z Rosją, bo walczy w sposób pomysłowy, a strategię Kijowa opatrzył mianem „strategii korozji”. Jak napisał: „W Australii zdolność do walki określamy jako »siłę bojową«. Składa się ona z elementów fizycznych, moralnych i intelektualnych. Podejście ukraińskie nadwyrężyło fizyczną, moralną i intelektualną zdolność Rosji do walki i zwycięstwa na Ukrainie zarówno na polu bitwy, jak i w globalnym środowisku informacyjnym”. W praktyce strona ukraińska koncentrowała swoje dotychczasowe wysiłki na poszukiwaniu i uderzaniu w słabe punkty przeciwnika, jednocześnie używając swoich głównych sił przede wszystkim po to, by spowolnić rosyjskie postępy w terenie.

Takie podejście w myśleniu o wojnie nie jest żadną nowością, jeszcze przed II wojną światową Basil Liddell Hart w swoim klasycznym dziś dziele poświęconym strategii określał je mianem „pośredniego”, choć dziś zapewne lepszym terminem byłoby nazwanie go mianem „asymetrycznego”. Strona słabsza wyszukuje słabe punkty

przeciwnika, uderza nagle, z zaskoczenia, unikając jednego rozstrzygającego starcia. Wykorzystuje lepszą znajomość terenu, mobilność, to, że „walczy u siebie”, ma zatem lepiej zorganizowane łańcuchy zaopatrzeniowe. Prowadząc operacje nękania, nie tylko spowalnia postępy wroga, ale również doprowadza do stopniowej redukcji jego potencjału i przede wszystkim morale, zarówno na poziomie dowódczym, jak i u zwykłych żołnierzy. To właśnie jest tym, co Ryan opatruje mianem „strategii korozji”.

* * *

Listę wniosków, które nasuwają się po 100 dniach wojny na Ukrainie, można i należy rozszerzać. Sam, przygotowując się do tego artykułu, napisałem kilkadziesiąt punktów, na które warto zwrócić uwagę. Udało się szerzej opisać pięć, ale nawet na ich podstawie widać jedno – nowoczesna wojna to złożony system, a o zwycięstwie decyduje wcale nie postawa armii, ale całego społeczeństwa, które musi być do obrony odpowiednio przygotowane. Najpierw należy wiedzieć, jaką wojnę będziemy toczyć w przyszłości, potem – jakie są słabe punkty przeciwnika, mieć przemyślaną strategię, wierzyć w to, że możemy wygrać, a na końcu dysponować odpowiednim sprzętem. W takiej właśnie kolejności. Bo nie czołgi, transportery czy wyrzutnie rakietowe wygrywają wojnę, ale ludzie, którzy wiedzą, jak ich skutecznie używać i o co walczyć.

Wołodmyr Mołdawczuk
w drodze po rannych
w Donbasie

Relacja z Ukrainy

Jak wójt pojechał na front

Mógł zostać w swojej gminie, gdzie i tak wspólnota organizuje gigantyczną pomoc dla żołnierzy, ale nie mógł wysiedzieć w biurze. W Donbasie spędził siedem tygodni, wywożąc rannych z linii frontu, teraz wrócił, by ponownie zarządzać hromadą Przerośl. Ale coś się w nim zmieniło na dobre



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

Gmina Przerośl znajduje się w obwodzie iwanofrankowskim, składa się z pięciu wsi i liczy 10 tys. mieszkańców. Niedaleko stąd zaczynają się już Karpaty, barwna Bukowina, obok kraina Huculów, wokoło lato rozgrzewa bujną, leniwą przyrodę. Ale mieszkańcy nie zapominają, że są na wojnie – kilkudziesięciu chłopców stąd jest już na froncie w Donbasie, a ich rodziny, sąsiedzi i przyjaciele ślą im pomoc

humanitarną, ubrania, żywność i przede wszystkim modlitwy. Tak, tutaj organizowano już wspólne modlitwy, odmawiano różaniec w domach, jest to grupa wsi, które duchem przypominają dawną polską prowincję. Mieszkańcy witają się tutaj słowami „sława Jezusa”, a odpowiadają „sława Bohu”. Wisi teraz nad nimi zmora morderczej rosyjskiej inwazji.

WÓJT POSZEDŁ NA WOJNĘ

6 czerwca o godz. 8.30 w małym, starym, z jeszcze drewnianymi podłogami budynku rozpoczęło się posiedzenie rady gminy (hromady) Przerośl. Wołodmyr Mołdawczuk zaczął je tak samo jak każde ze spotkań po 24 lutego. Wszyscy podnieśli się z krzeseł, by minutą ciszy uczcić pamięć poległych

obrońców Ukrainy. Na szczęście nikt z gminy nie zginął, choć dwa dni później przyjdzie wiadomość o dwóch rannych. Narada jest zdominowana przez tematy wojenne, choć do najbliższego frontu – chersońskiego – jest 755 km, a do Donbasu 1,1 tys. km. Wójt informuje o kolejnych samochodach wysłanych na wschód, przekazuje zapotrzebowanie od walczących chłopców: brakuje koszulek, podkoszulek, spodni, pantofli, wszystkie takie rzeczy, włącznie z bielizną, szybko się zużywają, drą, brudzą, nie ma tam warunków, by o to dbać.

Wszyscy słuchają w skupieniu, bo każdy ma tutaj krewniaka, przyjaciela albo sąsiada, który jest na samiu teńkiej wojnie. Słuchają też dlatego, że Wołodmyr był w Donbasie przez siedem tygodni i jako dawny lekarz wojskowy wy-

woził rannych z frontu. Po wtargnięciu Rosjan Moldawczuk nie mógł wysiedzieć w domu, choć roboty na miejscu przybywało i przybywało, mieszkańcy zaczęli dokładać do samochodów, transportów, ubrań, kamizelek kuloodpornych, spodni i medykamentów. Władze gminy musiały zrezygnować z nagród i premii dla pracowników, szukać oszczędności wszędzie gdzie się dało, by wszystkie środki przeznaczać na potrzeby frontu. Do wójta zaczęły przychodzić zapłakane matki, że ich synów wysyłają na wojnę. „Wołodomyrze Iwanowiczu, dlaczego zabieracie mi dziecko?” – takie pytanie w dziesiątkach wariantów padało do spracowanego, smutniącego gospodarza. Próżno tłumaczyć ludziom, że „głowa hromady” nie ma tu nic do gadania, że przyzywa do wojska ministerstwo obrony. Ale skoro ministrowie i generałowie są daleko, a wójt blisko, można do niego zająć, ponarzekać, popłakać.

Wołodia siedział, słuchał, tłumaczył, potem wracał do pracy, wciąż czując, że mógłby zrobić więcej. Gdy jego żona Irina i trzy córki usłyszały, że tata jedzie do Donbasu, były rozdarte między przeżeniem i strachem o jego życie a zrozumieniem, że tak po prostu powinien zrobić. A nerwy i stres zjadały je często, wiadomości z Donbasu codziennie przynosiły informacje o silnych ostrzałach, poległych, zniszczonych budynkach, wściekłych atakach Rosjan.

– Pewnego razu na dwa dni straciłam łączność z mężem – opowiada Irina. – Modliłam się, uspokajałam sama siebie, co chwilę zaglądałam w telefon. Gdy zadzwonił nieznany numer, zamarałam, nie chciałam odebrać w obawie, że... – kobiecie aż brakuje oddechu, by o tym opowiedzieć. Za drugim razem, gdy ten obcy numer zadzwonił, przemogła się i podniosła słuchawkę. – To ja, Wołodia. Rosjanie nam zakłócają zasięg, więc dzwonię z innego telefonu, wszystko u mnie w porządku – z Iriny uchodzi powietrze na samo wspomnienie tej ulgi, którą wówczas poczuła. Cała rodzina żyła w takim napięciu przez siedem tygodni, 49 dni.

CODZIENNOŚĆ

Po posiedzeniu rady gminy Wołodomyr rzuca się w wir spraw, od największych do najmniejszych. Potrzeba zaopieko-

wać się przesiedleńcami ze wschodu, zaplanować spotkanie z pracownikami administracji przedszkoli i szkół, wysłać człowieka po traktor, by skosił trawę na publicznych placach, sprawdzić, na ile starczy talonów na paliwo, bowiem na Ukrainie benzyna stała się towarem reglamentowanym. Przez dwa dni wójtowi zepsuły się dwa samochody, na szczęście od urzędu do domu ma piechotą pięć minut drogi. Gdy samorządowiec odwiedza wolontariuszy organizujących pomoc na front, rozmawia z innej pozycji niż tylko głowa wiejskiej wspólnoty – teraz jest świadkiem donbaskiego piekła i gdy mówi, że potrzebne są koszulki i spodnie, to brzmi to jak naprawdę głęboko przemyślane zamówienie. „On tam był, wie, co mówi” – wiedzą jego pracownicy, znajomi, wyborcy.

Wołodomyr organizuje w biurze spotkanie z polskim dziennikarzem. Co tam on będzie opowiadał o froncie, niech to zrobi obcokrajowiec, będzie bardziej obiektywny. Przy prowizorycznie przygotowanym poczęstunku pracownicy urzędu słuchają o bombardowaniach, oglądają nagrania z ostrzałów, słuchają o ukraińskich chłopcach rzucających się na ziemię wśród huków i wybuchów. Kobiety płaczą, opowiadają o swojej niemocy mimo tylu przemodlonych godzin. Przeklęta wojna, przeklęty okupant, biedna Ukraina.

WIECZORY

Gmina Przerośł z radością przyjmie ofertę współpracy z polską gminą o podobnej wielkości – 10 tys. mieszkańców. Samorządowcy mają tu doświadczenie w organizowaniu wydarzeń kulturalnych, historycznych, a teraz – unikatowe wysiłki w mobilizowaniu ludzi do niewiarygodnego poświęcenia na rzecz frontu.

Wójt chciał zbudować nową przychodnię, wyremontować drogi, obiecał wiele przedszkolom i szkołom. A teraz wszystko to szlag trafił, ludziom ledwo starcza na przeżycie i wszystkie siły są rzucone na wspieranie obrony kraju. Wołodomyrowi zostały aż 3,5 roku kadencji, a on już ma dość, od rana do późnej nocy odbiera telefony, spotyka się, jeździ po gminie, pełno go, jakby było trzech wójtów, nie jeden. Gospodarz za dnia niewiele opowiada o swojej misji wolontariusza ochotni-

czego szpitala w Donbasie. Jednak gdy zapada wieczór, odwiedzają go bliscy, pokój wypełnia się krwawymi opowieściami, zdjęciami pokiereszowanych rannych ściskającą za gardła. Moldawczuk opowiada o sporze z frontowym kierowcą: rannych wywozić jak najszybciej do szpitala czy jechać spokojniej, by nie rzucało nimi w karetce? Potrzebne izraelskie bandaże, one najlepiej zatrzymują krwawienie! Jakżeż szkoda Wiktora, serce mu nie wytrzymało, poczuł, że jest z nim gorzej, zjechał z frontu wcześniej, zmarł na zawał w Kijowie. Gospodarz dyskretnie pomija momenty, w których on sam leżał w okopie, słuchając świstów rosyjskich rakiet – po co martwić bliskich?

Wołodia ma dar opowiadania – przez lata był dziennikarzem w Kijowie i dopiero gdy żona zaszła w pierwszą ciążę, wrócił do wsi, w której czuła się bezpiecznie. Zbudował dom ich marzeń. – Mnie zawsze podobały się zamkowe wieże, a Wołodi rycerska tradycja. Przez 10 lat własnymi siłami zbudowaliśmy niewielki dom na podobieństwo zamku – opowiada Irina. Doczekali się trzech córek i wielu ciepłych rodzinnych wspomnień. Wojna rzuciła na wszystko cień, stała się historyczną próbą.

Rodzina i przyjaciele słuchają z podziwem o dzielności ich rodaków w piekielnych okopach. Każdą ranę Wołodia fotografował, by potem omawiać z innymi wolontariuszami, co można było zrobić lepiej – czasem bowiem uratowali życie, ale żołnierz pozostanie okaleczony, bez nogi lub ręki.

Wołodia idzie do ogródka przerzucić szaszłyki, noc tutaj taka bezpieczna, na niebie widać tylko gwiazdy, wśród których nie ukrywają się mordercze drony najeźdźcy. Wójt zapatruje się w żarzące się węgle, wokoło panuje absolutna cisza. My wiemy, gdzie jest myślami, w jego skupionym spojrzeniu widać już, co zamierza. Co się dzieje, Wołodomyrze Iwanowiczu?

– Muszę wrócić na Donbas – odpowiada wójt. – Tam jestem bardziej potrzebny – dopowiada.

No tak, najlepsi synowie narodu zawsze idą w bój jako pierwsi.

PS W sprawie współpracy z hromadą Przerośł można się skontaktować w dowolnym języku za pośrednictwem adresu e-mail: rada-pererisl@ukr.net.

Nie ulegajmy rosyjskiej propagandzie

Wbrew temu, co chce wielu sugerować, stanowisko węgierskiej większości parlamentarnej nie jest ani prorosyjskie, ani antyukraińskie, ani antyamerykańskie. A zwłaszcza antypolskie

Grzegorz Górny rozmawia z Zsoltem Némethem, jednym z założycieli Fideszu, obecnie przewodniczącym komisji spraw zagranicznych parlamentu węgierskiego

Niedawno zamieścił pan na portalu wPolityce.pl tekst „O Ukrainie i Polsce z węgierskiej perspektywy”. Był on opublikowany także w mediach węgierskich i ukraińskich. Jakie były motywy i cel napisania tego artykułu?

Zsolt Németh: Wydaje mi się, że nie powiedziałem niczego nowego. Nie można pozwolić, by szum, który panuje w mediach w związku z wojną na Ukrainie, zagłuszył wyważone i stonowane stanowisko węgierskiej większości parlamentarnej. Dlatego napisałem artykuł, o którym pan wspomniał. Zdecydowałem się na to, ponieważ natknąłem się w prasie węgierskiej na wysyp artykułów i analiz, które odzwierciedlały rosyjską propagandę na temat Polski i Ukrainy. Publicyści mają prawo pisać w taki sposób, niemniej jednak węgierscy wyborcy mają również prawo wiedzieć, że stanowisko wybranej przez nich większości parlamentarnej nie ma z takimi publicystycznymi wystąpieniami nic wspólnego. Wbrew temu, co chce wielu sugerować, stanowisko węgierskiej większości parlamentarnej nie

jest ani prorosyjskie, ani antyukraińskie, ani antyamerykańskie. A zwłaszcza antypolskie.

Jak więc mamy rozumieć to, co premier Viktor Orbán i minister spraw zagranicznych Péter Szijjártó wielokrotnie mówili o wojnie: „To nie jest nasza wojna”? Czy to nie znaczy, że Węgrzy nie mają nic wspólnego z tym, za co tysiące Ukraińców poświęcają swoje życie: z niepodległością Ukrainy?

Widzi pan, mylenie prywatnej opinii publicystów ze stanowiskiem rządu jest niezwykle szkodliwe, ponieważ prowadzi do takich błędnych wniosków. Właśnie o tym pisałem w swoim artykule. Przecież nie może nas nie dotyczyć sytuacja, w której kraj, zamieszany również przez Węgrów, będzie zmuszony walczyć z bronią w ręku o to, by nie powrócić do rosyjskiej strefy wpływów. Postawmy sprawę jasno: Węgrzy nie chcą żyć w strefie rosyjskich wpływów, nie chcą tego ani Węgrzy żyjący na Węgrzech, ani węgierska mniejszość na ukraińskim Zakarpaciu. Dlatego ta wojna toczy się także przeciwko nam, a żołnierze ukraińscy występują również w naszej obronie. Wojna rosyjsko-ukraińska nie jest naszą wojną w tym sensie, że Węgrzy nie chcą w niej występować jako strona walcząca. Ale Węgrzy, kierując się zarówno interesami ogólnoludzkimi, jak i węgierskimi, wspierają wysiłki UE, jak tylko mogą, by Rosja nie osiągnęła celów, dla których rozpoczęła tę wojnę.

Jednak Węgry przed wybuchem wojny wielokrotnie wypowiadały się przeciwko polityce ukraińskiej wobec mniejszości węgierskiej na Ukrainie.

Dobrze pan ujął całą sytuację – kluczowe jest tu sformułowanie „przed wybuchem wojny”. W dniu wybuchu wojny Viktor Orbán stwierdził, że teraz mamy do czynienia z okolicznościami, które niejako nakazują odłożyć na bok debaty na temat polityki związanej z mniejszościami narodowymi. Wszak mamy do czynienia z atakiem militarnym na Ukrainę. Jeśli chodzi o kwestie poprzedzające wojnę, mieliśmy konkretny powód, by poruszyć kwestię językową: otóż ustawa o używaniu języka z 2017 r. bardzo poważnie ograniczyła prawa mniejszości węgierskiej na Ukrainie. Niestety, również prezydentura Wołodymyra Zełenskiego nie przyniosła radykalnej zmiany w tej kwestii, choć wiązaliśmy z nią duże nadzieje. Ufajmy jednak, że po zakończeniu wojny rozpocznie się nowa era: Ukraina stanie przed poważną perspektywą wejścia do UE i będzie prowadzić konsekwentną politykę integracji europejskiej, w tym ochrony praw mniejszości. Żeby jednak tak się stało, należy najpierw przywrócić pełną suwerenność Ukrainie.

W ostatnich tygodniach negatywny wizerunek Węgier wynikał głównie z odrzucenia przez Budapeszt embarga na rosyjski gaz i ropę. Węgry są przedstawiane jako kraj samo-



lubny, który nie poświęca się dla dobra innych, a zatem nie pasuje do wspólnoty UE opartej na „wartościach europejskich”.

Nie istnieje coś takiego, jak osobny interes Węgier ani nie ma czegoś takiego, jak osobny interes europejski: nie leży w niczym interesie, by gospodarka węgierska – ani gospodarka jakiegokolwiek państwa członkowskiego – upadła. Kto skorzystałby na niestabilności w regionie środkowoeuropejskim? Na pewno nie Europa ani którekolwiek państwo świata zachod-

niego. Zachowanie stabilności i niezbędnego do jej zaistnienia rozwoju gospodarczego leży we wspólnym interesie wszystkich krajów Europy Środkowej. Dlatego w czasie wojny potrzebne są szczególnie spokój i opamiętanie. Emocjonalny rollercoaster, jeśli nawet jest w pełni zrozumiały, jest zdecydowanie złym doradcą. To samo mówię tym Polakom, którzy atakują Węgry, jeśli chodzi o kwestię Ukrainy, tak jakby znali sytuację i możliwości Węgier lepiej niż sami Węgrzy. Ale mówię to także tym Węgrom, którzy

czują się tym urażeni i mówią o Polsce niemalże w taki sposób, jakbyśmy nie byli przyjaciółmi, sojusznikami, ale wrogami. Wszystkimi tymi wyrazami emocji każdy najbardziej szkodzi własnym interesom narodowym. Jeśli zaś zachowamy spokój i racjonalność, mamy szansę wspólnie wygrać. Dotyczy to również kwestii energetycznych. Jestem przekonany, że patrząc spokojnie, zachowując chłodną głowę i rozwagę, znajdziemy wspólnie rozwiązania, które spełnią cele embarga i dadzą Węgrom gwarancję utrzymania stabilności.

Pański tekst doczekał się polemiki Marka Kuchcińskiego. Rozumując wiele przedstawionych przez pana racji, nie zgadza się on jednak z tym, że „Węgry (notabene podobnie jak Rumunia) zamknęły swoją przestrzeń dla tranzytu broni i amunicji dla krwawiącej w obronie nas wszystkich Ukrainy”. Skoro – jak sam pan pisał – Ukraina walczy także w obronie Węgier, to w interesie wszystkich Węgrów powinno być wspomaganie Ukrainy bronią tak, by tej wojny nie przegrała. Dlaczego Węgrzy nie decydują się na dozbrojenie swojego sojusznika, tak jak w 1920 r. dozbroili Polskę podczas wojny z bolszewikami? Przecież powinno leżeć to w ich interesie.

Skorzystam z okazji, by podziękować panu marszałkowi Kuchcińskiemu za reakcję na mój artykuł. Konstruktowna polemika nie tylko nie osłabia przyjaźni, lecz ją zdecydowanie umacnia. O artykule, na który pan marszałek odpowiedział, trzeba wiedzieć, że pierwotnie był pisany dla czasopisma „Országút”, ponieważ chciałem wyraźnie uświadomić czytelnikom węgierskim, że stanowisko naszej większości parlamentarnej jest stanowczo przeciwne zaczynającej się szerzyć w węgierskich mediach publicystyce antypolskiej i antyukraińskiej, która przypomina propagandę rosyjską.

Co się zaś tyczy transferu broni, to trzeba widzieć różnicę między 1920 a 2022 r. W 1920 r. przy ówczesnych uwarunkowaniach technologicznych istniała szansa, że w bitwie

warszawskiej węgierski transport broni może okazać się decydujący i całkiem prawdopodobne jest, iż rzeczywiście wiele zależało od dostarczenia na czas naszej broni. Teraz sytuacja jest inna: rządy socjalliberalne, bezkrytycznie wysługujące się obcym interesom, przed 2010 r. doprowadziły do całkowitej destrukcji węgierskiego przemysłu obronnego i wojska. Odbudowa już się rozpoczęła, ale do wyznaczonego celu wciąż nam daleko, toteż podjęliśmy ostatnio decyzję, że ten proces należy przyspieszyć. Tak więc Węgry nie mogłyby w istotnej mierze przyczynić się do militarnej obrony Ukrainy. Nie ma sensu, by tak ukierunkowanymi działaniami spowodować ostrzelanie przez Rosjan Zakarpacia, tego spokojnego regionu Ukrainy, przez który możemy dostarczać Ukrainie energię i pomoc humanitarną. Inną kwestią jest program pokojowy UE (EPF). Uczestnicząc w jego finansowaniu, my również w znacznej mierze przyczyniamy się do militarnej obrony Ukrainy. To nie jest gra, lecz wojna: wolno robić i mówić tylko to, co ma sens, bo jeśli popełniamy błędy, służy to przeciwnikowi.

Rząd w Budapeszcie nie chce nałożenia na Rosję embarga surowcowego, ponieważ – jak argumentuje – Węgry są w zbyt dużym stopniu uzależnione od rosyjskiej ropy i gazu. Sam pan jednak przyzna, że całkowita zależność w kluczowym sektorze energetycznym od jednego dostawcy (na dodatek agresywnego i wrogiego wobec świata Zachodu) jest zagrożeniem dla bezpieczeństwa narodowego. Czy Węgrzy są gotowi, by wyrwać się z tego stanu?

Położmy kres nieporozumieniom! Węgry nie są przeciwne embargu na energię, tylko takiej jego formie, która prowadzi do destrukcji gospodarki węgierskiej i przez to destabilizuje Węgry, co nie leży w naszym interesie na całym terytorium Europy Środkowej. Aczkolwiek rzeczywiście mamy wątpliwości, jeśli chodzi o to,

co można za pomocą embarga osiągnąć, to od początku dajemy jasno do zrozumienia, że w interesie jedności europejskiej przegłosujemy embargo, jeśli otrzymamy gwarancję takiego rozwiązania problemu, które nie przyniesie nam większych szkód niż przeciwnikowi. W tej sprawie toczą się obecnie pertraktacje z UE. Oczywiście, że naszym interesem jest niezależnienie się od Rosji, jednak nie za cenę upadku naszej gospodarki.

W genach społeczeństwa węgierskiego jest zapisane, że przed rosyjską agresją można się jedynie uchylić, ale wybronić się nie da rady

Jak to się stało, że mimo ponad 30 lat, które upłynęły od upadku komunizmu, Węgry nadal niemal całkowicie zależne są od dostaw surowców energetycznych z Rosji? Przez połowę tego czasu rządził przecież Fidesz. Dlaczego nie stworzono w tym czasie alternatywy dla rosyjskiego gazu i ropy?

Pańskie pytanie jest całkowicie nieprecyzyjne. Uczyniliśmy bardzo wiele na rzecz dywersyfikacji. W 2010 r. wśród pierwszych kroków rządu Fideszu znajdowało się odzyskanie od Rosji decydujących udziałów własnościowych w MOL oraz wybudowanie węgiersko-słowackiej infrastruktury przesyłu gazu. Zaszła przy tym przykra okoliczność – i muszę to panu powiedzieć, bo było to dla nas bardzo duże rozczarowanie – a mianowicie budowa interkonektora polsko-słowackiego opóźniła się przez długie, długie lata i nie otrzymaliśmy wsparcia w działaniach na rzecz dywersyfikacji także ze strony UE. Musieliśmy zatem zmienić swoją strategię. Nie wolno przy tym zapominać, że na przełomie pierwszej i drugiej dekady tego wieku

gospodarkę węgierską dotknął najgłębszy w jej historii kryzys, a stabilizacja społeczna została zrujnowana. Musieliśmy się z tego wydostać, co powiodło się na drodze uprzemysłowienia na nowo kraju. Tajemnicą tego sukcesu było – w bardzo znacznej części – tanie, pewne i ciągle zaopatrzenie w energię. Gdybyśmy ten filar zburzyli, runęłaby cała budowla. A zatem spokojnie: problemy trzeba rozwiązywać tak, by sam proces ich rozwiązywania nie stał się źródłem większych problemów.

W Europie pojawił się pomysł, by przyjąć embargo na dostawę surowców energetycznych z Rosji, ale zrobić na pewien czas wyjątek dla Czech, Słowacji i Węgier, dopóki nie zbudują one alternatywnych kanałów dostarczania gazu i ropy. Czy Budapeszt jest gotów zgodzić na takie rozwiązanie?

Rzeczywiście, w tej sprawie również toczą się negocjacje.

Szczegółowe dane pozostawie specjalistom. Na pozór wydaje się proste twierdzenie, że okres przejściowy to tyle, a tyle lat, w rzeczywistości jednak mówimy o bardzo skomplikowanych problemach technologicznych oraz ich niemniej skomplikowanych warunkowaniach finansowych. Chodzi w gruncie rzeczy o to, by wypracować rozwiązanie, które w obecnych warunkach wojennych nie niszczy, tylko – o ile to możliwe – wzmacnia bezpieczeństwo energetyczne kraju i całego naszego regionu.

W Polsce bardzo często spotykam się z pytaniami, czy Węgrzy tak szybko zapomnieli o swoich doświadczeniach z 1956 r. Obserwując węgierskie media, odnosi się wrażenie pewnego symetryzmu w sprawie wojny rosyjsko-ukraińskiej, tzn. jednakoowego traktowania obu walczących stron – Kijowa i Moskwy – przez bardzo dużą część węgierskiego społeczeństwa. To wielka różnica w porównaniu z polskimi mediami. Z czego ona wynika?

Widzi pan, właśnie dlatego napisałem ten artykuł, ponieważ uznałem

za bardzo niebezpieczne to, iż wiele osób utożsamia ze stanowiskiem władz politycznych poglądy, które pojawiają się – to prawda – w konserwatywnych mediach węgierskich, jednakże są sprzeczne ze stanowiskiem węgierskiego rządu. Zapewne nie jest przypadkiem, że pani prezydent Katalin Novák uznała za ważne podkreślić w swojej mowie inauguracyjnej, że stanowisko Węgier nie jest w żadnej mierze neutralne. Według mnie zrównywanie stanowiska większości rządowej ze stanowiskiem niektórych publicystów bierze się stąd, że wiele osób uległo dezinformacji, jakoby na Węgrzech nie było wolności mediów. W rzeczywistości jednak media są tutaj bardzo wolne; właśnie dlatego pojawiają się w nich rozmaite poglądy.

Oczywiście polskie media są również wolne, różnica wszelako polega na tym, że ci, którzy w Polsce i na Węgrzech próbują tworzyć zafalszowany obraz Ukrainy, działają w zupełnie odmiennej przestrzeni historycznej. Otóż społeczeństwo polskie od wieków styka się bezpośrednio z ukraińskimi ruchami narodowymi, z wszystkimi radościami i smutkami z owego kontaktu wynikającymi. Tymczasem dla Węgier Ukraina jest stosunkowo nowym sąsiadem. Gdyby Czechosłowacja w 1945 r. nie zaproponowała Stalinowi części terytorium przez nią wcześniej odłączonej od Węgier, to i dziś nie byłibyśmy sąsiadami. Z tych powodów wiedza społeczeństwa węgierskiego o Ukrainie, o narodzie ukraińskim, jest nieporównywalna z wiedzą Polaków. Tak więc u nas nieporównanie łatwiejsze zadanie mają ci, którzy szerzą fałszywe informacje na temat Ukrainy. Dlatego w swoim artykule zachęcałem czytelników węgierskich do tego, by obecność na Węgrzech kilkuset tysięcy ukraińskich uchodźców wykorzystali do gruntowniejszego poznania ich narodowych uczuć, kultury i światopoglądu. Naturalnie, warto też czerpać wiedzę ze związanych z Ukrainą historycznych doświadczeń Polaków.

A doświadczenia z 1956 r.?

Niestety, w 1956 r. my nie dostaliśmy broni tak jak Polacy od nas w 1920 r. albo Ukraińcy dzisiaj od Amerykanów i Polaków. Ból, żaloba i lzy... oto co zostało po interwencji sowieckiej. Także w 1849 r. rosyjskim orężem rozbito Węgry broniące się z powodzeniem (m.in. dzięki pomocy ze strony bohaterskich polskich legionistów) w starciu z ówczesnym mocarstwem austriackim. Dlatego w genach społeczeństwa węgierskiego jest zapisane, że przed rosyjską agresją można się jedynie uchylić, ale wybronić się nie da rady. To gorzkie wspólnotowe doświadczenie nie zmienia jednak faktu, że wiele osób na Węgrzech w bohaterskim oporze Ukraińców zdaje się widzieć heroizm węgierskiego Października '56. Ufam, że ich walka okaże się nie tylko bohaterska, lecz także skuteczna.

Wojna rosyjsko-ukraińska nie jest naszą wojną w tym sensie, że Węgry nie chcą w niej występować jako strona walcząca. Ale Węgry wspierają wysiłki UE, jak tylko mogą, by Rosja nie osiągnęła celów, dla których rozpoczęła tę wojnę

Prawdziwa przyjaźń sprawdza się w momentach rzeczywistej próby. Dla Polaków z chwilą wybuchu pełnoskalowej wojny na Ukrainie taka chwila właśnie nadeszła, ponieważ czujemy bezpośrednie, egzystencjalne wręcz zagrożenie dla naszego państwa i narodu. I w takim momencie wielu Polaków ma poczucie, że w chwili prawdziwej próby nie mogą liczyć na Węgrów. Stąd

tak emocjonalna reakcja w Polsce. Wynika ona z zawodu postawą Węgrów. Czy nie obawia się pan, że już po zakończeniu wojny na Ukrainie (nawet jeśli zakończy się ona zwycięstwem Kijowa) stosunki między naszymi narodami nie wrócą już do poprzedniego stanu?

Nie miejmy złudzeń: nigdy przyjaźń polsko-węgierska nie miała wyłączne zwolenników, zawsze trafiali się również – po obu stronach – jej przeciwnicy. Jak to ujął również pan marszałek Kuchciński, przyjaźń polsko-węgierska stanowi konstytutywny składnik nie tylko węgierskiej, lecz także polskiej świadomości narodowej. Ponieważ jednak jesteśmy społeczeństwami pluralistycznymi, w obu narodach znajdują się ludzie, którzy sytuują się w opozycji do takiej czy innej wartości współtworzącej świadomość narodową. Ci ludzie zawsze

też dostawali, dostają i będą dostawać zachętę od czynników zewnętrznych, ponieważ silna polska i silna węgierska świadomość narodowa – a tym samym również węgiersko-polska przyjaźń – nieuchronnie stają na drodze dążeń krytycznych bądź zaborczych wobec Europy Środkowej.

Jeśli zrealizuje się scenariusz nakreślony przez pana, to można będzie powiedzieć, że Polacy niezależnie od swoich intencji zapewnią Putinowi nagrodę pocieszenia za ostateczną utratę Ukrainy. Zwracanie narodów europejskich przeciwko sobie prowadzi bowiem do tego w sposób nieuchronny. Według mnie nie warto dawać Rosjanom takiej rekompensaty, o ile w ogóle jakąkolwiek. Najlepiej, by tego nie osiągnęli w efekcie wojny. Z dialogu, który mam zaszczyt prowadzić z panem marszałkiem Kuchcińskim, wnioskuję, że w tej kwestii jesteśmy całkowicie zgodni. Dlatego też w swoim artykule podkreśliłem, że niezależnie od tego, czy trafiają się wśród Polaków osoby, które poddając się emocjom, demonstracyjnie się od nas odwracają, my – węgierska większość parlamentarna – nie pozwolimy się nastrajać przeciwko Polakom.

Dawid przeciw Goliatowi

Proces, który Johnny Depp wytoczył Amber Heard o zniesławienie, stanowił nie tylko smutną kronikę rozpadu małżeństwa celebrytów, lecz także kolejną odsłonę wojny kulturowej z ruchem #MeToo



Triumfujący Johnny Depp z prawniczką Camille Vasquez reprezentującą interesy aktora w procesie przeciw Amber Heard

Trwający sześć tygodni, transmitowany na żywo proces Johnny'ego Deppa i Amber Heard przed sądem w hrabstwie Fairfax w Wirginii, przypominał lawinę błotną zsuwającą się po zboczu góry. Była para hollywoodzkich aktorów, uwielbianych przez rzesze fanów, dokonała wiwisekcji swojego toksycznego związku. Oszłomieni widzowie dowiedzieli się o odchodach w małżeńskim łóżku, narkotykowych i alkoholowych ekscesach,



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

zdradach oraz pasji, która połączyła ich na planie filmu „Dziennik zakrapiany rumem” (The Rum Diaries) w 2011 r., a następnie zamieniła się w nienawiść.

Epicka, telewizyjna opera mydlana, pełna melodramatycznych scen, modnych fryzur i stylizacji. Depp i Heard odegrali role życia – były łzy, oburzenie, gorzki śmiech. Angielski pisarz epoki wiktoriańskiej Samuel Butler pytany, czyją stronę trzyma w burzliwym i równie

wówczas głośnym sporze małżeńskim swoich przyjaciół – Jane i Thomasa Carlyle’ów, odparł: „To dobrze, że Bóg pozwolił im się poślubić nawzajem i w ten sposób unieszczęśliwić tylko dwoje ludzi zamiast czterech”. Ten cytat pasuje jak ulał do „procesu dekady” w Fairfax. Tyle że chodziło w nim o coś więcej niż tylko publiczne pranie brudów dwóch narcystycznych gwiazd kina.

WZAJEMNE OSKARŻENIA

W 2018 r. Amber Heard napisała tekst dla „The Washington Post” i opisała w nim siebie jako „osobę, wobec której stosowano przemoc domową”. W tekście nie padło nazwisko Deppa, ale nietrudno było się domyśleć, o kogo chodzi. Para rozstała się dwa lata wcześniej (ich małżeństwo trwało zaledwie 15 miesięcy) i już wtedy Heard utrzymywała, że aktor znęcał się nad nią fizycznie. Jej zdjęcie z podbitym okiem ukazało się na okładce magazynu „People”. Depp otrzymał sądowy zakaz zbliżania się do żony. Rok później Heard uzyskała 7 mln dol. w ramach rozvodu, które miała przekazać na cele charytatywne. Nie zrobiła tego do dziś, bo Depp ją pozwał. Aktor twierdzi, że Heard zmyśliła zarzuty, by wycisnąć z niego więcej pieniędzy i przyspieszyć swoją karierę. Że to ona się nad nim znęcała, a od tego czasu „stylizuje się na ofiarę”.

Depp domagał się od eksmałżonki 50 mln dol. odszkodowania za zniesławienie go – co stanowi oszacowaną wartość utraconych dochodów z serii „Piraci z Karaibów”, w której grał kapitana Jacka Sparrowa i z której – jak twierdzi – Disney go usunął wskutek zarzutów byłej żony. Ona odpowiedziała mu własnym pozwem o zniesławienie, żądając 100 mln dol. odszkodowania. Według niej prawnik Deppa Adam Waldman zniesławił ją w rozmowie z brytyjskim brukowcem „Daily Mail”, mówiąc, że Heard jest „oszustką”, a rzekoma przemoc została zmyślona. Ponadto były mąż miał „zorganizować kampanię nienawiści przeciwko niej w mediach społecznościowych”, co o mało nie kosztowało jej utraty roli w kolejnej odsłonie popularnej serii Marvela „Aquaman” oraz kontraktu z gigantem kosmetycznym L’Oréal.

W skrócie: on utrzymywał, że Heard poślubiła go dla pieniędzy i kariery, a gdy chciał się z nią rozstać, oskarżyła go o przemoc. Ona zaś twierdziła, że Depp to pijak i narkoman, który nad sobą nie panuje, a jej chodzi o prawa kobiet, walkę z szowinizmem i bezkarnością wpływowych mężczyzn w Hollywood.

Wszystko początkowo wskazywało na sądową porażkę Deppa. Ruch #MeToo zapoczątkowany w 2017 r. doprowadził do upadku takich hollywoodzkich gigantów, jak Harvey Weinstein czy Kevin Spacey. Dlaczego w przypadku upadającego gwiazdora, walczącego całe życie z uzależnieniem, miało być inaczej? Ponadto kilka lat wcześniej Depp przegrał proces z Heard. Aktor pozwał brytyjską gazetę „The Sun”, która nazwała go „żonobijcą”. Z kolei Heard apelowała do J. K. Rowling, by jeszcze raz przemyślała zatrudnienie go w filmie „Fantastyczne zwierzęta: Zbrodnie Grindelwalda”, do którego napisała scenariusz. Wtedy sędzia orzekł, że

informacje zawarte w gazecie o maltretowaniu byłej żony przez Deppa były „zasadniczo prawdziwe”. Aktor chciał złożyć apelację, ale sędzia odmówił.

KŁAMSTWA I KŁAMSTEWKA

W Wirginii nie orzekł jednak sędzia, tylko ława przysięgłych. Tych pięciu mężczyzn i dwie kobiety Heard musiała przekonać do swoich racji, a to okazało się trudne. Depp miał w przeszłości wiele partnerek, ale wobec żadnej z nich nie stosował przemocy. I tak było podczas 30 lat kariery w Hollywood. W trakcie przesłuchania w sądzie przyznał się do uzależnień i chorobliwej zazdrości. Ale dodał też: „Nigdy nie uderzyłem kobiety”. Mówił o trudnym dzieciństwie w Kansas, wskazywał na przemoc ze strony matki Betty Sue i starszej siostry. SMS-y wysyłane do znajomych w Hollywood, w których wyzywał żonę od najgorszych i życzył jej śmierci (do aktora Paula Bettany’ego wysłał sugestię „utopienia”, a następnie „spalenia” ciała Heard) tłumaczył „specyficznym” poczuciem humoru. Związek był toksyczny – przyznał – ale to Heard inicjowała fizyczne starcia. W 2015 r. miała rzucić w niego butelką wódki – przez kawałek szkła aktor stracił koniuszek palca. Użył go następnie, by malować krwią po ścianach i lustrach. Pracownicy Deppa wspominali ślady na jego twarzy – jak twierdzili – tam gdzie Heard miała go uderzyć.

REKLAMA



"Słowem dotykam świata"
ks. Marek Chrzanowski
i Weronika Ostrowska,
sobota, godz. 18.30

"Radość miłości"
Paweł Zuchniewicz
piątek, godz. 22.00

Radio Warszawa 106,2 FM i www.radiowarszawa.com.pl



84/0522/F

Oboje nagrywali swoje sprzeczki, fotografowali się nawzajem w najbardziej kompromitujących sytuacjach. Z nagrań wyłonił się obraz Heard nie jako ofiary, ale sprawcy. Na jednym z nich tłumaczyła mężowi, że jego czas w Hollywood minął, że jest nic nie wart. „Bądź mężczyzną, do cholery!” – krzyczała. Na innym przyznała, że go uderzyła, a na kolejnym, tym, które najbardziej zszokowało słuchaczy, otwarcie z niego kpila: „Powiedz im, Johnny. Powiedz światu: »Ja, Johnny Depp, mężczyzna, również jestem ofiarą przemocy domowej«. Zobaczymy, ile ludzi ci uwierzy i będzie po twojej stronie”.

Ale Heard pograżyły także jej własne, mniejsze lub większe kłamstwa. Paleta do makijażu, którym rzekomo zakrywała siniaki na twarzy, nie była wtedy dostępna na rynku. Policjanci wzywani do domowych awantur nie widzieli na jej twarzy i ciele śladów przemocy. Występ Heard przed sądem był przesadnie teatralny – szlochala, że Depp chciał ją zabić, że bała się o życie, a sama podarowała mu ogromny nóż na urodziny. Adwokat Deppa nie omieszczała także przypomnieć przysięgłym, że to Heard, która jest biseksualna, stosowała przemoc wobec byłej partnerki – w 2009 r. aktorka i malarzka Tasya van Ree posprzeczwały się na lotnisku w Seattle. Nietrzeźwa Heard miała zerwać łańcuszek z szyi kobiety.

Zlecone przez obie ekipy prawnicze ekspertyzy psychologiczne nie wzniosły do sprawy niczego nowego, potwierdziły tylko to, co wszyscy podejrzewali: Depp i Heard to dwoje labilnych emocjonalnie, skupionych na sobie ludzi.

BEZ DOWODÓW

Im dłużej trwał proces, tym bardziej publiczność śledząca go z zapartym tchem odwracała się od Heard. W mediach społecznościowych toczyła się bezlitosna kampania przeciwko aktorce. Określano ją na Twitterze i Facebooku jako pijacką i kłamczuchę. Petycja o odebranie jej roli w najnowszym filmie z serii „Aquaman” zebrala setki tysięcy podpisów. Powstały hashtagi #MePoo i #AmberTurd, a nagranie Heard płaczącej w sądzie stało się wiralem na TikToku.

Ostatecznie ława przysięgłych uznała, że po obu stronach doszło do zniesławienia. Johnny Depp ma otrzymać 10,35 mln dol. od byłej żony, ona zaś od niego 2 mln. Można by to uznać za salomonowy wyrok, ale w rzeczywistości wygranym jest Depp, a przegrany Heard, a przede wszystkim ruch #MeToo. Harvey Weinstein słusznie został wtrącony do więzienia za swoje przewinienia, a kariera Kevina Spaceya równie słusznie legła w gruzach. Ale ilu innych zostało oskarżonych niesłusznie?

Bill Murray zмага się obecnie z zarzutami o „niewłaściwe zachowanie” wobec kobiety na planie filmu „Being Mortal”. O co dokładnie chodzi – nie wiadomo, ale z przecieków wynika, że próbował flirtować z aktorką. To wystarczy, by wysadzić jego karierę w powietrze. Al Franken, senator demokratów z Minnesoty, został zmuszony do rezygnacji z urzędu w 2018 r. po tym, jak wiele kobiet oskarżyło go o molestowanie seksualne. Większości tych oskarżeń nie udało się udowodnić, ale lider Partii Demokratycznej w Senacie Chuck Schumer nie pozwolił mu na obronę. Australijski aktor John Jarrat wygrał w 2019 r. proces z kobietą, która twierdziła, że zgwałcił ją w 1976 r.

Mimo tego brytyjski dziennik „The Daily Telegraph” dalej określał go w swoich artykułach jako „gwałciciela”.

Ruch #MeToo ukuł hasło #BelieveAllWomen (wierzcie wszystkim kobietom). Wystarczy oskarżenie, by wydać wyrok. Bez sądu. Bez prawa do obrony. Proces Depp vs. Heard tymczasem pokazał, że kobietom nie zawsze można wierzyć, że niektóre kłamią, mają ukryty plan. Stanowi on korektę dominującej narracji, że wszyscy mężczyźni są źli, skłonni do przemocy. Mało tego – pokazał, że ofiarami przemocy mogą być właśnie oni.

Jak bardzo ruch #MeToo przerażał i dalej przeraża opinię publiczną za oceanem, widać po wsparciu, które otrzymał Depp. Fani aktora zbudowali piracki statek z desek, którym codziennie przejeżdżali przed budynkiem sądu. Uwadze przysięgłych nie umknął zresztą fakt, że w napisaniu tekstu w „The Washington Post”, który stał u podstaw procesu, Heard pomogła organizacja American Civil Liberties Union (ACLU). To jej aktorka miała przekazać połowę z tych 7 mln dol., które dostała od byłego męża podczas rozwodu. Upadek lubianego aktora jako złoty interes dla organizacji pozarządowych.

Feministki zresztą już lamentują, że wyrok cofnął prawa kobiet o kilka dekad wstecz. Jak napisano na portalu Vox: może i Depp był ofiarą przemocy ze strony Heard, ale to i tak on jest sprawcą, bo „był bardziej znany niż ona, silniejszy fizycznie, a jej kariera od niego zależała”. Czyli mężczyzna zawsze jest sprawcą, nawet gdy jest ofiarą.

Fani Deppa tymczasem znaleźli kolejnego celebrytę, którego mogą wspierać: wokalistę Marilyna Mansona, którego byłe partnerki oskarżyły o gwałt i tortury. Prokuratura na razie nie znalazła wystarczających dowodów, by postawić mu zarzuty. Ale sprawa jest świeża, a założycielka ruchu #MeToo Tarana Burke zapowiedziała, że głosu „maltretowanych przez wieki kobiet nie da się uciszyć”.

Proces Depp vs. Heard pokazał, że kobietom nie zawsze można wierzyć, że niektóre kłamią, mają ukryty plan. Stanowi on korektę dominującej narracji, że wszyscy mężczyźni są źli, skłonni do przemocy. Mało tego, pokazał, że ofiarami przemocy mogą być właśnie oni



POLSKIE KOLEJE PAŃSTWOWE
Spółka Akcyjna



NIERUCHOMOŚCI
na wynajem i na sprzedaż



www.pkp.pl

Narodowa patriotka czy też wieszczka poganizmu

Teofil Lenartowicz nazywał ją „czarodziejką osobliwą”, a pozytywista Aleksander Świętochowski przyznawał jej rangę „najznakomitszej poetki polskiej”. Nazywano ją także „Mickiewiczem w spódnicy”, „pieśniarką ludu”, „bojowniczką jutra narodu” oraz „wieszczką poganizmu”.

Obecnie dla wielu jest ikoną LGBT+.

Na cmentarz Łyczakowski we Lwowie, gdzie do dziś spoczywa, odprowadzało ją 50 tys. Polaków. Kim była naprawdę?



Maria Stanisława Wasiłowska, po mężu Konopnicka (1842–1910), „pierwszą życia ośnowę” czerpała nad Czarną Hańczą. Przyszła poetka urodziła się 23 maja 1842 r. w Suwałkach. Jej rodzice wywodzili się z ziemian: ojciec Józef Wasiłowski znan z Buga na Podlasiu, matka Scholastyka z Turskich – z Sierpeckiego na Mazowszu.

Dzieciństwo Mania, jak ją nazywano, miała szczęśliwe. Ojciec – adiunkt praw – był obrońcą prokuratury w guberni suwalskiej. Pięcioro swoich dzieci wychowywał z żoną w dostatnim, dużym domu z ogrodem i „w sferze nic wspólnego z wiejską nie mającej chatą”. Kilkuletnia Mania już w Suwałkach układała wierszyki i piosenki. W 1849 r. Wasiłowscy wyjechali z Suwałk na drugi kraniec Królestwa Polskiego – do Kalisza.

Młodość w Kaliszu była dla Mani mniej szczęśliwa. Jako dziewczynka przeżyła nad Prosną grozę epidemii cholery, wielkiego pożaru miasta (1858), a 31 marca 1854 r. zmarła jej matka. Żaloba zaciążyła

nad jej dzieciństwem. Ojciec wdowiec oddał się całkowicie pracy zawodowej – jako obrońca prokuratury w trybunale kaliskim – i poświęcał niewiele czasu wychowaniu sześciorga dzieci. Bardzo religijny, wręcz mistyk, żył jak samotnik. Maria zachowała jednak o ojcu „najwyższe, pełne czci i miłości wspomnienie”, jako o człowieku skromnym, wykształconym, kochającym literaturę, prawym, niezłomnych zasad i głębokiej wiary. Nauczał dzieci głównie sam, czytał im dzieła pisarzy narodowych, zaszczepiał patriotyzm, miłość do wiedzy i prawdy. Jedynie przez jeden rok – w latach 1855–1856 – Mania uczyła się na pensji u sióstr sakramentek w Warszawie. Poznała tam Elizę Pawłowską (późniejszą powieściopisarkę Orzeszkową), z którą połączyła ją dożgonna przyjaźń. Układały w szkole razem liryczne wierszyki.

W Kaliszu 10 września 1862 r. 20-letnia Mania Wasiłowska wyszła za mąż za starszego o 12 lat ziemianina Jana Jarosława z Kroczoza Konopnickiego herbu

Jastrzębiec. Prowadził on rodzinny majątek w Bronowie, gdzie młodzi zamieszkali zaraz po ślubie.

OŚMIORO DZIECI W BRONOWIE (1862–1872)

Na początku małżeństwo Marii z „aniołem wąsatym”, jak nazywała męża, układało się pomyślnie. Ale Jan Konopnicki wspierał okolicznych powstańców styczniowych i na przełomie lat 1864–1865 musiał uciekać – z żoną i synkiem Tadeuszem – do Wiednia i Drezna. Po powrocie zastali swoje gospodarstwo zdewastowane. W Bronowie narodziło się jednak ośmioro ich dzieci: pięciu synów i trzy córki (dwóch synów zmarło w niemowlęctwie). Ich wychowywanie były z pewnością dla Marii inspiracją do pisania dla najmłodszych. Jej twórczość dla dzieci – zupełnie nowa liryka i upoetyzowana baśń dziecięca, podniesiona do



Dworek Marii Konopnickiej w Żarnowcu od strony południowej

wyżyn sztuki, poetycka i magiczna, bez moralów i pouczeń – stała się jednym z najbardziej rozwiniętych skrzydeł talentu Konopnickiej. „O krasnoludkach i o sierotce Marysi”, liczne piosenki, liryki, opowieści poetyckie, jak „Na jagody”, „Nasza szkapa” czy „W piwnicznej izbie” były wydawane w dziesiątkach nakładów, przedrukowywane i tłumaczone od Chin i Japonii po Amerykę.

W wolnych od zajęć domowo-wychowawczych chwilach żona pana z dworu w Bronowie oddawała się lekturze dzieł z rodzinnej biblioteki męża, zachłannie uzupełniając wykształcenie. Dzięki poczciwemu Jarosławowi, zwolennikowi poprawy losu chłopów, zbliżyła się do ludu wiejskiego. Współczuła jego nędznej doli, będąc mu „lekarką i matką”. Poznała także rozkosz obcowania z naturą i... zadebiutowała jako poetka – jej wiersz „W zimowy poranek” został opublikowany w piśmie „Kaliszanin” (nr 37/1870).

Kolejne pięć lat (1872–1877), w nieodległym od Bronowa mniejszym majątku Gusin, gdzie po sprzedaniu Bronowa przez jej teścia Wawrzyńca przenieśli się Konopniccy, stały się trudniejsze. Ale zaowocowały jej właściwym debiutem – cyklem wierszy „W górach” (opublikował je 22 lipca 1876 r. „Tygodnik Ilustrowany”), którymi zachwycił się Henryk Sienkiewicz.

TWÓRCZE LATA W WARSZAWIE (1877–1890)

Początkująca, ale ośmielona do pisania poetka postanowiła w 1877 r. opuścić męża i zamieszkać z sześciorgiem dzieci w Warszawie, gdzie w 1866 r. przeniósł się jej ojciec Józef Wasiłowski. Ożenił się on po raz drugi (z panną Turczyńską), został



Gabinet poetki w dworku w Żarnowcu

radcą prokuratury i zaproponował mężowi Marii, że pomoże wnukom, „którym już było potrzeba nauki”. Niestety, zmarł nagle, 26 marca 1878 r., na atak serca. Maria musiała więc swoją szóstkę, w wieku od 6 do 16 lat, wychowywać i utrzymywać sama. I, o dziwo, zaczęła z powodzeniem łączyć obowiązki matki nie tylko z pracą zarobkową – guwernantki, dziennikarki, tłumaczki – ale także z pracą literacką. Pisała poezję, nowele, uprawiała krytykę literacką.

A nie było jej jako „prowincjuszcze” łatwo w stolicy Kraju Prziwislanskiego! Porównana jednak przez Sienkiewicza do „górskiego słowika” mogła liczyć na współpracę z redakcjami czasopism warszawskich. W czerwcu 1877 r. „Tygodnik Ilustrowany” wydrukował jej pierwszy poemat „Romans wiosenny”. Wkrótce jej wiersze zaczęły pojawiać się w wielu innych pismach. Wśród nielicznych przyjaciół (poza Adamem Pługiem, Stanisławem Krzemińskim) miała Konopnicka swoją „miarę szczęścia”. Była to Eliza Orzeszkowa, która pisała z Grodna do Teodora T. Jeża, 22 września 1879 r.:

„Czy zauważył Pan w pismach drobne utwory Marii Konopnickiej? Zdaniem moim to wielki poetyczny talent, wsparty bardzo pięknym i pięknie wykształco-

nym umysłem. Indywidualność to niepospolita: rozumna, dzielna, a dziwnie natchniona”.

Poezja, którą Konopnicka porównywała do miłości, w jej przypadku zwyciężyła i pomogła pokonać liczne trudności. Poetka znalazła w niej posłannictwo, miłość, siłę do przetrwania. Wyznała to, pisząc do Ludwiki Życkiej, 18 października 1888 r.: „Kto kocha człowieka – ułomność

kocha. Niechże nie narzeka, kiedy mu się ta cała miłość w sercu pokruszy. Ale kto umiłował ideę – ten dobry dział obrał dla serca swojego”.

Ideą Konopnickiej było umiłowanie narodu i ziemi ojczystej. Niektórzy podają, że była kochliwa, koczująca w tym okresie z publicystą Janem Gądomskim, ale zdaniem jej kolegi po piórze Wik-

tora Gomulickiego Konopnicka nie stałaby się wielką poetką, gdyby jej serca nie wypełniała całkowicie i wyłącznie troska o szczęście rodaków. To z jej wielkiej wrażliwości na krzywdę poniewieranego w niewoli narodu zrodziły się w Warszawie krzyczące bólem wiersze z cyklu „Obrazki”: „Wolny najmita”, „Przed sądem”, „Bez dachu”, „Jaś nie doczekał”, „Na fujarcie”, „Z łąk i pól”. Ukazywały one tragizm życia klas niskich, bezdomność, nędzę, krzywdę. Wyróżniały się realizmem i wstrząsającą siłą poetyckiego przekazu. Trzymającą się z dala od „elity społecznej” w Warszawie, stroniącą od towarzysko-literackich koterii i „stronictw” Konopnicka manifestowała z pasją solidarność z najbiedniejszymi warstwami ludu.

Była przerażona i wytrącona z równowagi widokiem warszawskiej biedy, a także biernością, z jaką społeczeństwo ją toleruje. Wroga wszelkim próbom politycznego zbliżenia z zaborcą poszła zdecydowanie pod prąd ówczesnej oportunistycznej fali. Nazwała karierowiczów „tańczącymi niewolnikami” i „ugodową hołotą”. Oskarżyła „zwierzchnią pleśń warszawską” o zdradę interesów narodowych. Powstały wtedy „Sclavus saltans”, „Contra spem spero”, „Zapustnej

Muzeum Marii Konopnickiej
w Suwałkach

Warszawie”, „Niech żyje wino!”. Ironizowała w nich z goryczą: „To scalvus saltans, Słowianin wpółdziki; / Wszędzie mu dobrze – i wszędzie mu chata, / Byle miał płasy i trochę muzyki!”. I pytała: „O bracia! Czy w nas wcale nie ma winy, / Że słonka Jaś nie doczekał?”.

Przemówienie głosem buntu przeciw nędzy, niesprawiedliwości i ujarzmionej wolności narodowej zadecydowało o niezwyklej popularności „poetki proletariatu”. Znamienna jest wypowiedź Żeromskiego, który napisał w „Dziennikach”: „Nasze pokolenie ma swego wieszca w osobie Konopnickiej”.

Eliza Orzeszkowa ze swojej samotni w Grodnie uważnie śledziła pierwsze kroki Konopnickiej i jej zawrotną karierę na warszawskim rynku literackim. I to „niemeńska gwiazda” przyczyniła się do pierwszej klęski koleżanki... W 1880 r. nakładem jej wileńskiego wydawnictwa ukazała się pierwsza publikacja książki Konopnickiej „Z przeszłości. Fragmenty dramatyczne”. Maria, wistocie silnie religijna, skrytykowała w niej materializm Kościoła i chrześcijańskie dogmaty. „Warszawski Olimp” oskarżył ją wówczas o herezję, bezbożność, wolność myślenia, a nawet o zdradę kraju. Skutki gromów kościelnych i miażdżącej krytyki konserwatystów okazały się brzemienne. „Orełdowniczkę postępu” dotknął ostracyzm środowiska, nazwano ją „wieszczką poganizmu”. Ale mimo że krytyka bolała poetkę, trwała w buncie: „Jeżeli cel twój szlachetnie wytknięty, / Idź,



Grób we Lwowie

choć współcześni obrzucać cię błotem: / Wieki zeń przyszele wykują diamenty!” – manifestowała w „Myślach”. W tej atmosferze zaczęły ukazywać się nakładem Gebethnera i Wolffa jej trzy tomy: „Poezye” (1881), „Poezye. Serya druga” (1883), „Poezye. Serya trzecia” (1887).

Na kolejny atak środowisk konserwatywnych Konopnicka naraziła się, przyjmując propozycję wydawcy Lewentala prowadzenia tygodnika dla kobiet „Świt”. Pragnęła w nim zainteresować kobiety pracą, oświatą, nauką, włączeniem ich do życia społecznego i zawodowego. Jednak śmiało stawianie problemów emancypacji kobiet naraziło ją na zarzuty ich deprawacji, a tym samym na straty finansowe

wydawcy. „Świt” istniał tylko trzy lata (1884–1887), Konopnicka „usunęła się” rok wcześniej.

Nadal jednak ukazywała piórem dramat polskiej egzystencji zagrożonej przez zaborców. Swoim patriotycznym protestem przeciwko „dżumie” rozkładu społecznego i hańbie niewoli nawiązywała do tradycji romantyków, m.in. w utworach o Mickiewiczu, „Z teki Grottgiera”, „Opowieści Sawy”, „W buncie ducha”, „Za kratą”. W tym czasie zadebiutowała też jako nowelistka – w latach 1888–1904 ukazało się kilka zbiorów jej nowel: „Cztery nowele”, „Moi znajomi”, „Na drodze”, „Nowele”, „Ludzie i rzeczy. Szkice i obrazki”, „Na normandzkim brzegu”. Niektórzy krytycy uznają je za najwyższe osiągnięcie artystyczne Konopnickiej. Spokrewnione z poetyckimi „Obrazkami” są dowodem wielostronnej wiedzy o człowieku i życiu. Konopnicka parała się również przekładami. Była w gronie tłumaczy „Prawdy” Świętochowskiego, przekładała poezję Heinego, Vrchlickiego, ideowo jej bliskiej Ady Negri.

Najtrudniejsze lata poetka przetrwała z sześciorgiem dzieci w pierwszym wynajętym „niedrogim trzypokojowym mieszkaniu” przy ul. Piekarskiej. Potem wiele razy zmieniała adresy na Piękną, Hożą, Chmielną, Smolną, Wiejską. Ocaliła jednak swoje potomstwo przed nędzą, zdołała przygotować je do życia, choć dzieci wcześniej musiały pracować. Dwie córki – Zofię i Helenę – wykształciła na nauczycielki. Trzecia córka – Laura, po mężu Pytliska, została znaną aktorką. Trzech synów – Tadeusza, Stanisława i Jana – zachęciła do zajęć praktycznych: do leśnictwa, rybołówstwa, młynarstwa. Poetka pomagała im do końca życia – w zdobywaniu wiedzy, ratowała synów przed długą służbą w rosyjskiej armii, zabiegała dla nich o posady, wykorzystując swoje rozległe kontakty. Jej najmłodszy syn – „najzaczepniejszy Jan” – dzięki protekcji matki u księcia Michała Piotra Radziwiłła związał się w latach 1892–1903 z jego majątkiem, prowadząc młyn w Kapitulce nad Bzurą, Nieborowie, Arkadii. W 1903 r. przeniósł się do Ciechanowa, gdzie prowadził młyn Krasińskich, co też było wynikiem znajomości poetki, tym razem z hr. Adamem Krasińskim. W 1905 r. Jan nabył podciechanowski majątek Przedwojewo też przy pomocy

matki. U Jana dożywał mąż poetki Jarosław Jan Konopnicki, z którym pozostała do końca w separacji. Zmarł w Ciechanowie 11 czerwca 1905 r., mając 75 lat. Maria była na jego pogrzebie.

OSTATNIE 20 LAT W ROZJAZDACH (1890–1910)

Konopnicka wyjechała na tułaczkę na początku 1890 r., już w aureoli sławy. Było to spowodowane głośnymi wybrykami jej córki Heleny (kleptomanki), poszukiwaniem przez poetkę spokoju do pracy, rosnącą cenzurą carską. Opuszczała stolicę z ciężkim sercem, bo gorąco ją pokochała i często do niej wracała.

Najczęściej podróżowała ze swoją przyjaciółką, „Pietrką z powycieranymi łokciami”, malarką i działaczką społeczno-polityczną, młodszą od niej o 19 lat Marią Dulębianką. Przebywały w różnych miejscach – w Austrii, Niemczech, Szwajcarii, krajach bałkańskich, we Włoszech, Francji.

Dziś wielu uważa je za parę, ale brak na to dowodów. Sympiały osobno, w rodzinie poetki uchodziły za przyjaciółki, nie partnerki. Na pewno Dulębianka pomagała Marii w trudach podróży, która jednak... nigdzie nie mogła zagrzać miejsca. „Nigdzie nie jest dobrze. Trudno jest mi znaleźć miejsce, o którym mówi Słowacki »na smutek łaskawsze«” – pisała.

Konopnicka nigdy z krajem nie zerwała kontaktów – rodzinnych, zawodowych ani społecznych. Z odłamy śledziła życie literackie i wydarzenia na ziemiach polskich, publikowała w polskiej prasie, wydawała książki. Cenzura nie szczędziła interwencji, ale i tak udawało się jej mylić czujność urzędników trzech zaborców. Niezależnie, w której stronie Europy przebywała – protestowała piórem przeciw uciskowi zniewolonego narodu, przemycając na różnorodne łamy swoje patriotyczne utwory pod różnymi kryptonimami.

Twórczość Konopnickiej była fenomenem popularności. Polacy kochali ją i czytali, a w 1902 r. uczcili 25-lecie pracy literackiej poetki w sposób niespotykany. Naród zebrał pieniądze na wydanie zbiorowe jej dzieł oraz na zakup posiadłości w Żarnowcu. Zorganizowano też „pieś-

niarce ludu polskiego” podniosłe uroczystości narodowe w Galicji: w Krakowie i we Lwowie, bo w niewoli pruskiej i rosyjskiej zostały zakazane.

Otrzymanie od narodu dworku w Żarnowcu ustabilizowało nieco życie Konopnickiej. Mniej podróżowała, bo na Podkarpaciu spędzała z Dulębianką wiosny i lata. Ale ostry podkarpacki klimat nie służył jej zdrowiu i też często wyjeżdżała. Te 20 lat wędrówek, mimo „życia szlachetnego, aczkolwiek bez szczęścia”, zawsze z oczyma utkwionymi w Polskę, a do tego z potrzeby wrażeń niezbędnych do pracy twórczej, okazały się bezcenne w twórczości pisarki. Zdawała sobie z tego sprawę, bo pisała do córki Zofii z Awinionu, 13 stycznia 1893 r.:

Twórczość Konopnickiej
była fenomenem popularności.
Polacy kochali ją i czytali,
a w 1902 r. uczcili 25-lecie pracy
literackiej poetki w sposób
niespotykany. Naród zebrał
pieniądze na wydanie zbiorowe
jej dzieł oraz na zakup
posiadłości w Żarnowcu

„Człowiek nie pajak, by sam z siebie snuł nieustannie, musi się o ruch życia z bliska ocierać, doznawać pewnych artystycznych wrażeń, widoków, słowem – jeśli ma pisać – musi tak nastrajać duszę, jak się nastraja instrument”.

Jej podróże zaowocowały wieloma ważnymi tomami (m.in. „Linie i dźwięki”, „Damnata”, „Ludziom i chwilom”, „Głos ciszy”, „Przez głębinę”, „Sonety prowansalskie”), zbiorami liryk: włoskim – „Italia”, francusko-włoskim – „Drobiazgi z podróży teki”. Utwory z tego okresu są odbiciem głębokiej erudycji i pasji poznawczej poetki, penetrującej najdawniejsze szlaki kultury i sztuki europejskiej – zawsze jednak w konfrontacji z życiem ojczyzny i słuchem absolutnym na ton

„duszy narodu”. Gdziekolwiek się znalazła, nie umiała bowiem „być cicha i cierpliwa” wobec cierpienia swojego narodu.

Znamienna jest jej heroiczna epopeja „Pan Balcer w Brazylii”, w której przedstawia się masowej emigracji zarobkowej polskiego chłopstwa za ocean i katorżniczej ich pracy w dzikich puszczach Brazylii. Mimo że jesienią 1901 r. przebywała we Florencji, to energicznie włączyła się w obronę katowanych polskich dzieci z Wrześni, które odmówiły nauczania religii w języku niemieckim. Pisała apele, odezwy i egzaltowane orędzia oraz listy w różnych językach do gazet i wielu cudzoziemskich osobistości, a jej wiersz „O Wrześni” odegrał rolę wezwania do oporu przeciw „niemczyźnie”.

Konopnicka uczestniczyła również w wielu innych akcjach, wzywając ostrym piórem do „wojny narodowej” przeciw pruskim wywłaszczeniom Polaków z majątków, do obrony ziem piastowskich, pisała petycje do posłów, do zaborczych władz. Była też wraz z Dulębianką bojowniczką o równouprawnienie kobiet.

Manifestem politycznym, symbolem patriotycznych treści zawartych w poezji Konopnickiej, była jej „Rota” (1908). Została spopularyzowana jako pieśń z muzyką Feliksa Nowowiejskiego – odśpiewano ją po raz pierwszy w Krakowie, 15 lipca 1910 r., podczas 500-lecia wiktorii grunwaldzkiej, zagrzewając Polaków z trzech zaborów do walki o niepodległy kraj. Trzy miesiące później,

8 października 1910 r., poetka zmarła we Lwowie. Po jej śmierci zapanowała żaloba narodowa. Miasto okryło się kirem, na cmentarz Łyczakowski odprowadził pisarkę ponad 50-tys. tłum z delegacjami Polaków z trzech zaborów.

„Rota” Konopnickiej okazała się pro-racza i jak napisał Kazimierz Przerwa-Tetmajer: „»Rotą« Marii Konopnickiej zmartwychwstała Polska”. Ta pieśń o wierności swojej ziemi i narodowi stała się drugim hymnem narodowym Polski. Towarzyszyła Polakom we wszystkich bojach i do dziś jest aktualna.

Teresa Kaczorowska

Autorka jest dziennikarką, doktorem nauk humanistycznych, napisała kilkanaście książek

Zbieranie okruchów

Nowa odsłona projektu IPN Archiwum Pełne Pamięci pozwoli ocalić pamiątki gromadzone przez Polaków na wszystkich kontynentach. Jeszcze nigdy nie było to tak proste



Fot. Michał Bujak (IPN)

Już w tej chwili jest to zbiór niezwykle ciekawych opowieści. Artykuły i podcasty podzielone na kolejne okresy przenoszą nas do historii bohaterów często bardzo nieoczywistych. Gdy się w nie zagłębimy, zrozumiemy, na jak wielu płaszczyznach przez lata budowała się polska państwowość. A gdy państwa nie było, oni dbali o to, by przetrwała polskość.

Co już teraz znajdziemy na stronie www.archiwumpamieci.pl? Są np. spisywane 50 lat po wojnie polsko-bolszewickiej wspomnienia Stefana Szyłkiewicza, żołnierza 13. Pułku Ułanów Wileńskich. Dokumenty wraz z legitymacją potwierdzającą przyznanie bohaterowi Orderu Virtuti Militari przekazały do IPN jego córki. Dr Wojciech Mierzwa podzielił się zbiorem niezwykle cennym. To tysiąc fotografii Stanisława Mierzwy, jednego z najbliższych współpracowników



MARCIN WIKŁO

prezera RP Wincentego Witosa. Archiwum obrazuje historię ruchu ludowego w Polsce. Jest tu także mnóstwo opowieści, często bogato ilustrowanych, z czasów II wojny światowej, relacje z obozów zagłady, opowieści o trudnym czasie zsyłek i deportacji, bezcenne świadectwa z pobytu polskich oficerów w obozach. Dzięki Ewie Gruner-Żarnoch poznamy nietuzinkowy życiorys Juliana Grunera, bohaterstwa żołnierza, mistrza lekkoatletyki i wybitnego lekarza. Gruner był szefem szpitala wojskowego w Stanisławowie. Tam 19 września 1939 r. dostał się do niewoli sowieckiej i trafił do obozu w Starobielsku. Zginął w Charkowie w 1940 r.

Niezwykle cenny jest dział przedstawiający losy Polaków na emigracji. To dokumenty, które mają ogromną wartość archiwalną, ale czasem także literacką. Tak jest w przypadku

pamiętników Antoniego Machety, oficera 3. Dywizji Strzelców Karpackich. Wspomnienia zawarte w 10 zeszytach są zatytułowane „Poznałem piękno życia”. Również dzięki darczyńcom poznajemy losy rodziny Müllerów, która przez wieki zamieszkiwała Kresy Wschodnie, by wreszcie osiąść w Słupsku. Edward Müller był jednym z organizatorów tamtejszego Okręgowego Komitetu Oporu. Za swoją postawę został zwolniony z pracy, internowany, dwukrotnie aresztowany i osadzony.

To zaledwie ułamek tego, co udało się zgromadzić przez cztery lata działania projektu Archiwum Pełne Pamięci. – Archiwum jest sercem naszej instytucji, które uruchamia cały krwioobieg działania IPN. Bez archiwum nie ma udanej nauki, wydawnictw czy projektów edukacyjnych. Trudno byłoby bez archiwum i archiwistów poszukiwać ofiar zbrodni komunistycznych czy lustrować tych, którzy mają ambicje być częścią polskiego życia publicznego – powiedział prezes IPN dr Karol Nawrocki podczas inauguracji nowej odsłony projektu Archiwum Pełne Pamięci.

Praca nad archiwami to czas i pieniądze. Pamiątki rodzinne trafiają do instytutu w różnym stanie technicznym. Nie jest to jednak tylko zbieranie rzeczy po to, by je odstawić na półkę. To ma być narzędzie do oddziaływania na wyobraźnię młodszych pokoleń. – Naszym celem jest nie tylko fizyczna ochrona archiwalnych pamiątek i artefaktów, to projekt, który od początku stał na edukację i opowiadanie tych historii, które są zamknięte w dokumentach – podkreśliła dyrektor Archiwum IPN Marzena Kruk.

Rzeczywiście, Archiwum Pełne Pamięci ma pokazać, że Polacy byli i są ze swoją tożsamością na wszystkich kontynentach. Dziś IPN ma ambicję sięgnąć także na te ziemie, na których do tej pory go nie było. – Spoglądamy w kierunku Ameryki Południowej czy Nowej Zelandii. Myślimy też o tym, by zaopiekować się dziedzictwem w Indiach. To jest projekt, wokół którego będą skupiały się nasze wysiłki, by ocalić od zapomnienia dziedzictwo narodu polskiego rozsianego po całym świecie, by żaden okrucieństwo historii nie został zmarnowany i nie trafił w próżnię niepamięci – wyjaśnia prezes Karol Nawrocki.



Tysiąc fotografii z prywatnych zbiorów Stanisława Mierzwę

Przekazane przez: dr W

Stanisław Mierzwę b współpracowników Witosa. Jego archiwum zbior blisko tysiąca obrazujących historii Polsce, a także dzieła społeczną samego St



pski patriota – ward Müller

Przekazane przez: Edward Müller, Piotr Müller, Müller, Wojciech Rajkowski

Edwarda Müllera przez wieki z Kresy Wschodnie, on sam i się i wychowywał w zniewolonej Działacz słupskiej „Solidarności”, z organizatorów tamtejszego Okręgowego Komitetu Oporu. Za swoją pracę został zwolniony z pracy, internowany, dwukrotnie aresztowany i osadzony.

Posłuchaj historii



Wspomnienia żołnierza 13. Pułku Ułanów Wileńskich

Przekazane przez: Lilioza Sobocińska, Jadwiga Szykiewicz

Odkryj historię walki o niepodległość odradzającego się po latach niewoli państwa polskiego oczami żołnierza. Spisując swe wspomnienia ponad 50 lat po zakończeniu wojny, Stefan Szykiewicz nie spodziewał się, że chce ocalenia od zapomnienia uczestnictwa w walkach ściągnie na niego i jego bliskich represje.

Posłuchaj historii



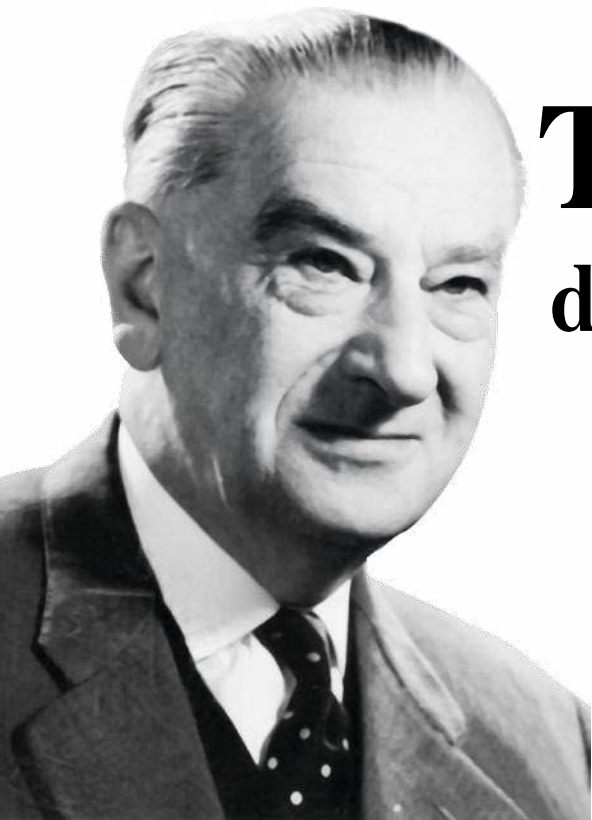
Dzięki nowej odsłonie strony internetowej www.archiwumpamieci.pl dowiemy się, że dokumenty do niezbędnej na wstępie oceny archiwalnej można przesłać z dowolnego urządzenia elektronicznego. Potem darczyńca zostanie zaproszony na rozmowę. Być może będzie miał okazję do osobistego zrelacjonowania rodzinnej historii. Wiele takich notacji już zostało sporządzonych i jest do odsłuchania. To pasjonujące opowieści. Jeśli ktoś uzna, że pamiątka czy dokument są dla niego wyjątkowo cenne, może poprzestać na wypożyczeniu go instytutowi do zeskanowania lub digitalizacji.

Instytut Pamięci Narodowej szuka akt urzędowych, fotografii, prywatnych listów, pamiętników, dzienników, filmów, nagrań audio i wideo. Celem jest dotarcie do osób prywatnych, stowarzyszeń i organizacji polonijnych oraz archiwów zagranicznych, by na zasadzie współpracy pozyskać i zabezpieczyć materiały obrazujące historię Polski i Polaków w XX w. Kolejny krok to upowszechnianie wiedzy o nowo poznanych losach polskich obywateli m.in. w publikacjach książkowych, prasowych czy internetowych, a także na wystawach i spotkaniach z odbiorcami.

Tym, co może zainteresować nie tylko pasjonatów

historii, jest fakt, że tutaj wielkie wydarzenia są opowiadane przez historie poszczególnych rodzin, a nawet pojedynczych osób. Tak przecież buduje się każdy naród. Jeśli młodzi ludzie zrozumieją, że mogą mieć wpływ na rzeczywistość, że są częścią większej społeczności, być może będą aktywniejsi. By tak się stało, trzeba dać im wzór. IPN zbudował narzędzie, które nie boi się nowych technologii. Owszem, Archiwum Pełne Pamięci to zarówno szczegółowe wydawnictwa książkowe i albumowe, jak i audiobooki oraz podcasty na stronie internetowej. Taka łączona formuła na pewno nie zniechęca, nie przytłacza. Daje możliwość wejścia w konkretną historię na poziomie opisowym, ale jeśli ktoś zechce – na pewno znajdzie materiały do pogłębienia wiedzy.

Na koniec pozwolę sobie na pewne ostrzeżenie, oczywiście z przymrużeniem oka. Gdy już wejdzie się w zakładkę ze zgromadzonymi historiami, trudno ją opuścić. Te opowieści naprawdę są warte poznania.



Trudna decyzja dla wspólnej przyszłości

W 1942 r. Józef Mackiewicz [na zdj.] stwierdził, że jedyną szansą na przetrwanie Europy Środkowo-Wschodniej jest zastąpienie podjętej przed wiekami „łatwej decyzji dawnych książąt” „trudną decyzją narodów” obarczonych dziś bagażem własnych ambicji. Był zdania, że etnograficzne tereny dawnej Rzeczypospolitej już jako zupełnie samodzielne państwa ze stolicami w Warszawie, Wilnie i Kijowie powinny prowadzić wspólną politykę o różnych wektorach



MACIEJ WALASZCZYK

Wracając do ścisłego tematu tzw. idei krajowej, czyli w mojej koncepcji odrodzenia państwa na terenach byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego w oparciu o Polskę i Ukrainę, wydaje mi się ona nie tylko korzystną dla wszystkich trzech zainteresowanych narodowości: Białorusinów, Polaków i Litwinów, ale po prostu jedyną, która im gwarantować może byt niezależny na tych terenach” – pisał w 1942 r. w Wilnie Józef Mackiewicz. Tezy te zawarł w maszynopisie książki „Prawda w oczy nie kole”, który powstał w czasie okupacji. Tekst cudem ocalał w czasach komunistycznych w litewskich archiwach i kilkanaście lat temu został opublikowany przez wydawnictwo Kontra. Mackiewicz pi-

sał te słowa jako mieszkaniec świata, którego dziś przeciętny Polak nie zna ani nie ma prawa rozumieć. Ale wtedy pisarz i dziennikarz, świadomy ogromu nieszczęść, które zostały przyniesione przez skrajne narodowe partykularyzmy z jednej strony i sowiecki imperializm z drugiej, swój wydawałoby się idealistyczny, a nawet bardzo romantyczny projekt przedstawiał całkiem na serio. Przekonywał, że został on zrodzony z jego absolutnego rozsądku politycznego. Był zdania, że aby przetrwać, wszyscy, czyli Polacy, Litwini, Białorusini i Ukraińcy, muszą się wycofać z błędnych koncepcji i „sztucznej niezłomności swoich przekonań”. Mackiewicz, znając realia wojenne i sowiecką okupację, mówił wprost, że polityka przedkładania drobnych ambicji językowych, hegemonistycznych aspiracji poszczególnych nacjonalizmów ponad zrzuconie jarzma niewoli i wyzwolenie się spod wiekowej zależności Berlina i Moskwy ma charakter przestępczy. Bo prowadzi, szczególnie narody Europy Wschodniej, do katastrofy.

W JEDNYM NURCIE HISTORII

Kilka tygodni temu w Sejmie odbyła się duża naukowa konferencja poświęcona pisarzowi. Rok 2022 został ogłoszony rokiem Józefa Mackiewicza. W jednym z wystąpień Leonardas Vilkas, tłumacz litewskiego przekładu „Drogi donikąd”, zwrócił uwagę, że niezwykła wszechstronność jego pisarstwa odsłaniała niewygodne szczegóły dla każdej strony i burzy każdą narodową narrację. „Szczególnie u nacjonalistów rodzi to reakcję odrzucenia, a szkoda” – podkreślał.

Rosyjska agresja na Ukrainę przyspieszyła bieg historii i dynamikę polityczną. Także w Europie Zachodniej. Gwałtowna fala ukraińskich uchodźców, którzy pojawili się w Polsce, po cichu wywołuje też zmiany społeczne. Mają one skutki ekonomiczne (tańsza siła robocza i rywalizacja o miejsca pracy), pojawienie się w różnych regionach kraju tysięcy ludzi kulturowo bardzo bliskich, choć trochę innych, wschodniego wyznania i języka, wpływa na świadomość, że nie jesteśmy już sami. Ludzi tych przyjęto ze wspól-

czuciem i w odruchu autentycznej solidarności. Poczucia wspólnego losu, który dzielimy.

Ukraina jako państwo mierzy się z egzystencjalnym zagrożeniem. Polska, kraje bałtyckie stają bezpośrednio przed podobnym wyzwaniem. Prezydent Andrzej Duda, przemawiając 22 maja w Radzie Najwyższej Ukrainy, mówił do Ukraińców, że bronią dziś Europy, w tym przede wszystkim nas, przed „najazdem barbarzyństwa i nowego rosyjskiego imperializmu”. Zaoferował więc podpisanie nowego polsko-ukraińskiego traktatu o dobrym sąsiedztwie. Zaprosił Kijów do inicjatywy Trójmorza, grupującego kraje regionu należące do Unii Europejskiej. Padły daleko idące deklaracje. Prezydent mówił o historycznej szansie, przełomie i wspólnej przyszłości. Zwrócił też uwagę, że poza aktualną współpracą wojskową, pomocą polityczną i humanitarną czy gospodarczą konieczne jest też „oczyszczenie pamięci historycznej”, które ułatwi budowę przyszłości, a nawet „braterskiej wspólnoty”. A tym samym zlikwiduje grunt, na którym bolesne tematy z przeszłości budzą napięcia i służą obcym interesom do ich rozgrywania.

Wciąż więc wracamy do dawnych dyematów. W tym samym geograficznie centralnym punkcie na mapie Europy ogniskuje się wspólne życie narodów Europy Środkowo-Wschodniej. Podnosili je w różnym czasie PPS i pilsudczycy, prometeiści, potem zwolennicy „idei mocarstwowej” w formule neofederalizmu Adolfa Bocheńskiego czy stworzonego po wojnie wokół Jerzego Giedroycia emigracyjnego kręgu paryskiej „Kultury”. Wszystkie powstawały w różnych realiach, ale miały ten sam cel. Z jednej strony znaleźliśmy się znów w sytuacji, gdy losy tych narodów płyną w jednym wartkim nurcie historii. Z drugiej strony po zmianach granicznych w 1945 r., wywózkach, deportacjach, czystkach etnicznych, akcjach przesiedleńczych obraz mozaiki narodowo-wyznaniowej nie jest już tak zagmatwany. A ich emancypacja przestrzenna jest zjawiskiem trwałym.

Właśnie ukazały się kolejne dwa tomy tekstów Józefa Mackiewicza. Tym razem dostajemy m.in. opatrzoną bogatymi przypisami korespondencję Mackiewicza i jego żony Barbary Toporskiej z Michałem K. Pawlikowskim. To bardzo osobiste i szczere epistoły, kierowane głównie do wywodzącego się z ziemi mińskiej (terytoriów nieszczęśliwie pozostawionych po traktacie ryskim poza granicami II Rzeczypospolitej) przedwojennego dziennikarza, potem pisarza, znawcy kultury łowieckiej, a po wojnie emigranta politycznego w USA.

Być może w tych doświadczeniach i koncepcjach zawiera się pomysł na to, jak między naszymi państwami urządzić przyszłość, o której mówił prezydent Duda, przemawiając w Kijowie?

IDEA KRAJOWA

Pawlikowskiego i Mackiewicza łączy fakt, że byli ludźmi pochodzącymi z nieistniejącego już świata, bytami ukształtowanymi wobec naszej świadomości kompletnie odrębnymi i dziś trudnymi do zrozumienia. Jak ciekawie zauważał Mackiewicz, Mińszczyzna Pawlikowskiego leżała w wyjątkowym pasie ziemi od Finlandii po Ukrainę, w której warstwy wyższe nie posługiwały się językiem warstw niższych, które stworzyły potem państwa narodowe. W jednym z listów Mackiewicz, wracając pamięcią do 1918 r., przyznaje np., że jako polscy Litwini powinni wtedy dążyć do odnowienia unii z Polską w interesie Litwy, a nie Polski. „Błąd polegał moim zdaniem, żeśmy się spolonizowali do tego stopnia, że wychodzili z interesów Polski (Korony), a nie Litwy (Wielkiego Księstwa)” – pisał

do Pawlikowskiego. Co potem dało pożywkę Litwinom dążącym do budowy niezależnego państwa skonfliktowanego z Polską. A że była to idea zgubna, Mackiewicz miał świadomość, pisząc w 1942 r., że oparta na szowinizmie niezależność Litwy, Ukrainy czy Białorusi będzie zawsze nominalna i skończy się „niemieckim protektoratem” albo „rosyjskim folwarkiem”. Wspomniany wcześniej Bocheński argumentował z kolei, że polski kult centralizmu, polityka asymilacji są także nieopłacalne. Że dopiero rozwiązania federacyjne (ale nie „jagiellońskie”) pomnażają zakres niepodległości, dając awans w międzynarodowej hierarchii.

Być może w tych doświadczeniach i koncepcjach zawiera się właśnie pomysł na to, jak między naszymi państwami urządzić przyszłość, o której mówił prezydent Duda, przemawiając w Kijowie?

Józef Mackiewicz był orędownikiem „idei krajowej”. Konceptu, który był już umierający, gdy powstał. „Zrodzona z patriotyzmu szlachty końca XIX w. »idea krajowa« dziś zdumiewa swoją wspólnotowością, uniwersalizmem i aktualnością” – zwracał uwagę prof.

Włodzimierz Bolecki podczas wspomnianej konferencji w Sejmie. Tożsamość Mackiewicza była określona nie tyle przez etniczną, a nawet kulturową przynależność do narodu, ile identyfikację z krajem jako terytorium, który historycznie jest ojczyzną wielu narodów, bo różne narody mogą mieć tę samą ojczyznę. Dlatego w jego wyobrażeniach idea ta mogła być pomostem do ich wspólnego życia. Jego punkt widzenia był punktem widzenia litewskiego Polaka (polskiego Litwina?). Jak ocenia prof. Bolecki, to myśl, która rozwijała się poza pojęciami i dyskursami, człowieka z zewnątrz identyfikującego się z kulturą i dziedzictwem Wielkiego Księstwa Litewskiego, patriotę pejzażu z takimi elementami jak przyroda, kultura materialna i człowiek, który do niego przynależał. Będąc wcieleniem niespokojnej, historycznej duszy Wilna, mówił, że jego ojczyzną była Europa Wschodnia.

INTERMARIUM MACKIEWICZA

Mackiewicz był zdumiony klęską II Rzeczypospolitej, a potem zdruzgotany wydarzeniami na Kresach w latach 1939–1944. Zwracał uwagę, że aż do wybuchu II wojny światowej granice między narodami na tym obszarze nie były ostre. Jednak nacjonalizmy rozsadziły od wewnątrz świat dawnej Rzeczypospolitej. Ku jego przerażeniu zostały one potem umiejętnie wprzęgnięte nawet do sowieckiej maszyny państwowej i ideologicznej. Zwracał uwagę, co jest do dziś źródłem nieporozumień, że w czasie wojny w Polsce centralnej głównym wrogiem była III Rzesza, ale już na Kresach – Sowieci. Doświadczenie innych zupełnie okupacji dzieli dziś również Europę, na której ignorancji gra przecież Putin, mówiąc o konieczności „denazyfikacji nazistów”, używając propagandowych kalk z czasów ostatniej wojny. Z jednej strony niemiecka agresja na Polskę, a z drugiej współpraca Litwinów, Ukraińców i Białorusinów z okupantem ujawniły potężne napięcia. Na dawnych Kresach w czasie wojny wszyscy znaleźli się na osi konfliktu i w tygłu prowokacji. Straszne doświadczenia z Sowietami spowodowały, że narody tych ziem opowiedziały się w większości za Niemcami, a przeciw ZSRS, podczas gdy w Polsce centralnej odwrotnie. Jak pisał prof. Włodzimierz Bolecki w „Ptaszniku z Wilna”, klasycznej już biografii Mackiewicza, podziemna walka o wolność dla każdego z tych narodów stawała się polityczną grą o porozumienie z jednym z okupantów lub lepszą pozycję interesów narodowych, ale tę grę każdy prowadził na własną rękę. „Skutek był taki, że nikt nie wiedział, gdzie kończy się walka z hitlerowcami, a gdzie zaczyna prowokacja komunistyczna czy też zemsta z pobudek nacjonalistycznych” – podkreślał naukowiec. Ostatecznie skończyło się to masowymi zbrodniami dokonanymi przez Niemców i Litwinów w Ponarach i ukraińskich nacjonalistów na Wołyniu. Absolutną nienawiścią wobec Polaków.

Mackiewicz doszedł więc do przekonania, że przyszłość Europy decyduje się właśnie na tym obszarze, ponieważ

jego potencjał i niezależność pragnęli zlikwidować zarówno Niemcy, jak i ZSRR. Zdumiewające jest, gdy dziś widzimy sojusz liberalno-lewicowej elity Niemiec z autorytarną ekipą bezpieczeństwa z Kremla. Dlatego pisarzowi chodziło po prostu o utworzenie między Niemcami i Rosją takiego organizmu państwowego, który byłby zdolny prowadzić wojnę na dwa fronty. Budowy tworu państwowego zobrazowanego przez niego jako para opartych o siebie plecami ludzi odpierających presję i agresję z obu stron, a jeśli to konieczne, działających wspólnie. Jego rozumowanie wpisywało się w koncep-

Mackiewicz był zdruzgotany wydarzeniami, jakie miały miejsce na Kresach w latach 1939–1944. Zwracał uwagę, że aż do wybuchu II wojny światowej granice między narodami na tym obszarze nie były ostre. Jednak nacjonalizmy rozsadziły od wewnątrz świat dawnej Rzeczypospolitej

cję, w której warunkiem niepodległości może być tylko konflikt między Rosją a Niemcami. A ich porozumienie oznacza zwasalizowanie i w efekcie tej niepodległości utratę.

Już w czasie wojny Mackiewicz był zdania, że etnograficzne tereny dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego i Korony (dziś jest to po prostu obszar współczesnej Polski) powinny zbudować wraz z wyemancypowaną Ukrainą trzy zupełnie autonomiczne organizmy ze stolicami w Warszawie, Wilnie i Kijowie. A między członkami tego państwa powinna powstać wspólna strefa określająca kierunek ekspansji politycznych, interesów i aspiracji terytorialnych. Łączyć zaś wspólna polityka

zagraniczna i wojskowa. Oczywiście w innych realiach kreślił projekt, który miał zbudować trwały i bezpieczny ład polityczny na obszarze Międzymorza. Polska miała być zorientowana na zachód, południe i Bałkany, Litwa na północ, a Ukraina na Kaukaz i Morze Czarne. Był zdania, że idea ta jest dla wszystkich korzystna pod względem ekonomii i aspiracji narodowych, gwarantująca pokój, współistnienie i bezpieczeństwo.

Co interesujące koncept ten odpowiada w jakiś sposób wizji „czarnomorskiej Ukrainy”, stworzonej przez ukraińskiego znawcę geopolityki ziem ukraińskich Jerzego Lipę. Według niego właśnie taka Ukraina neutralizowałaby siłę Rosji, nie antagonizowałaby się z Polską i nie stawałaby się polem wyniszczającej walki między Warszawą a Moskwą. Lipa w 1944 r. został zamordowany przez NKWD.

„Sytuacja Polski i Wielkiego Księstwa Litewskiego nie zmieniła się w wieku XX i pozostała taką samą jak w wieku XIV” – tłumaczył. Argumentował, że dopóki narodami nie dysponowały ich nacjonalizmy, ich władcy mogli odierać agresywne zakusy ze wschodu i zachodu. „Z chwilą, gdy organizm Rzeczypospolitej rozdrobnił się z pojęcia »obojga narodów« na pojęcia Polaków, Białorusinów, Ukraińców i Litwinów, wspólny, niezmienny los tych narodów zmusza nas do

utworzenia takiego porozumienia, takiego układu, do takiej decyzji, która zastąpiła łatwą kiedyś decyzję książąt – trudną dziś decyzją narodów obciążonych skomplikowaną machiną narodowościowo-wyznaniowo-gospodarczych ambicji” – pisał. Te słowa Mackiewicza kreślił w Wilnie już po zakończeniu jego sowieckiej okupacji. Chciał, by idea ta była pojęciem politycznego patriotyzmu państwowego wszystkich narodowości, zbudowanego na lojalności i dostrzeganiu zobowiązań, wspólnym budowaniu państwa. Uważał, że może ono zrodzić patriotyzm przerstający ramy patriotyzmu narodowego. Czy dziś także może być drogowskazem do wspólnej przyszłości?

K

ULTURY

Po raz 24. wręczono
Orły – Polskie
Nagrody Filmowe.
Święto kina
naznaczyła wojna
– dawna i obecna.
Była widoczna
podczas
tegorocznej
gali

Życie jest nie do wymyślenia

Jasna Đuričić, odtwórczyni
głównej roli w filmie „Aida”



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Na czerwonym dywanie, w foyer i na scenie, wreszcie bez masek i pandemicznych ograniczeń, brylowały gwiazdy naszego filmu. Uwagę przyciągały kreacje aktorek wręczających statuetki, jak i nominowanych do Orłów – Magdaleny Kosińskiej czy Aleksandry Koniecznej. Reżyserka Małgorzata Szumowska – krojem czarnej sukni wyrażająca swoją artystyczną wyrazistość – wygłosiła laudację do laureata Orła za osiągnięcia życia – Jerzego Skolimowskiego. Reżyser, podobnie jak reprezentujące jego pokolenie damy polskiego teatru i kina – Maja Komorowska i Ewa Wiśniewska – pokazał na scenie dawną klasę, choć zaskoczył wygłoszoną informacją o stanie zdrowia.

Swoją nowy wygląd (ogolona głowa i modny zarost) ogłosił żartem, związany od lat z galą PNF – Maciej Stuhr. Tym razem również laureat nagrody dla głównego aktora.

DAWNA I OBECNA

Organizatorzy, widzowie i oczywiście nagrodzeni doceniali możliwość bezpośredniego świętowania – wnętrza warszawskiego Teatru Polskiego wypełniły się wspaniałymi gośćmi. Jednak w tle nagród przyznawanych przez Polską Akademię Filmową była obecna wojna. Ta dawna i obecna. Niezależnie od czasu i miejsca, z perspektywy jednostki, zawsze okrutna.

Zgromadzeni w Teatrze Polskim wyrazili solidarność z Ukrainą, występując z apelem „Stop Russian war!”. Z telebimu zwrócił się do nich Oleg Sencow, reżyser, były więzień polityczny, dziś walczący w szeregach ukraińskiej armii.

Jerzy Skolimowski,
Małgorzata Szumowska



Przed wszystkim jednak sami członkowie Polskiej Akademii Filmowej (a jest ich ponad 800) w dwuetapowym głosowaniu zdecydowali, że nagrody w najważniejszych kategoriach – film, reżyseria i scenariusz – przypadną produkcji przywołującej obraz i skutki wojny.

KRYK O POMOC

„Aida” w reż. Jasmili Žbanić opowiada o czasie, gdy do Srebrenicy wkroczyły serbskie oddziały, rozpoczynając masakrę. Pracująca dla ONZ tłumaczka Aida próbuje ocalić swoją rodzinę. Efekt współpracy producentów

z dziewięciu europejskich państw został wyróżniony przez Polską Akademię Filmową.

demie Filmową za „aktualne przesłanie i znaczący wkład artystyczny polskich twórców”.

– To film, który porusza bardzo ważne tematy i jestem dumna, że to my, Polacy, dzięki takim projektom mamy udział w rozwoju europejskiej i światowej kinematografii – mówiła podczas odbierania nagrody polska współproducentka Ewa Puszczyńska. – Wkład artystyczny polskich twórców był bardzo znaczący. Montaż filmu jest dziełem Jarosława Kamińskiego, kostiumy zaprojektowała Małgorzata Karpiuk, muzykę do filmu skomponował Antoni Komasa-Łazarkiewicz – dodawała, podkreślając jednocześnie, że „Aida”, to prawdziwie europejski film o wojnie, do której świat się przyzwyczaił.

– Przyzwyczaił się tak bardzo, że w pewnym momencie nie słyszał krzyku o pomoc, rozpaczliwego wołania. Świat po prostu wtedy pojechał sobie na wakacje – podkreślała Puszczyńska. – I teraz też, proszę państwa, powoli, obserwuję to naprawdę z ogromnym strachem i rozpaczą, ten świat powoli przyzwyczaja się do tego, co się dzieje na Ukrainie. I my, uważam, mamy do tego prawo, ponieważ możemy tę wojnę oglądać codziennie w oczach tych,

którzy poszukali u nas schronienia, my jesteśmy najlepsi do tego, żeby nie pozwolić światu przyzwyczaić się do tej wojny. Żeby ten świat, ot tak, po prostu, nie pojechał sobie na wakacje. Nie możemy pozwolić światu, żeby przyzwyczajał się do jakiegokolwiek zła – apelowała na koniec.

WSPANIAŁE ROLE

„Aida”, niewątpliwie ważny film europejski, został w sumie nagrodzony czterema statuetkami. Także za montaż.

W kategoriach aktorskich nagrodę za główną rolę kobiecą otrzymała Agata Buzek („Moje wspaniałe życie”). Ewa Wiśniewska została doceniona za drugi plan w filmie „Zupa nic”. Odbierając statuetkę, zadeklarowała z uśmiechem, że co prawda aktorki bronią się przed graniem matek, a tym bardziej babć, ale skoro postać seniorki z czasów PRL przyniosła jej takie wyróżnienie, gotowa jest zagrać nawet prababcie.

Podobnie jak Agatę Buzek także Jacka Braciaka (wyróżnionego Orłem za drugi plan w filmie „Żeby nie było śladów”) nie było podczas gali. Najprawdopodobniej zatrzymało go na planie nowe aktorskie wyzwanie. Ruszyły właśnie zdjęcia do filmu „Kos” w reż. Pawła Maślony. Jacek Braciak zagra w nim Tadeusza Kościuszkę.

Osobiście statuetkę Orła odebrał za to Maciej Stuhr. Członkowie Polskiej Akademii Filmowej docenili jego poruszającą i zagraną zdecydowanie poza dotychczasową strefą komfortu rolę – niespełnionego radiowca i ojca rodziny, którego niszczy alkohol. W swojej kategorii aktor pokonał m.in. genialną i niezwykle wymagającą kreację Piotra Głowackiego w obozowym obrazie „Mistrz”. Maciej

Stuhr zapewniał ze sceny, że „Powrót do tamtych dni” to jego najukochańszy film. Dziękując reżyserowi i scenarzyście Konradowi Aksinowiczowi oraz cudownym partnerom – Weronice Książkiewicz i Teodorowi Koziarowi, zadeedykował nagrodę wszystkim dzieciom, „żeby nie musiały oglądać swoich rodziców pod wpływem”.

SMUGI TUSZU

Jednym z najważniejszych bohaterów 24. edycji Polskich Nagród Filmowych był Jerzy Skolimowski, przybyły na warszawską galę tuż po odebraniu nagrody na festiwalu w Cannes. Wprowadzony na scenę przez Małgorzatę Szumowską reżyser i aktor szybko skupił na sobie całą uwagę.

– Jestem bardzo wzruszony i zaszczyceny, ale... niezaskoczony, ponieważ rzetelnie zapracowałem na tę nagrodę... głosząc na siebie od wielu, wielu lat – zadeklarował na początek, wywołując śmiech i oklaski. – Ale żarty żartami, a nagroda jest bardzo konkretna i zagłosowało na nią bardzo wielu członków akademii. Im chciałbym naprawdę serio podziękować, że wybrali... mojego faworyta.

Dowcipny ton zmienił się w dalszej części wypowiedzi: – A jeszcze serio chciałem dodać, że ostatnio miałem przedziwne perypetie medyczne i to, że jestem tutaj z państwem dzisiaj – i że udało mi się polecieć do Cannes, żeby odebrać nagrodę – to tylko dzięki wspólnemu wysiłkowi dwóch warszawskich szpitali i ich personelu medycznego. A ponieważ ostatnimi czasy wskutek pandemii zbliżyliśmy się wszyscy z personelem medycznym, warto im wszystkim gorąco podziękować – dokończył laureat

nagrody za osiągnięcia życia. „IO”, „bardzo nietypowy film na tle tego, co zrobiłem do tej pory”, jak ocenia sam reżyser, trafi do polskich kin 30 września. Twórca ma nadzieję, że wywoła podobne reakcje jak w Cannes, gdzie „z satysfakcją obserwował panie wychodzące po projekcji z czarnymi smugami rozmazanego tuszu”.

ODWAGA PODRÓŻOWANIA

Głosami członków Polskiej Akademii Filmowej Orły 2022 otrzymali też: Piotr Sobociński jr za zdjęcia do filmu „Wesele”, Wojciech Żogała (scenografia, „Bo we mnie jest seks”), Marcin Masecki (muzyka, „Powrót do tamtych dni”), Jarosław Kamiński (montaż, „Aida”), Artur Kuczkowski i Tomasz Sikora (dźwięk, „Sonata”).

Wręczając nagrodę Dorocie Roqueplo („Magnezja”), Magdalena Kolesnik nazwała kostiumy „czułą architekturą”. Podkreśliła, że twórcy filmowych strojów nie tylko aktorów ubierają, ale też dają odwagę podróżowania. Zapowiadając kolejnych laureatów – Waldemara Pokromskiego i Agnieszkę Hodowaną, autorów charakterystycznej w filmie „Magnezja” – aktorka stwierdziła, że charakterystyczna to proces alchemiczny, który – gdy jest dobrze przeprowadzony – niczego nie zakrywa, nie maskuje, tylko pomaga wyjść na światło dzienne prawdziwe postaci.

LUDZIE I ICH ZAGADKI

Prawdę postaci docenili akademicy, przyznając nagrodę dla najlepszego obrazu europejskiego. Odebrał ją dystrybutor filmu „Na rauszu”. Internetowa publiczność zagłosowała na „Wesele” Wojciecha Smarzowskiego. W kategorii dokumentów zwyciężył „Film balkonowy”. Jego reżyser Paweł Łoziński tak mówi o projekcie: – Postanowiłem zatrzymać się i poczekać, aż świat sam do mnie przyjdzie. Stałem na balkonie z kamerą przez dwa lata i łapałem każdego, kto pod nią przechodził. Z tych spotkań wyszedł film opowiadający o ludziach to, co sami chcieli o sobie powiedzieć. I o reżyserze, który był ich ciekawy. Byłem zdziwiony, jak mało znam się na ludziach. Prawie nikt nie jest tym, na kogo wygląda. Ludzie niosą w sobie zagadki i tajemnice. Nie dają się łatwo zaszufłdkować. Życie jest nie do wymyślenia.

„Powrót do tamtych dni”



Tron we krwi



Schillerowska „Maria Stuart” to znakomite studium władzy i wpisanych w nią intryg, rywalizacji, strachu. Kolejną odsłonę tego dramatu można oglądać na scenie Teatru Narodowego w Warszawie w reżyserii Grzegorza Wiśniewskiego



MACIEJ WALASZCZYK

Maria Stuart wspaniale przygotowała się na śmierć. Przez niemal 20 lat więziona przez Elżbietę Tudor została stracona 8 lutego 1587 r. w makabrycznych okolicznościach. Tej sceny nie ma w przedstawieniu „Maria Stuart” Fryderyka Schillera wystawionym na scenie Teatru Narodowego w Warszawie w reżyserii Grzegorza Wiśniewskiego. Tu oprawcy przygotowaną na śmierć Marię brutalnie porywają, a odgłosy egzekucji dobiegają już zza kulis. W rzeczywistości królowa Szkotów śmierć miała przyjąć godnie. Napięcie

było tak duże, że wprawiony w swojej sztuce kat w zdenerwowaniu nie potrafił precyzją ciosu pozbawić jej głowy. Pierwsze uderzenie trafia w potylicę, a dopiero za trzecim razem dokonuje dekapitacji. Próbuje uchwycić głowę, łapie tylko za czepek i perukę. Wtedy zebrany ukazuje się oblicze starej, siwej, wyłysiałej kobiety z krótko przystryżonymi włosami. Miała dopiero 45 lat, była schorowana i zniszczona wieloletnim przetrzymywaniem w więzieniu.

Maria Stuart starannie przygotowała się na śmierć, ubierając pod suknię purpurową halkę. U Wiśniewskiego jest to niestety czerwona lateksowa sukienka. Trochę żenująca prowokacja, gdyż żywot i tragiczny los przypieczętowany egzekucją Stuartówny to z pewnością męczeństwo symbolizowane przez ten kolor. Maria pozbawiona została katolickich sakramentów, o które prosiła. Umierała

za wiarę i własne prawo do brytyjskiej korony, prosząc, by „Bóg w swym wielkim miłosierdziu i dobroci oddalił swe plagi od tej wyspy głupców”.

Prof. Jacek Bartyzel, teatrolog i filozof polityki, przyznaje, że można w niej dziś widzieć męczennicę. – Ponieważ była katoliczką, co było nierozdzielnie związane z kwestią polityczną, wobec ekskomunikowania Elżbiety stawała się prawowitą władczynią Anglii – tłumaczy.

Schillerowska „Maria Stuart” to znakomite studium władzy i wpisanych w nią intryg, rywalizacji, strachu. Reżyser zdecydował się na odejście od scenografii i kostiumów z epoki. To zawsze ryzykowny zabieg i nie wiem, czy udany. Sceneria jest surowa i oszczędna, stół i krzesła jako jedyne rekwizyty opakowane, jakby przygotowane do transportu, symbolizują niepewność i tymczasowość wszystkiego dookoła. Betonowy strop

i ściana więzienia dominują nad sceną, po której każdy z bohaterów stąpa jak po kruchym lodzie. W labiryncie pełnym zapadni, pułapek, luster (tę rolę odgrywają ekrany, na których obraz akcji widz obserwuje z bliskich ujęć kamery) rozgrywa się dramat władzy. Bohaterami rządzi „strach, ten okropny towarzysz tyranii”. Dialogi, mimo że spektakl rozgrywa się w znakomitej akustyce teatru, wzmacniają mikrofony. Dla spotęgowania efektu scenicznego zdecydowano się też na dźwiękowe tło i efekty.

Dziesięć lat temu Grzegorz Wiśniewski także na scenie Teatru Narodowego wystawił własną adaptację „Królowej Margot” na podstawie powieści Aleksandra Dumasa, której tłem też jest konflikt między katolicką monarchią a francuskimi hugenotami. Również wtedy w głównych rolach Katarzyny Medycejskiej i Małgorzaty Walezjuszki obsadził Stenkę i Gorodecką. „Marię Stuart” Schillera wystawił już w 2008 r. w Teatrze im. Wilama Horzycy w Toruniu i w 2015 r. w Teatrze Studyjnym PWSFTviT w Łodzi. Świetnie, że szukała powróciła tym razem scenę narodową w stolicy.

Archipelag Brytanii jest rozbity od wieków na geograficzne obszary, które stały się też naturalnymi krainami politycznymi, jak Anglia i Szkocja. Na przełomie XVI i XVII w. jest ona areną wojny religijnej, wpływów kulturowych, sporu politycznego między katolickimi monarchiami i papieżem a protestantyzmem w wydaniu angielskim. Bohaterami tej w duchu greckiej tragedii są ludzie sprawujący władzę. Stojący na szczycie hierarchii społecznej, osiągają pełnię swoich możliwości, a ich działania wpływają na los poddanych i państwa. Maria Stuart to delfina, a następnie koronowana królowa Francji, prawowita królowa Anglii i Irlandii od ekskomunikowania w 1570 r. Elżbiety Tudor przez św. Piusa V. To czas zmagania obu stronnictw i wzajemnych prześladowań, starcie kulturowe dosłownie rozrywające ówczesne społeczeństwo. Także Szkocję, z której Maria uciekła, chroniąc się w Anglii i uruchamiając mechanizm walki o tron, do którego miała pełne prawo. To chyba najważniejszy motyw silnie wyzierający z dramatu Schillera – wiara w boską legitymizację władzy i fakt, że pozbawienie tronu i życia poma-

zańca bożego było wówczas największą zbrodnią. Elżbieta Tudor była na pewno jednym z najpotężniejszych ówczesnych władców. Nie potrafi jednak wziąć na siebie ostatecznej decyzji o zabiciu rywalki-kuzynki, przepajają ją lęk o własne życie, paraliżujący strach przed zdradą i zamachem, a także o własną reputację. Ma świadomość, że posiadana przez nią władza, jest uzurpatorska.

„Kobiety nie są słabe. W mojej obecności proszę nie mówić o słabości kobiet” – oznajmia w jednej ze scen królowa Anglii. U Schillera kobiety konfrontują się bezpośrednio, do czego historycznie nigdy nie doszło. Elżbieta jest również zazdrosna o urodę rywalki. Maria jest według przekazów piękna, bardzo dobrze wykształcona, przygotowana do odgrywania roli politycznej i kochająca życie. Odbiega od purytańskiego wzorca kreowanego przez anglikańską rewolucję. Ich kobieca rywalizacja ma nieco przyćmić historyczny i polityczny kontekst. Bo ten jest przecież decydujący o dosłownie wszystkim. Dzielą je wszelkie możliwe antagonizmy – katolicki i papistowski wobec protestanckiej herezji, wrogi sobie Szkocja i Anglia, spór o koronę i prawowitą władzę. „To jest przeklęte przeznaczenie władców, że poróżnieni rwą świat w nienawiści i każda zwada furie rozpętuje” – mówi Maria. U Wiśniewskiego w fikcyjnej rozmowie wyłącznie mają przeciw sobie zazdrość, nienawiść, niespełnienie, chęć zemsty i poczucie upokorzenia. Specjalnie nie ścierają się w niej żadne racje ideowe. Choć Schillerowska Maria wyrzuca Elżbiecie Tudor „sprytną hochsztaplerkę” i profanację tronu przez „bękartą”. Elżbieta to w końcu córka Henryka VIII i drugiej spośród jego sześciu żon, Anny Boleyn. Z tej próby i z całej inscenizacji zarówno Danuta Stenka w roli Elżbiety Tudor, jak i Wiktoria Gorodeckaja, wcielająca się w Marię Stuart, wychodzą zwycięsko.

Widz jest świadkiem wytrawnych dyplomatycznych gier, intryg i machinacji, w których udział bierze cały dwór. Nikt nie jest bezpieczny. Maria wie, że w każdej chwili może zostać podstępnie zabita. Wie, że Elżbieta żyje dylematem utrzymania władzy. „Każde nieszczęście, które mnie powala, nosi nieszczęsne imię Marii Stuart” – mówi. Jej korona jest nieprawowita, a w kraju antykatolickiego terroru wciąż

działają religijni i polityczni przeciwnicy. Spór polityczny próbuje legalizować przez sąd i skazanie rywalki na śmierć pod fałszywym zarzutem zabicia męża. Szuka sposobu na pozbycie się jej, ale nie potrafi zlecić zabójstwa czy złożyć podpisu nawet pod oficjalnym wyrokiem śmierci. Tkwi między dwoma rozwiązaniami – sztyletu mordercy i katowskiego topora. „Lud domaga się, żebym podpisała. Więc zgodnie z jego wolą to zrobiłam – zrobiłam pod przymusem” – zastrzega. Tkwi między kobiecymi aspiracjami a obowiązkiem męża stanu, podstępem a walką z otwartą przyłbicą. Jest przerażona kapryśnością ludu i jego zmiennością „kierowanym strachem i ślepą nienawiścią” (ciekawa aluzja do współczesnego dramatu demokratycznych reżimów). Elżbieta do samego końca nie potrafi przyjąć odpowiedzialności, w końcu zrzuca przekazanie decyzji o wykonanie wyroku na Davisona, swojego sekretarza (Paweł Brzeszcz).

Ale jej otoczenie nie ma takich dylematów. „Nie ma czasu na mdłe miłosierdzie, dobro narodu jest najwyższym prawem” – odpowiada jej baron Burleigh. Tu o wpływy u Elżbiety oraz życie i śmierć królowej Marii walczą nieustannie Robert Dudley, hrabia Leicester (Mateusz Rusin), wielki skarbnik Wilhelm Cecil, baron Burleigh (Przemysław Stippa), Georg Talbot, hrabia Shrewsbury (Jarosław Gajewski). Ostatecznie to Mortimer (Karol Pocheć), bratanek pilnującego ją w więzieniu Amiasa Paulety (Wiesław Cichy), jest figurą autentycznego zdrajcy. Historycznie był nim Gilbert Gifford, jeden z katolickich konspiratorów, który będąc podwójnym agentem sir Francisza Walsingham, sekretarza stanu Elżbiety, wymieniał z uwięzioną Marią sfałszowane listy, wciągając ją w nieświadomość w spisek na życie angielskiej królowej. Prowokacja umożliwiła oskarżenie Marii o próbę zbycia angielskiego tronu za pomocą interwencji francuskiej i hiszpańskiej oraz próbę przywrócenia Kościoła katolickiego w Anglii. To dało Elżbiecie argument do skazania jej na śmierć, choć do samego końca targając ją wątpliwość, jest skłonna rewidować proces, cofać „ostateczne” decyzje, które zrzuca na mężczyzn. Obie kobiety zawodzą instynkt, a mechanizm politycznych trybów dosłownie je miażdży.

Muzeum Ofiar Komunizmu w Waszyngtonie

W samym sercu amerykańskiej stolicy 8 czerwca otwarto wyjątkową placówkę – Muzeum Ofiar Komunizmu. Powstała ona dzięki inicjatywie Fundacji Pamięci Ofiar Komunizmu, założonej m.in. przez prof. Zbigniewa Brzezińskiego, oraz przy wsparciu Polskiej Fundacji Narodowej

Misją muzeum jest przedstawienie Amerykanom martyrologii 100 mln ofiar komunizmu na całym świecie, w tym doświadczeń Polski, poczynając od oporu stawianego komunizmowi, zademonstrowania walki z bolszewicką Rosją w 1920 r., ukazania antykomunistycznego podziemia, do powstania NSZZ Solidarność. Muzeum ukazuje także polskie przywództwo wśród krajów dawniej podbitych i rządzonych przez komunistów.

– Wystawa stara się w jak najdotkliwszy sposób pokazać, że system komunistyczny to zło, z którym powinniśmy walczyć. Widzimy to na przykładzie takiej postaci jak Witold Pilecki, który został ofiarą tego zbrodniczego systemu. Muzeum posiada również sekcję wystaw czasowych, które powinny rozszerzyć wiedzę i pobudzić ciekawość wśród odwiedzających – mówi Michał Góras, wiceprezes Polskiej Fundacji Narodowej.

Wystawa stała, podzielona na trzy sekcje, znajduje się na parterze. Wszystkie informacje zostały przedstawione



w sposób faktograficzny. Dodatkowo znajdziemy tam wiele cytatów z wypowiedzi osób, które walczyły z komunizmem. Odwiedzający muzeum będą mogli obejrzeć dwa filmy. Pierwszy – o początkach komunizmu i bitwie warszawskiej, którego znaczną część sta-

nowi „cud nad Wisłą” i obrona Europy przed komunizmem. Drugi materiał jest poświęcony gulagom. W ostatniej sekcji muzeum znajdują się ekrany interaktywne z grą decyzyjną. Uczestnik wciela się w jedną z trzech postaci żyjących w komunizmie.

– Liczymy, że dzięki filmom i grom edukacyjnym wiedza o tych wydarzeniach będzie mogła trafić do jak najszerszego grona młodych Amerykanów. W Waszyngtonie oprócz licznych siedzib administracji publicznej znajdziemy również think tanki, instytucje pozarządowe. Chcemy, by to muzeum stało się dla pracowników tych placówek platformą edukacyjną, miejscem wymiany myśli. Jest to idealna przestrzeń do przedstawienia naszych doświadczeń – tłumaczy dr Marcin Zarzecki, prezes Polskiej Fundacji Narodowej.

Instytucja ma wyjątkową lokalizację. Mieści się w pobliżu Narodowej Promenady, rozciągającej się od Kapitolu do Białego Domu, obok innych słynnych placówek muzealnych.

Michał Korsun



biznes
TANK

Masz firmę?

Wybierz **wirtualną kartę BIZNESTANK**
w aplikacji **ORLEN VITAY** i zyskaj!



Promocja trwa od 01.05.2022 do 31.07.2022 r.

Szczegóły i Regulamin promocji dostępny na www.biznestank.orlen.pl

*Oferta obowiązuje od pierwszego zatankowanego litra paliwa.

W sieci trwają łowy

Zaczyna się niewinnie. „Hi, dear” ♥️🌸 – pisze do mojej nastoletniej córki nieznana osoba występująca jako Emily Osis (queen emily ifa). „Hi?” – odpowiada K. „Pozdrowienia, sis 🙏, błogosławieństwa, pokój i światło dla ciebie ♥️. Jak się masz?”. ♥️ „Dobrze, dzięki”. „Jestem Emily, a ty?”. „Klara”.

„Jesteś błogosławioną duszą, Klara”. (To prawda, a teraz manipulacja). „Jesteś bardzo kochana i ceniona przez swoich przodków i duchowych przewodników”. ♥️ „Nie, dziękuję, to mnie nie interesuje” – odpowiada Klara. „Ja wierzę w Boga” 🙏 – dodaje.

Okultystka z USA próbuje od początku rozmowy z przypadkową osobą narzucić swój język i duchowość. „Duchowi przewodnicy” to pojęcie występujące w szamanizmie, animizmie i spirytyzmie, szczególnie w jego nowszej odmianie zwanej channelingiem, oraz w związanych z tymi systemami wierzeń podróżach poza ciałem OOB (out of body experience). Klara, odpowiadając, dokonuje fundamentalnego duchowego rozróżnienia: wiara kontra wierzenie. Z jednej strony wiara w Boga i wyrastająca z niej potężna tradycja z potwierdzoną przez setki pokoleń skutecznością w czynieniu przynajmniej części wyznawców lepszymi ludźmi, z drugiej – świat tysięcy duchowości całkowicie niesprawdzonych co do skutków ich oddziaływania. Te zrób-to-sam-religie, podobnie jak w pierwszych wiekach po Chrystusie różne odmiany gnostycyzmu, kotłują się dziś w głowach wykorzenianych ze swoich tradycji konsumentów popkultury.

Queen Emily liczy na ignorancję rozmówcy i manipuluje, unieważniając rozróżnienia, zacierając granice. Mówi mojej córce, że „jest ceniona przez swoich przodków” i na jednym oddechu przywołuje „przewodników duchowych”. Każdy człowiek ma przod-



ROBERT TEKIELI

ków, ale „przewodników” w świecie duchowym mają tylko osoby inicjowane, otwarte na rzeczywistość demoniczną.

„Moja droga, duchowość nie dotyczy religii, jest rzeczą umysłu. Jestem również chrześcijanką” – w ten sposób Królowa Emily próbuje poradzić sobie z nastolatką wierzącą w Boga. To kolejna manipulacja, żaden synkretyzm nie jest już chrześcijaństwem, Emily nie jest chrześcijanką tak samo jak ktoś, kto wszczepia sobie guzy na czoło i rozcina język, by go rozdziwić, nie jest salamandrą, choćby naprawdę się nią czuł.

Kolejnym etapem manipulacji jest próba zatarcia granicy między światem duchowym a światem umysłu i bezosobowych „energii”. Twierdzenie, że „duchowość nie dotyczy religii, jest rzeczą umysłu”, to absurd, ponieważ przewodnicy duchowi to obdarzone wolną wolą inteligencje, demony. Nie są wytworami umysłu. Są osobami. Duchowość zatem BEZWARUNKOWO dotyczy religii. Czyli uporządkowanego systemu przekonań opisującego relacje między światem dającym się zbadać na-

rzędziach nauki oraz zmysłami a światem duchowym, który jest niedostępny poznaniu empirycznemu.

Ciąg dalszy wykładu okultystki z Kalifornii: „Duchowość polega na uznaniu, że wszyscy jesteśmy z sobą nierozdzielnie połączeni mocą większą od nas wszystkich i że nasze połączenie z tą mocą i z sobą nawzajem jest oparte na miłości i współczuciu. Taki jest sens życia”. „Nie sądzę” – odpowiada Klara. „Przepraszam, to, co mówisz, brzmi jak magia, coś złego, jak wróżenie kartami tarota” – odpowiada moja córka, ponieważ w opisie swojego awatara Queen Emily podaje, że wróży w ten właśnie sposób.

„Zaufaj i uwierz mi, że ci pomogę, kochanie” – pisze do mojej nastoletniej córki osoba poznana kwadrans wcześniej i dalej próbuje ją zdominować: „Nie uprawiam magii”. (Nieprawda lub kłamstwo). „Jestem na drodze miłości ♥️ i światła 🌟, pokoju 🕊 i szczęścia”. (Nieprawda lub kłamstwo). „Pomogę ci wejść w światło”. (Narzucanie autorytetu, propozycja demonicznej inicjacji). Już teraz mogę powiedzieć, że naprawdę cię lubię”. (Tak szybko? Nieadekwatne skracanie dystansu). „I chciałabym się z tobą zaprzyjaźnić, żeby nauczyć cię wszystkiego, co musisz wiedzieć o sobie, i kontrolowania swojego przepływu energii, kochanie”. („Musisz” – dlaczego? Jakiej „energii”? Nie ma ani jednego badania naukowego potwierdzającego istnienie jakiegokolwiek oddziaływania poza elektromagnetyzmem, grawitacją i oddziaływaniami subatomowymi: słabym – bozony, silnym – gluony). „Źródło mocy tarota jest duchowe” – odpowiada moja córka. „Więc nie chcesz mojego szczęścia. Jeśli twoje fascynacje tą formą duchowości i »energiami« się skończą, bo będziesz miała duży problem z sobą, napisz do mnie. Mój tata pomaga ludziom takim jak ty od 25 lat” – odpowiada Klara.

„Zaufaj mi”. (Dlaczego Emily sądzi, że istnieje do tego najmniejszy choćby powód?). „Chcę ci pomóc, kochanie”.

(Dobrze reagujemy na życliwość). „Posiadasz wielki potencjał”. (Każdy lubi być doceniony). „Jestem pewna, że nie jesteś tego świadoma”. (Narzucanie nieuprawnionego autorytetu – wiedza „tajemna”). „Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się, jakie są twoje najpotężniejsze dary?”.

„Tak. Moim największym darem jest wiara w moc Jezusa Chrystusa. On pomaga mi w życiu każdego dnia. Błogosławię cię w imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego. Amen”.

„Tak kochanie. Ja też wierzę. Niech cię Bóg błogosławi” – odpowiada demoniczna akwizytorka o awatarze ze zdjęciem milej, młodej dziewczyny i podejmuje ostatnią próbę: „Jak w skali od 1 do 10 możesz ocenić swoją duchowość?”. „W duchowości nie ma skali” – odpowiada Klara. „Masz wielką moc, możesz ocenić swój poziom duchowy. I wtedy będę wiedziała, jak ci pomóc, kochanie”. „Nie prosiłam cię o pomoc. Dla ludzi wierzących w Boga jest jeden poziom duchowości. Jezus jest największą Miłością”.

I tak zakończyła się rozmowa. Następnego dnia na Messengerze nie można było już znaleźć nicka Queen Emili.

Zastanawiałem się, czy była to osoba zafascynowana magią, czy algorytm firmy sprzedającej fałszywą nadzieję, jak Wróżbita Maciej w TVN. Po chwili poszukiwań okazało się, że Queen Emili to „spiritual mother advisor, fortune teller, relationships”, aktywistka z newage'owej IFA Foundation z Florydy. W sumie nie ma żadnego znaczenia, czy osoba wciągająca dzieci w demoniczną inicjację jest naiwna, czy opętana. W sieci trwają łowy.

Pierwszy z brzegu promujący się w necie polski okultysta, młody chłopak – negatywnie optymistyczny: tarot, magia, rozwój świadomości nonbinary. Na Instagramie: 49,8 tys. obserwujących. Na TikToku 288,7 tys. fanów. W ciągu ostatnich czterech miesięcy przybyło ponad 19 tys. Tytuły niektórych jego filmików: „Krótka sesja tarota”, „Czy byłem opętany”, „Zaklęcie na szybką kasę?”. Kolejny łowca wolności: primamateriaalchemist, 166,7 tys. obserwujących na TikToku. Kolejny: daanieswierczynski, witch tarot (konsultacje na IG),



astrologia, magia – 121,7 tys. obserwujących. W ciągu kwadransa znalazłem kilkanaście podobnych kont. To samo na YouTube: Klaudia Pingot: 332 tys. subskrybentów. Filmiki po 1,5 mln odsłon. I tytuły: „Jak chronić swoje pole i blokować negatywną energię innych?” Naukowe dowody wudu i medytacja róży”, „Jak zacząć medytować z intencjami, aby się zmanifestowały. Poznaj moc Quantum”. I podstawowy fałszywy komunikat: „To nie magia, to nauka. Odblokuj swój potencjał”.

Dwupunkt, energie, vibracje, czakramy, astrologia, horoskopy, irracjonalizm, stokenizuj swoją duszę, tulpy, klątwy zamawiane w necie, SITA, tarot, capoeira, prawo przyciągania, „Potęga podświadomości i umysłu. Zrób dziś wizualizację 7.0”, „Przyciągaj miłość, obfitość i zbuduj poczucie własnej wartości”, „127 afirmacji mocy, 432 Hz. Słuchaj każdego dnia. Więcej magii na co dzień”. To wszystko czeka na nasze dzieci. Nowe wcielenia starych zagrożeń duchowych, oszustw, ideologii i psychomanipulacji.

Nie da się wygrać z łowcami wolności. To znaczy trzeba walczyć, opisywać, pokazywać skutki promowanego promiskuityzmu, rozchwiewania poczucia tożsamości płciowej u nastolatków i dzieci, wciągania w toksyczne duchowości. Ale to zorganizowany przeciwnik, od 1968 r. obrosły w instytucje, mający kolosalne pieniądze, polityków globalnych, potężne organizacje międzynarodowe na usługach. Nie wygramy z ONZ, WHO, UE, nie wygramy z potężnym lobby medialnym, z infosferą, która została przesiąknięta okultyzmem New Age, neomarksizmem, neomaltuzjanizmem, genderyzmem, ideologiami radykalnego fe-

minizmu, ba, dziś prawa człowieka są definiowane przez wrogów Kościoła, rodziny i państw narodowych, przez ludzi odrzucających klasyczne definicje człowieka, prawdy, logiki, nawet samą potrzebę definiowania.

To oznacza, że przegraliśmy? Bynajmniej. Musimy tworzyć instytucje, by gorącą wiarą, pasją, profesjonalną sztuką rodzić Chrystusa w sercach naszych dzieci. Tak od 19 lat dzieje się na największym na świecie koncercie uwielbienia „Jednego serca, jednego ducha” w Rzeszowie. Artyści chrześcijanie pokazują tam, że życie, radość, wewnętrzny pokój są gdzie indziej. Ostatnie koncerty przed pandemią gromadziły ponad 50 tys. widzów. Z Jankiem Budziaszkiem i Marcinem Pospieszalskim zapraszam 16 czerwca w Boże Ciało na godzinę 19.00 do rzeszowskiego parku Sybiraków. Bóg ratuje nasze dzieci.

A już tydzień po Bożym Ciele Dreamersland Festival: „Będziemy doświadczać jedności, dzikości, będziemy poszerzać postrzeganie, odkrywać tajemnice nauki, przyrody, człowieka. Muzyka, cacao, rytm, taniec, natura, warsztaty, prelekcje, body art., nauka, wiedza, sauna, ogień, woda. Kręgi improwizacji, alchemia, oddech, joga, doświadczenie, opowieści i baśnie”. Nastoletni dzieciak, który zanurzy się w ten modny i ekscytujący świat doznań i pozwoli łowcom wolności oprowadzać się „po zakamarkach ducha, umysłu i wyobraźni”, nie będzie już wasz.

Żyjemy w kraju, w którym ludzie z natężoną uwagą obserwują dziś przełatające nisko śmigłowce i samoloty. Siła rodzi się z nadziei.

Robert Tekieli
Polskie Radio, Radujście.tv



Świat potrzebuje Mavericka

Nie będę podawał liczb, jakie wykręcił „Top Gun: Maverick”, bo w momencie pojawienia się tego tekstu są one pewnie już o wiele wyższe niż w czasie, gdy go pisałem. Tylko w polskich kinach w weekend otwarcia ten film zarobił ponad milion dolarów! Po dwóch tygodniach miał na koncie prawie 300 mln. Dwa dni wystarczyły mu na przekroczenie 150 mln w światowym box office. To najlepsze otwarcie w karierze Toma Cruise’a, który przebił nawet premierę



dzisiejszych 40-latków, chętnie kupujących ubrania i gadżety z emblematami popkulturowych symboli tamtego okresu. Jednak przypadek „Top Gun” jest szczególny. Dostaliśmy bowiem film idący w poprzek wszystkiemu, co oglądaliśmy w wysokobudżetowym kinie ostatniej dekady.

Nie ma już na pokładzie nieżyjącego Tony’ego Scotta. Joseph Kosinski doskonale jednak wszedł w buty maestro od kina akcji, którego zawsze lubilem bardziej niż jego bardziej uznanego brata Ridleya. „Top Gun” z 1986 r. był jednym z filmów definiujących

kinu lat 80. Heroizm, patriotyzm, cnota męstwa, przyjaźń i Ameryka jako żandarmeria świata – w epoce konserwatywnej kontrrewolucji Ronalda Reagana takie kino było na piedestale. Rocky Balboa pokonywał wówczas na oczach Sowietów Ivana Drago, a Clint Eastwood latał z amerykańską flagą w „Firefoxie”. Tom Cruise jako Maverick był przesiąknięty jankeską arogancją, brawurą i odwagą, a Iceman otworzył Vala Kilmera reprezentował amerykańską precyzję. Wybitna krytyczka filmowa Pauline Kael widziała w ich relacji homoerotyczny podtekst, od czego sam Scott zresztą się specjalnie nie odżegnywał. Teorię rozszalał potem Quentin Tarantino w swoim monologu dostępnym na YouTube. Idealny punkt wyjścia do sequełu kręconego w czasie kulturowej rewolucji, nieprawdaz?

A jednak Tom Cruise, który jest producentem „Top Gun: Maverick” i przez lata nie chciał kręcić kontynuacji bez odpowiedniego scenariusza, poszedł w zupełnie inną stronę. Film Kosinskiego nie rozwija może tak radykalnie historii ikony lat 80. jak świetny „Creed” w postać Rockiego Balboa, który toczył walkę z nowotworem. Niemniej jednak wypełnia mitologię Mavericka w nie mniej ciekawy sposób. Pete „Maverick” Mitchell (Cruise) powinien być dziś admirałem albo zasiadać w Kongresie. Arogancja i dezyntolтура powodują, że zamiast kolejnych gwiazdek na mundurze wciąż testuje myśliwcę US Army. Jest żywą legendą, choć dla młodego pokolenia w szkole Top Gun zamienił się w skałmieniały posąg. Gdy nie do końca określani (trudno jednak dziś nie dawać im kacapskiej facjaty) bandyci w mundurach przejmują broń

spielbergowskiej „Wojny światów”. W czasach postpandemicznych, gdy drastycznie i na stałe spada liczba widzów w kinach, oraz blitzkriegu platform streamingowych wyniki sequełu „Top Gun” są szokujące.

Jeszcze bardziej szokujący musi być inny fakt. Szokujący dla wszystkich, którzy wierzą w nieuchronność zmian kulturowych. „Top Gun” jest sequelem ikonicznego dla epoki reaganizmu filmu, który nie został sklejony pod nowe czasy. Oczywiście granie na nostalgii i sentymencie lat 80. nie jest dziś niczym nowym. „Strangers Things” braci Dufferów rozpoczął kilka lat temu modę na retro z tego okresu. Rynek dokonał reszty, polując na portfele

Kino



poleca



atomową i świat znów staje na krawędzi apokalipsy, Maverick ma wyszkolić najlepszych absolwentów Tom Gun i pokierować ich „niemożliwą misją”. W drużynie (tym razem złożonej również z kobiet) jest m.in. Bradley „Rooster” Bradshaw (Miles Teller), czyli syn Goose’a – najlepszego przyjaciela Mavericka, o którego śmierć Pete się całe życie obwinia. Wątek zastępczego ojcostwa, mierzenia się syna z legendą ojca, przepracowanie traumy, męska rywalizacja przenoszona z pokolenia na pokolenie – to wszystko jest w „Top Gun” doskonale rozegrane. Dochodzi do tego uderzający w teorię Kael i Tarantino wątek miłosny z niegdyś porzuconą przez Mavericka ukochaną Penny (Jennifer Connelly) i poruszające zamknięcie rywalizacji z Tomem „Icemanem” Kazanskym. Do roli na chwilę powrócił zmagający się od 2014 r. z rakiem gardła Val Kilmer, który dzięki cudom techniki przemówił swoim głosem. Cruise i Kilmer byli w 1986 r. ikonami męstwa. Scena meczu siatkówki plażowej stała się kultowa i plakatuowa dla kina lat 80. Dziś Kilmer jest wyniszczonym chorobą mężczyzną po tracheotomii, co smuci o tyle, że pamiętamy go z ról Świętego, Batmana i „boga seksu” – Jima Morrisona. Cruise jest zaś wciąż niezniszczalny. Zaczynam podejrzewać, że rola Lestata w „Wywiadzie z wampirem” Jordana ma drugie dno.

Spektakularne, głośnie, pełne adrenalinowy pojedynki powietrzne, ścieżka dźwiękowa oryginału doprawiona pięknym hymnem Lady Gagi, doskonale wyważony patos – to czyni „Top Gun” jednym z najwyżbitniejszych sequeli w historii amerykańskiego kina. Nie to jednak zdumiewa w sukcesie tej produkcji. Nie tylko jest

to powrót do czasów, gdy jedna gwiazda (Tom Cruise to chyba ostatnia gwiazda Hollywood w starym stylu) ciągnie cały film na swoich ramionach, co w naszpirowanych gwiazdopodobnych produkcjach z logo Marvela i DC jest czymś niespotykanym. Ten film jest też powrotem do spojrzenia na Amerykę, które zostało w ostatnich latach zdeptane. Ameryka nie jest tutaj mocarstwem łamiącym prawa człowieka w imię imperialnych ambicji. Ameryka nie ma wstydić się swojej siły. Ameryka jest tutaj uzbrojona po zęby i bezwzględna dla swoich wrogów. Nie ma w tej opowieści cynizmu ani wyrachowania, choć Cruise z Kosinskim wiedzą, gdzie przyciskać, by grać na sentymentalnych nutach. Jest za to Ameryka jako strażnik porządku światowego. Jest Ameryka, która wypełnia zobowiązania wobec swoich sojuszników z NATO. Jest Ameryka, której duch zwycięża, gdy zabraknie dostępu do techniki (ucieczka w F-14 przed ultranowoczesnymi maszynami wroga to reaganizm w czystej postaci) i Ameryka, która wierzy w pojęcie „wolność”.

Ten film mógłby powstać w erze rządów neokonserwatystów, choć bardziej tych z orbity Clintona, a nie Busha. Na pewno nie jest to film trumpowski, którego skrzydło gra kartą izolacjonizmu. „Top Gun” wpisuje się mocno w bidenowską wizję Ameryki, która dziś niespodziewanie eksplodowała po napaści Rosji na Ukrainę. To polityka moralnej supremacji demokratycznej Ameryki ponad autorytaryzmem. Zarówno w wydaniu bliskowschodnim, jak i wschodnioeuropejskim i azjatyckim. To polityka z „kazania” Ronalda Reagana o mieście na górze rozświetlającym mroki świata. Dla naszej

części Europy takie podejście jest wybawieniem. Po traumie irackiej demokratyczny mesjanizm został niemal wyeliminowany. Po serii hollywoodzkich filmów piętnujących „wyjątkowość amerykańską” Tom Cruise kierują na nią znów wzrok. Trzeba to docenić, będąc mieszkańcem kraju leżącego obok ruskiego potwora. Można nawet pomyśleć, że „Top Gun” cynicznie został wprowadzony do kina na fali odrodzenia się amerykańskiego ducha z epoki zimnej wojny, wywołanym atakiem faszystowskiej Rosji na Ukrainę. Ten film został jednak nakręcony w 2019 r. i czekał na premierę przez pandemię COVID-19. Wyprzedził swoje czasy?

Cruise był już prorokiem wyjątkowo niebezpiecznej sekty scjentologów. Wolę go w roli proroka z amerykańską flagą na ramieniu. Nie flagą z – skądinąd wybitnego artystycznie – „Urodzonego 4 lipca” lewicowego Olivera Stone’a, który dziś ramie w ramie z ikoną trumpizmu Tuckerem Carlsonem oskarża NATO i Ukrainę o prowokowanie Rosji. Niech pozostanie prorokiem oblepionej patosem, umiędionionej Ameryki. Czuję się bezpieczniej, mając ją u boku. Nawet jeżeli jest tylko – i aż – symbolem.

„Top Gun” wszedł na światowe ekrany w dniu premiery czwartego sezonu (tym razem zatopionego nawet w cravenowski slasher i body horror rodem z Cronenberga!) „Stranger Things”, w którym Rosjanie znów są ekranowymi lądakami jak w okresie zimnej wojny. Liczę, że ten trend się w popkulturze utrzyma. Nawet już po wyeliminowaniu, pożałuj Boże, maczystowskiego Putina. Świat jednak potrzebuje Mavericka. Liczby nie kłamią!

„TOP GUN: MAVERICK” W KINACH

Mój świat to oczywiście giełda

O nieco niedocenianym sukcesie Polski z 2018 r. O zakupach, inwestycjach i źródłach pesymizmu.

I o tym, jak wykorzystać wyjątkowy czas dla polskiej gospodarki z **Markiem Dietlem**, prezesem Giełdy Papierów Wartościowych w Warszawie, rozmawiają Maciej Wośko i Stanisław Koczot („Gazeta Bankowa”)

Zacznijmy od giełdowych kamieni milowych ostatnich pięciu lat. Kieruje pan warszawską giełdą od 2017 r. Jak pan ocenia ten czas? Co uznałby pan za takie milowe kroki na rynku kapitałowym w Polsce?

Marek Dietl: Patrząc na cały rynek, nieco odchodząc od samej giełdy, najważniejszym wydarzeniem był awans Polski do rynków rozwiniętych. Od 24 września 2018 r. Polska jest klasyfikowana jako rynek rozwinięty (developed market) przez FTSE Russell. Innym krajom, którym taki awans się udał – Korei Południowej czy Izraelowi – zajęło to ponad 50 lat. My mieliśmy 27 lat. To ogromny sukces całego układu instytucjonalnego funkcjonującego wokół polskiego rynku kapitałowego. FTSE Russell bada instytucje życia gospodarczego kraju i ten awans oznacza, że są one na światowym poziomie. Wszystko, co działo się potem, wynika właśnie z tego wydarzenia. Wiele osób wieszczyło, że to koniec i po prostu zosta-

niemy małym rynkiem rozwiniętym w grupie wielkich rynków zamiast dużym rozwijającym się. Dziś wiemy, że właśnie dzięki awansowi z 2018 r. wiele rzeczy się udało. Nie wiem, jak potoczyłyby się losy debiutu Allegro czy Pepco, gdyby nie awans do FTSE Russell. Jestem pewien, że każdy pomyślałby pięć razy, czy startować na rynku rozwiniętym, czy na emerging market, w gospodarce zaawansowanej, ale tylko rozwijającej się.

Nie potrafiliśmy tego wygrać i pochwalić się wizerunkowo, że wydarzyło się coś ważnego?

Nie byliśmy przygotowani. Choć wiadomo było, że awansujemy, w szufladach z napisem „rynek rozwinięty” było pusto. Musieliśmy przygotować się do tego w bardzo krótkim czasie. Mamy doskonałą umiejętność importowania instytucji z zewnątrz, ale słabo eksportujemy własne. Niech przykładem będzie fakt, że nawet jeśli nasi ekonomiści wykonują jakieś

prace dla innych krajów, są zleceniobiorcami np. Banku Światowego. Nie mamy wciąż chęci, by eksportować polskie rozwiązania instytucjonalne i budować wokół nich percepcję naszego kraju. Francuzi czy Niemcy dofinansowują książki ekonomistów wydawane w innych językach i eksportują w ten sposób swoje instytucje. A my mieliśmy kasy chorych zaimportowane z Niemiec, OFE zaimportowane ze Stanów Zjednoczonych via Chile. Wciąż spotykam inwestorów, którzy upewniają się, czy jesteśmy rynkiem rozwiniętym.

Na czym miałyby polegać przygotowanie do takiej zmiany?

To zupełnie inni inwestorzy. 78 proc. aktywów na giełdach jest inwestowanych przez fundusze właśnie na rynkach rozwiniętych. Do tej pory nikt z Polski do nich nie pukał. Fundusze specjalizujące się w rynkach rozwijających się znały już Polskę, a nasi maklerzy – znali ich. Tuż po ogłosze-

niu w 2017 r., że za rok będzie awans, zaczęliśmy dopiero pracować nad nowymi perspektywami.

Iniewiele osób wiedziało, co tak naprawdę oznaczał ten awans.

Mam świadomość, że żyję w bańce informacyjnej, i tu wiedza na temat polskiego oraz globalnego rynku inwestycyjnego jest powszechna. Ale wystarczy wychylić się nieco poza tę bańkę i zobaczyć, jak mało osób wie i rozumie, że mimo wielu ułomności w naszym systemie gospodarczym – tak chętnie podkreślanych przez wiele środowisk – nie dostrzegamy pozytywów i osiągnięć. Nie umiemy się nimi cieszyć. Jest w tym pewien paradoks, że gdy spotykam się ze swoim odpowiednikiem z innego kraju, ten gratuluje nam, że jesteśmy w gronie rynków rozwiniętych. Gdy idę na konferencję polskich ekonomistów, słyszę, że albo nie wiedzą, albo nie słyszeli, albo uznają to za jakąś pomyłkę, narzekając, że międzynarodowe instytucje nie znają realiów. Tymczasem na podstawie ich decyzji inwestowane są miliardy. Trudno więc o pomyłkę. Weszliśmy do uniwersum, w którym wiele instytucji uzyskało mandat do inwestowania w Polsce. To też jedyny mocny argument na przyciągnięcie firm poszukujących inwestorów, bo na rynku rozwiniętym mamy dostęp do największych i do olbrzymiej liczby inwestorów.

Drugi kamień milowy?

Chcieliśmy po prostu rozwijać giełdę. To się udało, choć trudno wskazać takie jedno kluczowe wydarzenie. Pięć lat daje jednak pewien obraz postępu. Pierwsza pięciolatka po 2000 r. to zysk GPW na poziomie 48 mln zł, druga – 117 mln zł, potem 112 mln zł, bo w 2014 r. wydarzył się skok na OFE, co mocno uderzyło w giełdę, aż mamy wyniki za 2021 r. – 155 mln zł. To się udało, ale trzeba pamiętać, że ani miejsce wśród krajów rozwiniętych, ani wyniki finansowe nie są dane raz na zawsze. To olbrzymia praca do wykonania. Trzeba dbać o rynek, o instytucje. Wygląda jednak na to, że nie jest źle, bo kolejna agencja indeksowa MSCI – tak przypuszczamy – w ciągu dwóch, trzech lat uzna nas za rynek rozwinięty.

To bardzo ważna i dobra wiadomość.

Tak, bo druga ważna agencja Stoxx też klasyfikuje Polskę w gronie krajów rozwiniętych od 2018 r., więc byłoby to pewne dopełnienie, komplet.

Nie wymienił pan Strategii Rozwoju Rynku Kapitałowego – a mam wrażenie, że lata całe na ten temat dyskutowaliśmy. Strategia wreszcie jest...

Ale jeszcze niewdrożona w całości. Z naszej perspektywy, gdyby była wdrożona od A do Z, to przychody GPW byłyby o 41 mln zł wyższe. To jeszcze przed nami. Ważne, byśmy nie zatrzymali się na tych najniższych rosnących owocach, które łatwo dało się zerwać i zebrać, tylko – optymalizowali. Przykład? Zmiana WIBOR. Optymalnym dla nas indeksem dla stóp referencyjnych do kredytów o stałej stopie procentowej byłby indeks Repo (WRR – Warsaw Repo Rate). Tu dyskutujemy. Wciąż nie udało się też uruchomić platformy pożyczek papierów wartościowych. To chyba dwie największe rzeczy, które niemal na każdym spotkaniu z inwestorami są poruszane w dyskusji.

Przejdźmy zatem do bieżących wydarzeń na rynku kapitałowym, mierzącym się z kryzysami surowcowym, energetycznym i wojną na Ukrainie. Czy nie przypomina to kryzysu z 2008 r. – wtedy również mieliśmy do czynienia z szokiem naftowym i radykalnymi decyzjami banków centralnych?

Osobiście porównalbym to raczej do kryzysu w 1987 r. Kryzys sektora bankowego, w którym nastąpiły olbrzymia dezorientacja i zaburzenia funkcjonowania systemu finansowego, ostatecznie zakończone finałem zimnej wojny. W 1992 r. skorzystał z tego Clinton, który na rozluźnieniu w gospodarce światowej wygrał wybory. Już tego nie pamiętamy, ale jeszcze w 1988 r. Henry Kissinger stwierdził, że prędzej Kalifornia odłączy się od Stanów Zjednoczonych, niż upadnie blok sowiecki. Dziś wiemy, że to szczęśliwie była chybiona diagnoza. Ale to pokazuje też, że wtedy mieliśmy do czynienia z ogromnym pesymizmem, a kryzys finansowy, trans-

mitowany z rynku amerykańskiego na cały świat, sprawiał wrażenie długotrwałego. Potem mieliśmy ciąg „pozytywnych” wydarzeń – Rosjanie wycofali się z Afganistanu, Gorbaczow odpuścił Polsce i był 1989 r., a potem zawiązała się koalicja wokół pierwszej wojny w Zatoce Perskiej. Dziś mamy podobną sytuację – spłot czynników o podłożu finansowym, surowcowym i związanych wojną rozpetaną przez Putina. Do tego sankcje, coraz trudniej robić biznes, inflacja, Chiny – atmosfera wyczekiwania. Trudne, jeśli nie niemożliwe prognozy rozwoju wojny. To rodzi pesymizm, który pewnie był też obecny właśnie w 1987 r.

Sformułowanie „kraj frontowy” nam nie pomaga.

Inwestorzy czekają na rozwój sytuacji. I kiedy rozmawiamy, słyszę: „Gospodarka jest zdrowa, inflację opanujecie, tylko nie gońcie z tymi stopami. Problem to masefafa euro, Estonia, ale w Polsce nie – poradzicie sobie”. Pytam więc: „To może spółki za drogę?”. Isłysz: „Nie, skąd...”. To zapraszam do inwestowania, ale w odpowiedzi słyszę: „A nie, poczekamy, przyglądamy się”. Dziwne rozmowy.

No tak, ale w kontekście przyszłej odbudowy Ukrainy mamy szansę stać się hubem pomocowym. Rozmawiamy już o tym?

Dużo dyskutowaliśmy właśnie o pomocy w odbudowie Ukrainy w Davos. Dwa wnioski: inne kraje, w tym głównie Niemcy, nie zasypiają gruszek w popiele i mocno zabiegają, żeby te punkty koordynacyjne wsparcia do odbudowy Ukrainy były na ich terenie. Wtedy po polskich torach przejadą na Ukrainę pociągi Deutsche Bahn, a to – powiedzmy w ten sposób – nie wyczerpuje naszych ambicji. Oprócz tego musimy szczególnie akcentować fakt, że jako kraj, naród nigdy nie mieliśmy tendencji do wasalizowania sąsiadów i potrafimy poprowadzić partnerską odbudowę Ukrainy z Ukraińcami. Mamy dobre relacje. To będzie sprawdzian siły naszej dyplomacji, bo rzeczywistość nam sprzyja, ale musimy popracować nad jej percepcją.

Mamy do czynienia z potężnymi zmianami geopolitycznymi. Ich skala, jak pan sugeruje, wykracza daleko poza granice Ukrainy. Stąd ta analogia do przełomu lat 80. i 90.?

Ja widzę duże nagromadzenie pesymizmu. Uczestniczę w konferencjach, w których każdy prześciga się w tym, żeby zakomunikować jak najczarniejszy scenariusz – a to gospodarka się zatrzyma, Chiny zbankrutują przez inwestycje w nieruchomości, a to podwyższa się poziom wody i wszystkich nas zaleje, Japonia zaczyna się zbroić, Niemcy, zamiast ekspandować gospodarczo, przeczaczą 100 mld euro na rozwój armii, a jeszcze będzie nowa pandemia. Gdzie się nie spojrzy, jest źle. Tak było w Polsce w końcu lat 80., jak pamiętam. Do debaty Miodowicz-Wałęsa, która obudziła trochę nadzieję, było szaro, buro, beznadziejnie, nic nie działało, a jeszcze Kissinger mówił, że komuna nigdy nie padnie. Więc jeśli Dawid pokonałby Goliata, choć ten Goliat trochę był na rauszu, to byłby może wreszcie jakiś powód do optymizmu. Okazałoby się wtedy, że jest jakaś perspektywa.

Mówił pan o inwestorach, którzy czekają. Pierwszy kwartał był bardzo ubogi pod względem IPO nie tylko w Polsce, ale także na rynkach globalnych. Żadnej pierwszej oferty publicznej nie przeprowadzono w pierwszym kwartale 2022 r. na Głównym Rynku GPW. Dlaczego?

Przed wszystkim w takich warunkach bardzo trudno wycenia się biznesy. Nie wiadomo, co wstawić do mianownika – stopy dyskontowej. Jeśli ktoś powie mi, że wie, jaka będzie inflacja w najbliższym czasie, jaki koszt kapitału, jakie będą stopy – to popukałbym się w głowę. Tego się dziś nie da przewidzieć. Równie dobrze można postawić 100 ekonomistów i jeśli każdy postawi inną prognozę, jest szansa, że jeden nie będzie się mylił. Wracając do inwestowania, mój świat to oczywiście giełda, ale na niej świat się nie kończy. Widzimy spore ożywienie w inwestycjach bezpośrednich. Widzę, że jest duże zainteresowanie, powiedzmy, ruch w kierunku tzw. wojennych for-

tun. Czyli chodzi o zaopatrzenie dla armii, inwestycje w bezpieczeństwo. W Polsce są już amerykańskie wojska. Można przewidywać, że na zbrojenia będziemy wydawać więcej. Pytanie, jak to zrobić, żeby to nie były inwestycje jak ubezpieczenie – kupujemy polisę w nadziei, że nic się nie stanie, i zakładamy, że jeśli do wypadku nie dojdzie, to pieniądze inwestowane w ubezpieczenie się zmarnowały. Tylko że nikt nie chce przecież wypadku. Ale dobrym przykładem takich inwestycji są Tajwan i Izrael. Oba kraje inwestowały w wojsko, podnosząc konkurencyjność gospodarki. Upraszczając, Izrael wykorzystał zjawisko dual use, gdy produkty, technologie mają zastosowanie militarne i cywilne. Pytanie, czy my tak umiemy, czy mamy kompetencje? Z kolei instytuty Łukasiewicza – Sieć Badawcza Łukasiewicz (moim zdaniem to jedna z najważniejszych reform rządu Prawa i Sprawiedliwości) – przypomina tajwańskie instytucje. Ich celem było stworzenie firm, które będą najważniejszymi dostawcami dla amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego. To dało im ochronę i jakieś gwarancje bezpieczeństwa. Mamy więc olbrzymią szansę na skok konkurencyjności. Cyberbezpieczeństwo może być rzeczywiście takim obszarem, w którym moglibyśmy rozsądnie wydawać środki, podnosząc konkurencyjność międzynarodową.

GPW przejęła większośćowy pakiet w armeńskiej giełdzie. W Erywanii znajduje się siedziba Federacji Giełd Euroazjatyckich. Spoglądamy z Warszawy w stronę Wschodu?

Historia tej transakcji opiera się na myśli, że liderzy, którzy zakładali warszawską giełdę, byli wtedy 20–30-latkami, dziś są ekspertami. To najlepszy moment, by przekazali tamte doświadczenia, byśmy wykorzystali ich wiedzę, którą wtedy zdobyli. Proszę zwrócić uwagę, że nikt nie pamięta, jak zakładano giełdę londyńską. A my mamy tę możliwość, by skorzystać z wyjątkowego doświadczenia tamtego pokolenia. Można założyć firmę doradczą, tyle że nikt nie chce korzystać z doradców. Słyszymy: „Zainwestujcie, transferujcie wiedzę i sprawdźcie sami, jaki będzie

skutek”. Zaczynamy od Armenii, ten rynek wydał nam się z punktu widzenia potencjału ludzi, otwartości i gotowości implementowania naszej technologii, naszych rozwiązań niezwykle atrakcyjny. Ormianie są gotowi do ekspansji – więc tak, jest to też spojrzenie na Wschód. Jeśli będziemy kupowali kolejne giełdy w regionie – czego nie wykluczam – to z pewnością za pośrednictwem giełdy w Erywanii. Tam musi powstać nasze centrum sprzedażowo-serwisowe dla technologii.

Nie unikniemy pytania o inflację i jej wpływ na rynek kapitałowy.

Ku mojemu zaskoczeniu amerykańskie spółki giełdowe zwiększyły swoje inwestycje. I to o 20 proc. W co inwestują? Okazuje się, że głównym tematem jest reshoring, czyli powrót produkcji do kraju. Jeśli takie zjawisko będzie też narastało w Europie, to jesteśmy w Polsce na to dobrze przygotowani. A najlepszy sposób na pokonanie inflacji to oczywiście nakłady inwestycyjne, które zwiększają efektywność, wydajność produkcji, zmniejszają ryzyko turbulencji. To dobra tendencja dla Polski. Jeśli europejskie spółki będą wracać na kontynent, to Polska jest dobrym miejscem na posadowienie produkcji. Przestał działać globalny system „just in time”. Wiemy już, że lepiej ponieść wyższe koszty, ale mieć pewność, że produkt zostanie dostarczony. Krótkoterminowo – jakkolwiek jest to może dość uproszczona analiza – uważam, że ceny surowców już nie rosną. Ktoś zwiększy produkcję, ktoś ustabilizuje dostawy. Technicznie rzecz biorąc, inflacja na początku przyszłego roku nie powinna być tak wysoka. Myślę, że jesteśmy blisko maksimum. No i... zmniejszy się popyt. A skoro produkty będą w magazynie, cena zacznie spadać. Wyhamowanie dynamiki inflacji da pewien oddech bankowi centralnemu i pozwoli na sprawdzenie efektów decyzji RPP.

A jednak prognozujemy... Zostanie pan prezesem GPW na kolejną kadencję?

To pytanie do akcjonariuszy, którzy podejmą decyzję podczas walnego zgromadzenia 15 czerwca.



Forum Wizja Rozwoju

V edycja
Gdynia 20-21 czerwca 2022r.

Patronat honorowy Prezesa Rady Ministrów



Honorowy patronat
Prezesa Rady Ministrów
Mateusza Morawieckiego

Partnerzy merytoryczni



Minister
Edukacji i Nauki



Ministerstwo
Finansów



MINISTERSTWO
INFRASTRUKTURY



Ministerstwo
Klimatu i Środowiska



Ministerstwo Rodziny
i Polityki Społecznej



MINISTERSTWO
ROLNICTWA
I ROZWOJU WSI

Partnerzy +



KGHM
POLSKA MIEDŹ

Partnerzy

InfIn Instytut
Finansów

PHN

**Rzecznik
Finansowy**
www.rf.gov.pl

Partner targów pracy |



www.wizजारozwoju.pl

eprasa.pl 4df7ec2093

RODZINNE SMAKI:

KATARZYNA BAREJA O KULINARNYCH TALENTACH OJCA

Dynia Stanisława Barei

Kuchnia była najważniejszym miejscem w domu. Tata gotował z pasją i z rozmachem, a ślady tego były widoczne na ścianach, szafkach i podłodze.

Zawsze po powrocie ze szkoły kierowałam swoje kroki do kuchni. Tam tata przygotowywał obiad, co było jego stałym domowym zajęciem.

Pozwalał mi na zrobienie sobie kanapki, a ja następnie pomagałam mu w obieraniu warzyw i zmywaniu naczyń. Spędzaliśmy w kuchni ze dwie godziny dziennie na pogawędkach i pichceniu. Żałuję, że nie mam w umyśle taśmy, którą mogłabym cofnąć, by odtworzyć setki wspólnie spędzonych godzin. Miałabym materiał na 10 książek, a na razie powstała jedna – „Żaby w śmietanie” (Wyd. Axis Mundi).

Tata przyrządzał „męskie” potrawy: kotlety schabowe, kaczkę z pomarańczami, bigos, krupnik, barszcz ukraiński... W zupach oczywiście była zawsze odpowiednia wkładka mięsna. Jak przystało na potomka masarży i właścicieli przedwojennego sklepu z wędlinami, nie był jarosem. Lubił kaszankę podsmażaną na zrumienionej wcześniej cebuli. Jadł ją z musztardą. Podobnie jak smażoną z cebulą kielbasę. Robił też grzanki z mózdzkiem albo wymieszaną z nim jajecznicę.

Nie przepadał za jarzynami czy surowkami. Z owoców sięgał głównie po jabłka i gruszki, ponieważ inne owoce były rzadko dostępne, nie było zbytniego wyboru. Ze wzruszeniem uświadomiłam sobie, pisząc książkę, że wystanęgo w kolejce grejfruta, pomarańczę czy banana rodzice zawsze oddawali dzieciom, wcześniej sprawiedliwie dzieląc



Posiłek w przydrożnej ruinie. Włochy



na cząstki. Nigdy nie widziałam ich jedzących te owoce.

Z domu wyniosłam obyczaj, że gdy kromka upadnie na podłogę, to podnosi się ją i całuje. Nie wyrzuca się chleba. W kuchni państwa Barejów szanowało się jedzenie i się go nie marnowało.

Trudno mi dziś uwierzyć, do jakiego stopnia w domu nie było pieniędzy. Tata naprawdę niewiele zarabiał. Mama jako pracownik umysłowy (kustosz Muzeum Narodowego w Warszawie) również. Chyba raz przez tyle lat, kiedy jeździliśmy podczas wakacji na kempingi w Bułgarii czy Rumunii, weszliśmy do restauracji. I czym prędzej się stamtąd wynieśliśmy, gdy okazało się, że pilaw jest zimny i pokryty zakrzepłym tłuszczem.

Z myślą o wakacjach cały rok gromadziło się puszkę zdobyte na kartki. Mama robiła przetwory z działkowych owoców. Nawet jajka z sobą zabieraliśmy.

Gdy tata zorientował się na któreś z czarnomorskich plaż, że ustawione co kilkadziesiąt metrów konstrukcje, złożone z kamieni i kawałka blachy, najwyraźniej służą komuś za ruszt, wykoncypował, że przywarłe do podmorskich skał małże są jadalne. Dowiedzieliśmy się które, zaczęliśmy je zbierać i mieliśmy co wieczór ucztę. Trzeba było tylko kupić cytrynę do smakołyku.

Ta pomysłowość, również kulinarna, w dużej mierze wynikała z potrzeby. Z po-

wodu ograniczonych środków (rodzice nie parali się handlem wymiennym) kupowało się na wakacjach jedynie pieczywo i owoce. Na szczęście dostawialiśmy z bratem po parę stotinek na wymarzone lody. Zmrożony cytrynowy smak do tej pory kojarzy mi się z plażą w Złotych Piaskach. I mimo że namioty mieliśmy nie najnowsze, a wysłużone leżaki mama musiała podsywać po raz kolejny płótnem..., nie zamieniłabym tamtych wakacji na żadne inne.

Jak smakowicie tata potrafił łączyć pasję gotowania z dowcipnym konceptem, niech świadczy fragment listu [przypisujemy go obok – przyp. red.], który do mnie napisał. Zabawna opowiadka „pudelkowa”, w której z jednej historii wynika kolejna i jeszcze następna... to w gruncie rzeczy kwintesencja twórczego stylu taty, jego poczucia humoru, kreatywności i doprawionego absurdem zmysłu obserwacji.

Notowała Jolanta Gajda-Zadworna

Potrąwka z dyni według Stanisława Barei

„A na obiad kupiłem sobie wczoraj dynię, olbrzymią. Obieram ci ją nożem, a pod spodem druga skórka, tym razem z arbuza. »Dobra – myślę – zjem arbuza«. I obierać zaczynam. Aliści pod skórą nie ma owocu, tylko skorupa orzecha kokosowego. Połupałem orzech, a w nim siedzi ananas. »To zjem ananasa, tylko go obiorę«. Ale pod ananasem była pomarańcza. »Niech będzie pomarańcza« – mówię. Niestety, pod skórą pomarańczy kryła się cebula. A cebula, wiadomo, aż do samego środka składa się z coraz mniejszych cebulek. No i na obiad musiałem zjeść coś innego. Ech – teraz sobie myślę – trzeba było od razu zjeść dynię razem ze skórą».



Ser do owoców

ANNA MONICKA

Wszędzie tam, gdzie ludzie hodują krowy, bawoły, kozy czy owce, są także produkowane sery. Mają różny smak, jedne są słodkie, inne pikantne, z pleśnią i bez, twarde i miękkie. Jedne się kruszą, inne ciągną. Na świecie powstaje ich ponad 4 tys. gatunków. Nic dziwnego, że od czasu do czasu można natknąć się na coś niezwykłego.

Ser, który jest moim ostatnim odkryciem, powstaje z mleka owczego lub owczo-koziego, ale w niewielkim gospodarstwie, więc mam nadzieję, że zwierzątko są w nim traktowane humanitarnie. Manouri jest robiony w duchu zero waste – to produkt uboczny słynnej greckiej fety. Słonawy, ale nie tak bardzo, kremowy, miękki i kruchy, lekkostrawny, z subtelną cytrynową nutką, bardzo syjący, wydał mi się czymś absolutnie doskonałym na czas upałów. Podobno osoby, które nie tolerują krowiej laktazy, nie mają problemu z tym serem – bo wyroby z mleka owiec mniej uczulają. Ja kupiłam na próbę gruby plaster, który zniknął w mgnieniu oka, więc pognałam po następny.

Powstaje z serwatki, która zostaje po zrobieniu fety, a do której jest wlewane mleko, kultury bakterii, podpuszczka. Jest regionalnym przysmakiem charakterystycznym dla Tesalii i Macedonii, a więc technologia wytwarzania ma pewnie swoje lata. Grecy jedzą go na śniadanie, smażą obtoczone w mące plastry na patelni, a potem podają skropione octem balsamicznym, polewają miodem, dodają do tarty z warzywami, zapiekają na grzankach, a nawet grillują. Świetnie smakuje także z owocami – gruszkami, morelami, winogronami, figami, śliwkami. Można nim posypywać pieczone bakłażany, cukinie, czerwone buraki, salatkę z papryki, ogórków i pomidorów. Ja jadłam go na delikatnie zapieczonej bagietce z konfiturą cebulową, ale z każdą inną też byłby wyśmienity.

Jeśli gdzieś zobaczycie biały walcowaty grecki ser bez skórki – zapytajcie sprzedawcę, czy to nie manouri, a jeśli tak – skosztujcie, może okaże się, że to wasz smak. Niby feta, ale delikatniejsza, bardziej kremowa i o niebo smaczniejsza.



Orłosep

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Jak różnorodnie są strategie życiowe występujące wśród mnogości organizmów zamieszkujących Ziemię, pokazuje przykład orłosepa brodatego *Gypaetus barbatus*.

Orłosep brodaty to niezmiernie rzadki ptak drapieżny, występujący w Azji, Afryce i na południu Europy. Do niedawna jedyne europejskie orłosepy były spotykane wyłącznie w Pirenejach, dziś dzięki reintrodukcji wróciły np. w Alpy i nieco zwiększyły liczebność.

Orłosep intryguje już samą nazwą, zapowiadającą jakby połączenie dwóch ciekawych ptaków. Nie potrzebuje jednak reklamowania się przy pomocy innych gatunków, sam jest wystarczającą osobliwością. Jest ptakiem bardzo dużym: rozpiętość skrzydeł sięga niemal 3 m. Potrafi szybować – na co zwraca uwagę wielu obserwatorów – bez poruszania skrzydłami i jakby w zwolnionym tempie, co czyni widok tego ptaszyska sunącego na tle górskich szczytów imponującym i majestatycznym. Ogon ma długi i klinowaty, oczy o jasnych tęczówkach i krwistej czerwonej obwódce. Po obu stronach dzioba ma długie, bujne „wąsy” z czarnych piór.

Unikatowym wśród zwierząt zwyczajem orłosepów jest malowanie się. Rdzawo pomarańczowe ubarwienie piór na piersi pochodzi właśnie z wcierania w nie barwnej glinki.

Jeszcze bardziej interesujące są zwyczaje żywieniowe orłosepów. Są one jedynymi kregowcami, których dieta składa się w przeważającej części, a niekiedy w aż 90 proc., z kości. Orłosepy niekiedy polują, nie gardzą też padliną, jednak podstawą żywienia są kości kozic, jeleni, kóz i owiec.

Pożywną częścią w kościach jest szpik. Żeby się do niego dostać, orłosepy chwytają kości w szpony, wzlatują wysoko i zrzucają je na skały, żeby się roztrzaskały. Zjedzenie samego tylko szpiku byłoby jednak dla orłosepów marnotrawstwem. Posuwają się więc znacznie dalej. Orłosepy zjadają również samą tkankę kostną, niekiedy taką, która miesiącami leżała na skałach. Dzięki bardzo niskiemu pH żołądka, wynoszącemu zaledwie 1, a więc silnie kwaśnemu, a także dzięki powolnemu mieszanii treści żołądka, przyspieszającemu reakcję, ptaki te mogą strawić nawet duże kości w ciągu doby. Zyskują dzięki temu dostęp do źródła pokarmu, o które w zasadzie nic z nimi nie konkuruje, a które okazuje się zaskakująco pożywne.

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Na Zachód po łupy

Rosja wielokrotnie sygnalizowała swoje plany względem Ukrainy i jak widzi własny, nowy międzynarodowy porządek światowy. Władimir Putin od 2000 r., w którym przejął władzę, nieustannie powtarza, że największą geopolityczną katastrofę XX w. był rozpad Związku Sowieckiego i sugerował, że to odwróci. Ukraina dla Putina to jak miasto-państwo Nowogród dla Iwana III Srogięgo, władcy Księstwa Moskiewskiego. Nie miało prawa istnieć, gdyż chciało się rządzić samodzielnie. Tak samo Władimir Putin nie dopuszcza do siebie myśli, że może istnieć jakaś samodzielna Ukraina i cieszyć się statusem niezależnego, uznanego międzynarodowo państwa. Wszak to jacyś gorsi Słowianie, historyczna część wielkiej Rosji, lud, bo przecież nie naród, kaleczący swoją gwarą szlachetny język rosyjski. Dlatego wypowiedział Ukrainie wojnę (operację specjalną – sic!) i chce ją zniszczyć dokładnie tak samo, jak w XV w. zrobił to książę Iwan III Srogi z Republiką Nowogrodzką.

Tego samego doświadcza dziś Ukraina – państwo, które nie ma prawa do samodzielnego bytu. Putin i jego siłownicy są gotowi zniszczyć cały kraj, wymordować całą ludność, wywieźć tych, którzy ocaleli, na daleki Sybir, ukraść ukraińskie dzieci i wszystko, co ma jakąkolwiek wartość.

Gen. Bogusław Samol, zaproszony przeze mnie do „Klubu Trójki” i poproszony o powtórzenie rozmowy, o której wspominał przed wejściem do studia, opowiedział pewną historyjkę. Otóż studiując w latach PRL w Akademii Wojsk Pancernych w Moskwie, został zagadnięty przez rosyjskiego generała pytaniem: „A czy wy, Polacy, zdecydujecie się pójść z Rosją na Zachód po łupy, czy nie? Zdecydujecie się” – zachęcał. Takiej to „taktyki i strategii” uczą do dziś w rosyjskich szkołach wojskowych. Mordować, gwałcić i kraść według swoich ustalonych zasad. Na przykład w czasie II wojny światowej rosyjski szeregowiec miał prawo ukraść rower, oficer – motocykl, a generał nawet samochód osobowy.

Gadanie Putina o największej geopolitycznej katastrofie jest o tyle ważne, że oczekuje on przywrócenia rosyjskiej strefy wpływów, która istniała przed 1990 r. A więc Rosja ma rządzić Europą Środkową aż na zachód – do Łaby. Żadne państwa tego rejonu nie mogłyby być częścią NATO, a porządek światowy byłby ustalany jak dawniej, w ramach tzw. koncertu wielkich mocarstw.

Inne zatem są oczekiwania Rosji względem Francji, Niemiec, Włoch, Hiszpanii, krajów, których istnienia Rosja nie kwestionuje ani nie przejawia w stosunku do nich imperialnych zakusów (na razie), a inne w stosunku do krajów, które traktuje zgodnie z doktryną Breżniewa z 1968 r. jako państwa o ograniczonej suwerenności czy jako te nazywane w Rosji lakonicznie „bliską zagranicą”, czy jak Polska, przypomnę tu młodemu, co o Polsce mówili za moich czasów Rosjanie: „Kurica nie ptica, Polska nie zagranica”.

Wojna na Ukrainie podzieliła europejskie kraje na bezpieczne, wolne od rosyjskiego zagrożenia i te, które muszą się liczyć z militarną agresją. Obie grupy należą do własnej strefy bezpieczeństwa, którą stanowi NATO, ale po tym, jak ostrożni i asekuracyjni są Niemcy i Francuzi, trudno stwierdzić, na ile ta struktura okaże się silna w sytuacji faktycznego zagrożenia. Kraje zagrożone są zmuszone pozostawać w niepewności, jak zachowają się główni europejscy gracze, czyli Niemcy i Francja, w stosunku do rosyjskich oczekiwań.

Dodajmy, że Anglia zachowuje się tradycyjnie dobrze.

Dla Polski nie ma więc alternatywy. Musi się szybko zbroić, dozbierać Ukrainę i jednoczyć wokół siebie państwa podobnie zagrożone rosyjskim imperializmem. Bo przykład Ukrainy przypomina nieco sytuację Polski w 1939 r. Mimo sojuszniczych gwarancji militarnych Francji, Anglii, Rumunii zostaliśmy na placu boju sami.

Dziś niestety mamy bardzo silną piątą kolumnę.

Czy w jej ramach Platforma Obywatelska w latach 2007–2015 razem z PSL – mimo

obecności Polski w NATO od 1990 r. – realizowała plan likwidowania Polski Wschodniej, jej całej infrastruktury wojskowej, cywilnej, gospodarczej, technicznej, socjalnej i kulturalnej? Do dziś nie znamy kulis tych decyzji. Można z dużą dozą pewności domniemywać, że we wschodnich rejonach Polski powstałaby cywilizacyjna pustka, jakby zaproszenie dla Rosji. Dodam tylko, że na tych terenach nie odnotowano żadnej ważnej niemieckiej czy francuskiej inwestycji. Linią graniczną NATO i Rosji miałyby być Wisła? Zadaniem Polski w NATO była obrona wschodniej granicy Niemiec? Te pytania są konieczne, bo jaki inny plan uzasadniałby likwidację połowy państwa polskiego? Odpowiedzi szczególnie oczekiwane. W przyszłym roku wybory.

www.wojciechreszczyński.pl



Skok Roszkowskiego

Gdy w 1968 r. na igrzyskach w Meksyku czarnoskóry Bob Beamon skoczył w dal 8,90 m, to nie tylko wskoczył w XXI w., ale przede wszystkim znokautował rywali. Jego rekord trwał niemal ćwierć wieku. Dlaczego od przypomnienia tego faktu zaczynam? Wyjaśnię na końcu felietonu.

Prof. Wojciech Roszkowski popełnił trzy grzechy, za które w mainstreamowym czyścisku pokutuje od kilku dni, a i popokutuje jeszcze dłużej.

Po pierwsze, ośmielił się napisać podręcznik do przedmiotu „Historia i teraźniejszość”. Już samo włączenie się w realizację tego przedmiotu jest grzechem, a co dopiero napisanie podręcznika. Tego różne onety-bzdety nigdy nie wybaczą i będą kasać.

Po drugie, Roszkowski napisał w podręczniku prawdę i tylko prawdę. Opisał rzeczywistość, którą znamy, której różnorako doświadczyliśmy. Tego też wybaczyć nie można. Bo jakże to, tak bezceremonialnie przekazywać młodym prawdę?! Niedopuszczalne! Wszak od prawdy historycznej jest gazeta Michnika, TVN i rozmaici Jońscy, którzy twierdzą, że powstanie warszawskie wybuchło w 1989 r.

Po trzecie, podręcznika nie napisał Borusewicz, Tusk, Komorowski ani Kowal, chociaż też są historykami.

Krytycy podręcznika, który zdaje się tylko przewertowali na ekranie komputera, mają z jego autorem spory problem. Bo prof. Roszkowski już napisał kiedyś podręcznik – wraz z Anną Radziwiłł – i to był dobry podręcznik, na którym wychowało się wielu dzisiejszych okoliczterdziestolatków. Drugi kłopot polega na tym, że autor jest badaczem o wielkiej klasie naukowej, co przyznają (niekiedy tylko półgębkiem) krytycy jego najnowszego podręcznika. Można mu wszystko zarzucić, ale nie brak kompetencji w dziedzinie historii.

Książkę przeczytałem (na razie w pliku PDF, który dostałem od wydawcy) od deski do deski. Po prostu mnie wciągnęła i poza koniecznościami czytałem ją bez przerwy. To nie tylko świetnie skonstruowana pomoc naukowa, ale nade wszystko dobra książka! Świetnie napisana opowieść o naszym świecie.

Jednym z zarzutów krytyki jest fakt, że autor zaliczył gender do ideologii. Bo też jest to zjawisko ideologia! Bez dwóch zdań. Tak jak jest nią nazizm czy komunizm. Wyciąganie wniosków, że tym samym Wojciech Roszkowski zrównuje te ideologie jest nie tylko oparte na niezrozumieniu tekstu, ale i na niegodziwości. W tym fragmencie bowiem wymieniono różne ideologie, a nie ich siłę rażenia.



**Aleksander
Nalaskowski**

Po prostu Roszkowski napisał, że marchew jest warzywem i kapusta też jest warzywem. Żeby z tego wyciągać wniosek, że marchew i kapusta smakują tak samo, trzeba być zwykłym durniem, a upublicznianie tej durnoty to upowszechnianie kłamstwa.

Czy podręcznik jest eurosceptyczny? Tak, wobec kształtu Unii Europejskiej, który już zupełnie nie przypomina UE „traktatowej”, a tym bardziej Unii Schumanowskiej. Jeśli ktoś ma co do tego wątpliwości, to niech zapozna się z ostatnimi działaniami europolsów skupionymi wokół Verhofstadta. Autor podręcznika potraktował UE w jej obecnym kształcie nader łagodnie. Unia, a zwłaszcza Parlament Europejski, to oprócz garstki sprawiedliwych banda dobrze opłacanych nieuków, którzy nie mają pojęcia o Polsce,

ale to także spora grupa rodzimych zaprzańców, politycznych kreatur.

Mam wrażenie, że krytykom podręcznika śni się książka o postmodernistycznej ambiwalencji, w której II wojna światowa wybuchła, bo „było złe słowo przeciw złemu słowu”, w której 1 września na Polskę napadli bliżej nieokreśleni „naziści”, a pojedyncze akty szmalcownictwa uznano za element naszego narodowego charakteru.

Krytyka zarówno przedmiotu, jak i podręcznika „Historia i teraźniejszość” ma swoje źródła w dwóch emocjach. Pierwszą z nich jest nienawiść do Polski nielewicowej i wszystkiego, co ową nielewicowość stanowi. I nie jest to żadna przemyślana postawa, ale raczej odruch godny psa Pawłowa. Cokolwiek bowiem zrobią rządzący, należy to bezlitośnie, bez oglądania się naprawdę krytykować. Mam też wrażenie, że część opinii o książce została napisana, zanim rzecz się ukazała, albo ich autorzy mają problem ze zrozumieniem słowa pisanego. Druga emocja to strach, bo co będzie, jeśli duża część młodzieży tę książkę przeczyta? Jak spojrzą na świat i otaczającą ich teraźniejszość? To wszak realne zagrożenie dla lewicowo-liberalnych elit politycznych.

Prof. Wojciech Roszkowski jak niegdyś Bob Beamon daleko odskoczył od rywali. Napisał taki podręcznik, że innym ewentualnym autorom będzie trudno się z nim mierzyć. To wzór nie tylko dla podręczników z dziedziny historii. To zupełnie nowa jakość w tym obszarze wydawniczym. Życzę podręcznikowi i przedmiotowi „Historia i teraźniejszość” zawrotnej kariery.

PS Mam wrażenie, że bycie wybitnym historykiem ma swoje konsekwencje somatyczne. Bo jak zrozumieć fakt, że Wojciech Roszkowski, Andrzej Nowak czy Wojciech Polak mają niemal po dwa metry wzrostu?



JAN POSPIESZAŃSKI

Najpierw myślałem, że to żart, ale po chwili zdałem sobie sprawę, że ta osoba mówi najzupełniej serio. W pewnym liceum zawodowym o profilu artystycznym (i nie jest to szkoła muzyczna) wszyscy uczniowie w pierwszej klasie deklarują się jako genderfluid (osoby o płynnej płci), a czworo chce się poddać tranzycji. Większość rodziców nie zdaje sobie sprawy z zagrożenia, uznając, że to dziwactwa okresu dojrzewania lub prawo młodych, których ekscentryczny wygląd i styl jest w naturze ich przyszłego zawodu. Ot, niegroźna fanaberia – uspokajają się. Nie wiedzą, że obok nich, pod jednym dachem, mają tykającą bombę, która w porę nierozbrojona może eksplodować dramatem dziecka z samobójstwem włącznie.

Książka „Kiedy Harry stał się Sally” na szczęście w Polsce jest dostępna. Polecam rodzicom nastolatków zdradzających jakiegokolwiek symptomy zaburzenia identyfikacji płciowej. To lektura obowiązkowa! Napisana kilka lat temu, zawiera analizę zjawiska, które wydawało się do niedawna, że nas nie dotyczy. Psychologowie przyznają, że gwałtowne przyspieszenie nastąpiło w Polsce w trakcie lockdownu. Zdalna szkoła i izolacja nastolatków przed komputerami, brak osobistych relacji i zamykanie się w bańkach mediów społecznościowych oderwało ich od

Tykająca bomba trans

Książka „Kiedy Harry stał się Sally” na szczęście w Polsce jest dostępna. Polecam rodzicom nastolatków zdradzających symptomy zaburzenia identyfikacji płciowej

rzeczywistości, ułatwiając popadanie w stany porównywalne z uwiedzeniem przez sekty. Młodzi są stale bombardowani propagandą. Cała popkultura, moda, seriale, muzyka, reklama są przesycane obrazami efebówatych modeli i gwiazd stylizowanych na płeć przeciwną. Wystarczy przejść się do znanej, hiszpańskiej sieciówki handlującej ubraniami, by nad kasami, na wielkiej plazmie, obejrzeć zapętlony pokaz mody z półnagimi, anorektycznymi chłopcami chodzącymi po wybiegu z kobiecą manierą.

Autor książki „Kiedy Harry stał się Sally” Ryan T. Anderson zaznacza, że dysforia płci to poważna sprawa. Stan bardzo bolesny, przysparzający cierpień. Na kartach książki udowadnia też, że tranzycja (jak mówią apologety zmiany płci „operacja dostosowania płci”) nie poprawia tego stanu – nie zmniejsza cierpienia, nie przynosi szczęścia. Nawet udane chirurgicznie zabiegi, zrealizowane perfekcyjnie, nie przynoszą poprawy – pacjenci zmagają się cały czas z problemami. Badania przytaczane w książce potwierdzają wzrost samobójstw o 19 razy w porównaniu z grupą kontrolną.

Przeglądu najnowszych badań dotyczących nagłego wzrostu zgłoszeń (pacjentów/klientów) do klinik zajmujących się tranzycją dokonała Agnieszka Marianowicz-Szczygieł w raporcie opublikowanym w marcu na łamach kwartalnika naukowego „Fides et Ratio”. Przywołując dane z amerykańskich badań, ukazuje to, co większość z nas intuicyjnie czuła i co wyraził przed laty jezuita o. Józef Augustyn: „Seksualność jest jak woda, przybiera taki kształt, do

jakiego naczynia jest wlana”. Skokowy wzrost komunikatów w mediach, w kulturze popularnej, coraz więcej przekazów afirmujących transseksualizm przekłada się na liczbę zgłoszeń do klinik zajmujących się „korektą” płci. Korelacja jest nie do zakwestionowania. Promocja różnorodności płciowej i tożsamości „trans” jako czegoś normalnego i zdrowego owocuje dezorientacją młodych. Goniąc za oryginalnością, modą, szukając akceptacji, dzieciaki w okresie dojrzewania trafiają w łapy zdemoralizowanych psychologów i lekarzy, którzy są gotowi spełniać ich zachcianki. A przecież w medycynie nie chodzi o spełnianie zachcianek pacjentów, ale o poprawę zdrowia lub wyleczenie.

Należę do pokolenia, które jako pierwsze na tak dużą skalę, eksperymentowało z substancjami psychoaktywnymi. Dwóch moich kolegów i kilku znajomych z branży rockandrolowej stało się ofiarami tych eksperymentów. W ślad za tragediami jednak szła świadomość społeczna. Rodzice, wychowawcy, działacze (Marek Kotański), zdając sobie sprawę z zagrożenia, akceptowali nawet drastyczne kroki, by ratować młodych przed narkomanią, a państwo w sposób systemowy tworzyło prawną ochronę. Jesteśmy w porównywalnym momencie. Liczba samobójstw ludzi, którym zniszczono życie (najpierw transpropagandą, a później łże-medycyną i fake-psychologią) powinna być wystarczającym ostrzeżeniem dla wszystkich, a dla polityków szczególnym imperatywem do natychmiastowej pracy nad przygotowaniem regulacji prawnych.

Premierki w kropce

Koleżanki, nie kryjcie się z tyłu. Iza, Joasiu, proszę do przodu. Dziś wasze święto. Dziś wasz premierowy dzień. Tu w pierwszym rządzie są dla was przygotowane miejsca. Dziś zasługujecie na przywilej, by siedzieć obok przewodniczącego Donalda Tuska – zachęcał Izabelę Leszczynę i Joannę Scheuring-Wielgus prowadzący zebranie Cezary Tomczyk, rzecznik Platformy Obywatelskiej.

– Donald! Donald! – ktoś z tylnych siedzeń próbował poderwać salę do zbiorowego wyrażenia uznania dla szefa partii. Jednak trzeci okrzyk, niemrawo podjęty przez kilka osób, szybko ugrzązł w krępującej ciszy.

– Koledzy, na fetowanie przyjdzie czas po przyszłorocznym zwycięstwie – Tomczyk próbował uratować mało fortunną inicjatywę. Do dziś nie wiadomo, czy spontaniczną.

– Dziś jest wielki dzień Platformy Obywatelskiej – mówił Tomczyk. – Wkrótce nastąpi wydarzenie, które będzie najlepszym dowodem, jak fałszywymi oskarżeniami posługuje się Prawo i Sprawiedliwość, by atakować naszą partię. Fakt, który dosadnie zaprzeczy niesprawiedliwym zarzutom o braku



**Jerzy
Jachowicz**

propozycji wyborczych. Rozpoczynamy dziś cykl spotkań w celu realizacji najważniejszego programu, który chcemy zaprezentować na początku przyszłorocznej kampanii wyborczej. Końcem tego programu jest wyłanianie składu rządu, który po wyborach będzie sprawował władzę.

– Zwycięstwo! Zwycięstwo! Zwycięstwo! – Tym razem do zainicjowanego okrzyku dołączyła cała sala. Po chwili podniósł się Donald Tusk, mówiąc: – Oddajmy głos naszym pionierkom, spośród których proponujemy kandydatkę na panią premier. Proszę, może alfabetycznie. Na początek nasza ekonomistka – zaproponował.

– Nie będę na siłę szukać oszczędności. Ale też nie zamierzam karmić niepracujących darmozjadów 500+ – oto moje hasło jako premier.

Stojąca przy drugim mikrofonie jej konkurentka zaprezentowała swój program: – Moim szyldem będzie wezwanie: „Oddzielamy Kościół od państwa, a państwo od Kościoła!”.

Po entuzjastycznych brawach Tomczyk zakończył informację: – Jutro postawią panie kropkę nad i w programie Moniki Olejnik w TVN.

REKLAMA



ŁĄCZYMY WSZYSTKICH

7. EDYCJA KONGRESU 590

WARSZAWA

22-23 CZERWCA 2022

KONGRES590.PL



PARTNERZY STRATEGICZNI



PARTNERZY GŁÓWNI PLUS



PARTNERZY GŁÓWNI



GŁÓWNI PARTNERZY MEDIALNI



Arcymistrz organowych brzmień

Wojciech Karolak, nietuzinkowa postać polskiego jazzu i w ogóle rodzimej rozrywki, w przededniu przypadającej 23 czerwca 2022 r. pierwszej rocznicy śmierci doczekał się płyty wspomnieniowej. Rozproszone nagrania wybitnego organisty, pianisty, saksofonisty, kompozytora i aranżera z lat 1977–2010 wyszukał i zredagował Wojciech Kwapisz, animator cennej serii jazzowych archiwaliów radiowych.

Z urodzenia (28 maja 1939 r.) warszawiak, dorastał w Krakowie, gdzie jego ojciec był profesorem Akademii Sztuk Pięknych. W tamtejszym liceum muzycznym kolegami Karolaka byli m.in. Andrzej Dąbrowski, Zbigniew Namysłowski, Roman Dyląg. Słuchali muzyki synkopowanej w radiowym Głosie Ameryki i szybko dołączyli do starszych nieco pionierów polskiego jazzu z lat 50. z Krzysztofem „Komedą” Trzczańskim, Jerzym „Dudusiem” Matuszkiewiczem, Andrzejem Trzaskowskim, Andrzejem Kurylewiczem, Janem „Ptaszyńcem” Wróblewskim na czele.

Karolak od 1958 r. współtworzył najważniejsze formacje naszego jazzu. W Jazz Believers i The Wreckers grał na saksofonach tenorowym i altowym, w kwar-



Adam Ciesielski

tecie Andrzeja Kurylewicza także na fortepianie. Potem – m.in. w grupie Polish Jazz Quartet – już tylko na fortepianie, by wreszcie znaleźć stałe miejsce przy organach i klawiaturach elektronicznych.

Był klasą dla siebie w grze na organach Hammonda, także w zestawie z syntezatorami. W tej roli w albumie Polskiego Radia możemy podziwiać go aż w pięciu utworach z pamiętnej płyty „Time Killers” (z saksofonistą Tomaszem Szukalskim i perkusistą Czesławem Bartkowskim), we własnym trio, a także w trio Tomasza Stańki. Niezwykle popis wyobraźni improwizacyjnej i biegłości technicznej.

Miał sprecyzowane preferencje stylistyczne. Nie znosił free jazzu. Kochał czarny jazz amerykański, soul i R&B. Nie stronił od muzyki pop jako kompozytor, aranżer i wykonawca. Słychać go w albumach m.in. Ewy Bem, Maryli Rodowicz, Anny Marii Jopek, Andrzeja Zauchy, Stanisława Sojki, Obywatela GC. Może na kolejnej jego płycie wspomnieniowej udałoby się pokazać i tę jego twarz?



Wojciech Karolak
„Polish Radio
Jazz Archives 34”
Wyd. Agencja Muzyczna
Polskiego Radia

TRENDY I OWĘDY

Czas herosów

„Nie ma ludzi niezastąpionych” to jedna z głupszych sentencji

Historyczne stało się zdjęcie z finału wielkoszlemowego Roland-Garros 2022, kiedy to Iga Świątek przyjmuje gratulacje od Roberta Lewandowskiego po zdobyciu drugiego tytułu

tego turnieju. Było i jest wielu znakomitych sportowców, ale mistrzów na taką miarę nie mieliśmy nigdy. Owszem, nie zapominamy o geniuszu Anity Włodarczyk, trzykrotnej złotej medalistce olimpijskiej i czterokrotnej mistrzyni świata, i o innych wspa-
niałych sportowcach, ale Lewy i Iga przerażają wszystkich. Może dlatego, że uprawiają bardziej popularne dyscypliny, a do tego imponują nie tylko na arenie sportowej.

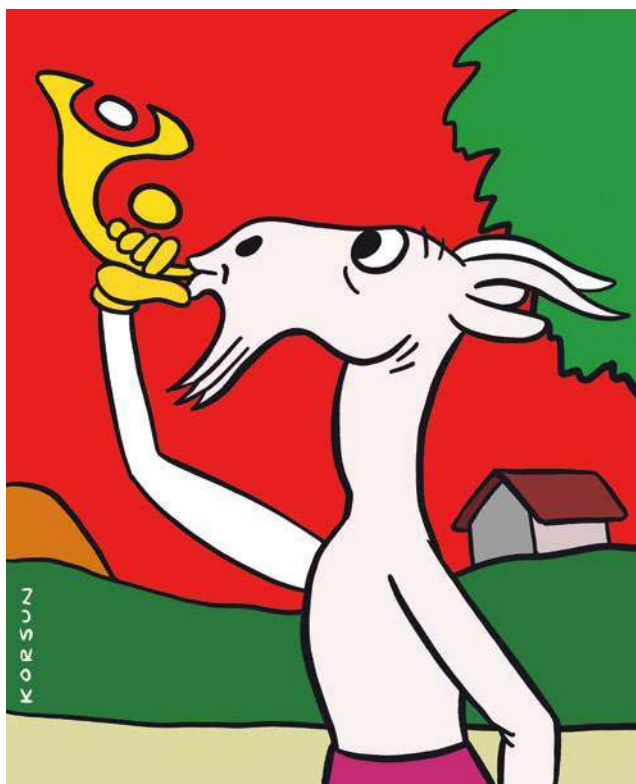
Iga Świątek publicznie wspiera walkę Ukrainy z ruskim agresorem, wbrew lawirującej WTA, która dopuszcza zawodników z Rosji i Białorusi. Robert Lewandowski akurat teraz uparł się, że nie chce już grać w Niemczech. Woli do Hiszpanii. Trudno to mieszać z polityką, ale miesza się samo. Niemcy pokazali, że są odradzającym się totalitaryzmem i lepiej się z nimi nie identyfikować.

Można westchnąć, że w innych dziedzinach już tak dobrze nie jest. Niby mamy dwoje żyjących noblistów, byłego przewodniczącego Rady Europejskiej... może potomni będą dla nich bardziej łaskawi. Henryk Sienkiewicz w XIX w. ku pokrzepieniu serc tworzył bohaterów papierowych, którzy – co ciekawe – zostali z nami na równi z tymi z krwi i kości. Nasz czas został obdarowany autentycznymi herosami. Teraz, kiedy z premedytacją aplikuje się nam politykę wstydu i narzuca brukselski perkal i koraliki, realizacja hasła „Polak potrafi” jest niezwykle cenna.



Ryszard Makowski

Michał Korsun prezentuje:
Matolek wrócił do Pacanowa



Wycinki z przeszłości

Takim romantycznym, ale i nowoczesnym zdjęciem witała redakcja magazynu „Na Szerokim Świecie” lato 1939 r. Małżeńskie relacje tyleż chwalono, co żartowano z nich obficie.

Dobrali się

- Wiesz, twój mąż opowiadał wczoraj, żeście się zupełnie nie dobrali.
- A to idiota! Właśnie, żeśmy się dobrali świetnie!

Znudzona

- Dlaczego panna młoda ziewa?
- To jest jej szósty ślub...

Oferta

- Dla jakich celów przeznaczony jest ten nowy typ auta z dwoma oddzielnymi kabinami?
- To oczywiście – dla pokłóconych małżonków.

Niby żart, ale każdy małżonek wie, że czasami i w naszych czasach byłoby jak znalazł.

(mk)



Treningi pamięci

Jedni zapobiegawczo, drudzy w popłochu, gdy już się stało (dziury, zanki, uszczerbki) na wszelkie sposoby starają się utrzymać stan posiadania. Naturalnie myślę o zachowaniu pamięci! Oczywiście wliczam i siebie do tej zapobiegliwej klienteli. Ot, najpowszechniejsze manewry: wyciągi z roślin (ponoć zwłaszcza jakieś miorzębne preparaty), chemia (jeśli tak, to co pomoże?), rozwiązywanie prezydenckich krzyżówek „wałówek”, jedzenie proustowskich magdalenek, okłady z ulubionych kiedyś fraz (utworów) muzycznych, wszelkie inne „podróże do źródeł”. Słowem – wszystko, co może przywrócić, zawrócić, zatrzymać... Czyli utrwalić bogactwo – stan naszego pamiętania. Podrzucam jeszcze jeden z praktycznych sposobów. Czytanie wierszy. Zwłaszcza sonetów. Pomocne działanie odnajdywanych w nich niezapominajek, niezabudek... Środek tani, przystępny. Kto wie, może wspomagający? Czerpany zwłaszcza bezpośrednio z „Sieci”.



Leszek Długosz

Leopold Staff (1878–1957)

„Jak wiersze czytać”

*Siądź z książką na fontanny krawędzi kamiennej,
W której ogród odbija się i błękit czysty,
Połóż przy sobie uschły kwiat, pożółkłe listy,
Wstążkę i mandolinę, instrument piosenny.*

*I kiedy słońce kończyć będzie bieg swój dzienny,
Najśłodszy ranek szczęścia przypomnij świetlisty
I wieczór najsmutniejszych łez, gdy ametysty
Niebios zlewały na cię zmierzch bólem brzemienny.*

*I gdy dwie łzy upadną na kwiat, listy, wstążkę,
Oparszy skroń na dłoni, otwórz cicho książkę,
A zrozumiesz, co znaczą słowa: zmierzch, żal, smutki.*

*I gdy podniesiesz czoło po zadumie długiej,
Zaznacz tę stronę modrym kwiatem niezabudki
I nigdy już nie czytaj jej w życiu raz drugi.*

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej



OD A DO ZYBERTOWICZ

Narrator czuły, barometr kiepski

Czy Olga Tokarczuk naprawdę wierzy, że jest tak osobna i niezależna?

Olga Tokarczuk skarży się, że przez wojnę na Ukrainie ma nowe nawyki: „Pierwsza rzecz, którą robię po przebudzeniu, to sięgnięcie po telefon i sprawdzenie wiadomości z jakąś nadzieją, że w nocy stało się coś dobrego. Że to już koniec wojny. No i masakruje mnie poczucie winy. Każdy czyn wydaje się zbyt mały wobec Buczy czy obrony Azovstału” (rozmowa Tomasz Lisa, „Newsweek” 21/2022).

BRAK TYLKO SŁÓW?

Noblistka nie ukrywa swego zagubienia w świecie wojny: „Nie rozumiem, nie wiem, jak to się dzieje”. Widzi, że „czuły narrator w trybie wojennym źle się czuje”.

Jesienią 2020 r. pisarka na łamach tygodnika „Polityka” ogłosiła projekt Ex-Centrum, który miał być nie tylko „namysłem nad końcem świata, jaki znamy”, ale i stanowić antidotum na niepewność, którą przyniosła pandemia. Jak? Dzięki sile nowych słów: „Stwórzmy bibliotekę nowych pojęć. Wypełnijmy ją treścią ex-centriczną, taką, o której centrum nie słyszało”. Noblistka zaproponowała wtedy pojęcie ogniozji – czyli umiejętności syntetyzowania rzeczywistości wraz z jej zawilgoczeniami. To przejaw jej wiary, że słowami wszystko da się upo-

rządkować (któż, jak nie noblistka może nawiązywać do klasyka: „Odpowiednie dać rzeczy słowo!”)

Ale w rozmowie z Lisem wątek projektu Ex-Centrum i wiary w moc nowatorskiego nazywania w ogóle się nie pojawia.

BEZTROSKE CONTINUUM

Widać za to wyraźnie, jak silnie pisarka jest przywiązana do świata skrajnego indywidualizmu, do hołubienia wszelkiej maści dekonstrukcji, różnorodności, przekraczania granic i tabu.

Autorka „Ksiąg Jakubowych” wzdycha do czasów sprzed inwazji Putina, w których „próbowaliśmy” (w domyśle – oświecona część cywilizacji) wprowadzić do świata „pewne nieoczywistości i zbudować wizję rzeczywistości bardziej skomplikowanej i zróżnicowanej, a przez to prawdziwszej. I teraz przyszła wojna z tą swoją erupcją nienawiści i biało-czarnego myślenia”. A przecież „jesteśmy jednostkami, nie da się nas uogólnić, mamy prawo do samostanowienia i samookreślenia”.

Gdy Tomasz Lis, nadwątłając owo „prawo do samostanowienia”, zauważa, że Nagroda Nobla jednak narzuca rolę, pisarka ucieka w kolejną metaforę, mówiąc, że stała się „personą”, czyli przybrała pewną maskę. Na sugestie Lisa, że „są serwituty, które muszą być zapłacone, czy się chce, czy nie”, Tokarczuk oferuje apologię swojej niezależności: „A ja czasem zastanawiam się, czy naprawdę jestem komuś coś winna. Jako pisarka nie mam żadnych kontraktów oprócz tych, które podpisuję z wydawcą”.

Nie tylko socjolog się tu uśmiechnie. W usieciowionym jak nigdy dotąd świecie

nawet wielki talent nie przebiję się bezśrodkowiskowego wsparcia. Czy Olga Tokarczuk naprawdę wierzy, że jest tak osobna i niezależna? Nawet najczulszy narrator nie przekroczy horyzontu opowieści, w której jest osadzony. Często przez innych.

Pisarka najwyraźniej nie dostrzega, że jest typową reprezentantką opowieści liberalnych progresyistów, żyjących złudzeniem, że dosłownie wszystko – kobiecość/męskość, przyjaźń/wrogość, pokój/wojnę – można zamienić w beztroskie continuum.

Tokarczuk jest częścią cudzej – nie przez siebie samą wykreowanej – opowieści zakazującej generalizowania: na bliźniego nie wolno patrzeć w sposób, który by go „błatował z czymkolwiek”. Dla Tokarczuk niebłatowanie to wielkie osiągnięcie cywilizacji zachodniej, którego „nie wolno nam porzucić”. Tyle że skrajny indywidualizm, który z perspektywy literackiej może i jest płodny, w zwykłym życiu sprzyja chaosowi i dezorientacji.

PERSONA PUTIN

Nic dziwnego, że Olga Tokarczuk w czasie wojny czuje się tak bezradna. Jakże anachroniczne rzeczy ta wojna przyniosła!

Zdystansowanie się do własnej opowieści jest naprawdę trudne. Może Ukraina nie musiałaby przeżywać dramatu wojny, gdyby hiperindywidualny Zachód nie tolerował przez lata super „ex-centricznej personsy” Władimira Putina?

A Olga Tokarczuk? Czy już dostrzegła, że to nie superróżnorodne indywidualności Putinowi się przeciwstawiają. Walczy naród zorganizowany w państwo.

Katarzyna Zybertowicz

wSIECI
HISTORII

Nowe wydanie w kioskach!



W konspiracji

Solidarność Walcząca
1982-1992 – konspira
kontra esbecja

Wyścig Pokoju

Socjalistyczne święto
sportu i kultowe
wydarzenie PRL-u

Dama w szalu

Katarzyna Starzeńska
– femme fatale
wszechczasów

Zamów roczną e-prenumeratę

wSIECI i **HISTORII** za jedyne **119,90 zł**

Wejdź na

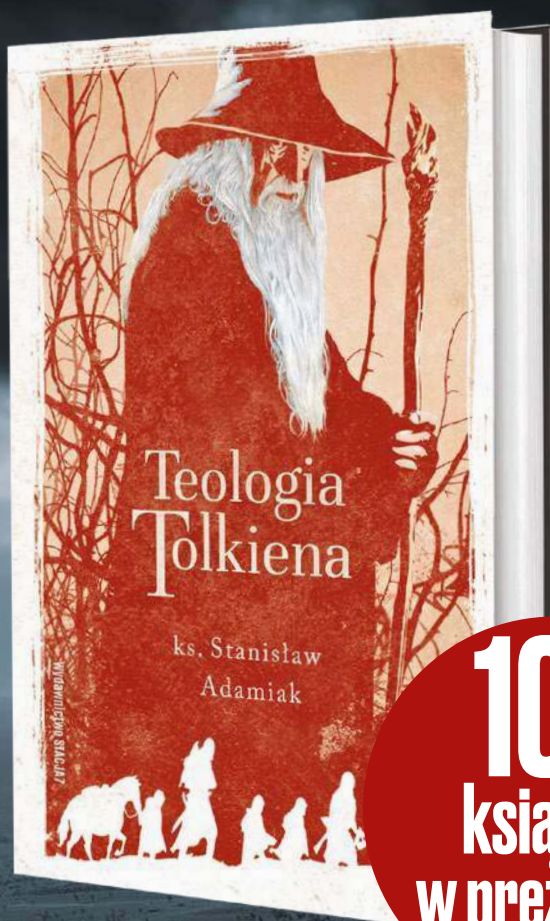
www.SiecPrzyjaciol.pl



TYLKO DLA PRENUMERATORÓW
WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI

**wSIECI
HISTORII**



„Teologia Tolkiena” ukazuje
chrześcijańskie prawdy wiary ukryte
w losach bohaterów Śródziemia

196 STR. | LEKTURA OBOWIĄZKOWA DLA FANÓW
TOLKIENA | IMPRIMATUR

100
książek
w prezencie

Książkę „Teologia Tolkiena” otrzymasz **GRATIS**,
zamawiając roczną prenumeratę pakietu:
tygodnik **SIECI** i magazyn **HISTORII** za **295 zł**.

Zamów już dziś na: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata



Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o.,
ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9-16